

ŚWIAT W DŁUG

A AISO

SENSE OF XI WIEKU

**HENRYK NIEWIADOMSKI**  
**PSEUDONIM „DZIAD”**

**ŚWIAT WEDŁUG  
DZIADA  
SENSACJE XXI WIEKU**

**WARSZAWA 2002**



Copyright: Henryk Niewiadomski

ISBN 83-918259-0-6

Redakcja  
Korekta  
Skład i łamanie  
Druk i Oprawa  
Henryk Niewiadomski – pseudonim „Dziad”  
więzień polityczny III Rzeczypospolitej

Nazywam się Henryk Niewiadomski i mieszkam w Ząbkach. Myślę, że to nazwisko nic wam nie mówi, więc dla jasności powiem, że nazywają mnie Dziad. Jestem tym „Dziadem”, o którym rozpisują się gazety. Wykreowano mnie na bandytę numer jeden w Polsce.

To nie bieda popchnęła mnie do pisania. Zmusiły mnie do tego środki masowego przekazu, według mojej oceny inspirowane przez organy ścigania i rozpowszechniające na mój temat bzdury. Dlaczego tak się dzieje, dowiedzie się po przeczytaniu tej książki, która mówi o moim życiu.

## **Na Targówku**

Urodziłem się w 1948 roku w bardzo biednej rodzinie. Ojciec mój był alkoholikiem, ciężko chorym na gruźlicę. Dorywczo pracował na bazarze Różyckiego, matka natomiast nigdy nie pracowała, ponieważ wychowywała czworo dzieci. Ojciec zmarł młodo w wieku 33 lat. Ja miałem wtedy lat 13, starszy brat miał 15, a pozostali 11 i 8 lat. Mieszkaliśmy tam, gdzie się urodziliśmy, to znaczy na słynnym Targówku. Była to dzielnica o nienajlepszej sławie, o której jednak śpiewano piosenki. Na przykład: Na Targówku szwagra zięć, ulica Mokra numer pięć.

W naszym drewnianym domu, który składał się z jednej izby o powierzchni 20 m<sup>2</sup>, nie było światła ani żadnych wygod. Przeciekał dziurawy dach. Przed swoją śmiercią ojciec dostawił do tego budynku kuchnię z pojedynczej cegły, pod dachem bez sufitu, i tak żyliśmy. Niewielu czytelników potrafi sobie wyobrazić, jak mieszkano się nam zimą. Nie mogliśmy się nawet umyć, ponieważ woda w wiadrze była zamrznięta, a na węgiel nie było nas stać. Trochę przepalaliśmy drzewem. Po śmierci ojca matka musiała pójść do pracy, ponieważ nie otrzymaliśmy żadnej renty. Pracowała jako sprzątaczką zarabiając 850 zł miesięcznie. Dodatkowo dorabiała jeszcze na pół etatu, za co otrzymywała 400 zł. W sumie zarabiała więc 1250 zł, ale pracując tyle godzin dziennie nie miała czasu zająć się nami. Musieliśmy sami dawać sobie radę.

Różni dobrzy ludzie przychodzili do mojej matki i doradzali jej, żeby dwóch synów oddała do domu dziecka. Będzie jej trochę lżej i dzieciom będzie lepiej. Matka nie zgadzała się na to i mówiła, że ma nas czterech i wszystkich jednakowo kocha. Pamiętam, że pewnego razu przyszedł do naszego domu mój nauczyciel. Podśledzałem ich rozmowę, stojąc pod drzwiami. Nauczyciel przekonywał matkę, aby oddała mnie do domu dziecka. Odpowiedziała mu, że nie może tego zrobić. Nauczyciel nie dawał za wygraną. „Może pani. Trzeba powiedzieć dzielnicowemu, że syn przynosi do domu kradzione kury. Sami go zabiorą”. Stawał się coraz bardziej natarczywy, a ja z bijącym sercem czekałem, co powie matka. Nie zgodziła się.

## Moje gołębie

Gołębie, które po prostu kocham, trzymam od siódmego roku życia, czyli od pierwszej klasy szkoły podstawowej. Już wtedy zostałem gołębiarzem. To już całych czterdzieści osiem lat.

Gołębiarz to taki człowiek, który trzyma gołębie tylko po to, aby je ganiać i łapać innym. Albo też któremu inni łapią. Krótko

mówiąc, jest to coś w rodzaju sportu, i ja właśnie byłem takim gołębiarzem.

Na Targówku w tych czasach nie było praktycznie podwórka, na którym nie byłoby przynajmniej jednego gołębnika. Gołębie trzymał również mój brat, którego wtedy zwano wśród kolegów Dziadem. Ja miałem ksywę Garbus. Wybiegając w odległą przyszłość: to, że po latach prasa ochrzciła mojego brata Wariatem, a mnie Dziadem, jest już całkiem inną sprawą. Natomiast nasi dwaj pozostali bracia nigdy nie interesowali się gołębiami, a nawet śmiali się z naszej pasji.

W tych latach był to mój żywioł i moje największe szczęście.

## Pierwsza praca

Z jedzeniem zawsze było u nas krucho. Zarobki matki ledwo wystarczały na wyżywienie pięciu osób, w tym czterech dorastających chłopców. Musieliśmy oszczędzać buty. Po przyjściu ze szkoły trzeba było zdejmować pepegi i biegać na bosaka, bo matki nie było stać, żeby nam kupić drugie. Po ukończeniu siedmiu klas postanowiliśmy razem ze starszym bratem pracować. Ze znalezieniem pracy miałem wiele kłopotów, bo mając piętnaście lat wyglądałem na dwanaście. Byłem niski i strasznie szczupły, więc nigdzie nie chcieli mnie zatrudnić. Dzięki starszemu bratu dostawałem jednak jakąś pracę i udawało mi się zarobić na pół litra mleka, bułkę ze smalcem albo z cukrem, który skrapiałem wodą.

Pracowaliśmy ciężko. Ludzie dziwili się skąd u mnie tyle siły do pracy, skoro żywię się tak kiepsko. W tym czasie nie było betoniarek i innych narzędzi znanych z dzisiejszych budów, wszystko trzeba było robić własnymi rękami. Pracując, nie wiedzieliśmy co to wolna sobota czy niedziela. Za pracę płacili nam grosze. Mimo tego, było nam wszystkim lżej, stać nas było na lepsze jedzenie, a także na nowe pepegi. Zaczęliśmy dbać o młodszych braci, żeby nie chodzili głodni i na bosaka. Także mój wygląd zaczął się poprawiać, nabierałem sił

i tężyzny. Matce też było źzej. Ubolewała jednak nad nami, przeklinając ojca za to, że przez wódkę zostawił rodzinę w tak trudnej sytuacji.

W końcu jakaś ważna komisja uznała, że nasz dom się rozpada. Dostaliśmy mieszkanie na Pradze przy ulicy Okrzei 30, dokładnie naprzeciwko kina „Pracha”. Nasz niby dom na Targówku poszedł do rozbiórki na opał. Brat podjął pracę w mleczarri, a ja pracowałem jako pomocnik murarza. Pracę zdobyłem już bez problemu, co było skutkiem tego, że poprawiła się moja sylwetka. Skończyłem 17 lat, ale wyglądałem dorośle.

## Praga gołębiarska

Niestety, z powodu przeprowadzki musiałem się rozstać z gołębiami. Byłem zmuszony je sprzedać. Nie da się opisać co przeżyłem, gdy przyszedł czas rozstania z gołębiami. Coś takiego może zrozumieć tylko prawdziwy gołębiarz, amator gołębi już nie.

Po przeprowadzce patrzyłem na Pragę z obrzydzeniem. Wszystko z powodu gołębi, które musiałem skasować. Powoli zacząłem się jednak znowu za nimi rozglądać. Widziałem je nad sobą, kiedy stałem na balkonie. Zacząłem poznawać gołębiarzy z ulicy Ząbkowskiej. Pod numerem ósmym trzymało gołębie dwóch braci o imieniu Bogdan i Tadek. Pod dziesiątym pewien facet trzymał gołębie w mieszkaniu, z którego je ganiał wypuszczając przez otwór wybity pod oknem. Wtedy sobie pomyślałem, że skoro ktoś gania gołębie z mieszkania, to ja będę je trzymać na balkonie. Zbiłem więc półki, które fachowo nazywane są dukami, przykryłem je ładnym kolorowym pleksi, wstawiłem drzwiczki z okienkiem. Całkiem niezłe to wyglądało. Kupiłem trochę gołębi, które pomału przyzwyczajałem do nowego miejsca, a po jakimś czasie zacząłem je już ganiać.

Wtedy dopiero Praga zaczęła mi się podobać. Poznawałem wszystkich gołębiarzy, których, jak się okazało, było nie mniej niż na Tar-

gówku. Wszystko było elegancko aż do momentu, kiedy moje gołębie zaczęły przeszkadzać sąsiadom. W końcu znowu musiałem je sprzedać.

## **Niebieskie berety**

Gdy miałem 20 lat zostałem powołany do wojska. Komisja skierowała mnie do jednostki desantu morskiego w Gdańsku. Były to tak zwane niebieskie berety.

W wojsku podobało mi się, chociaż służba w formacji morskich komandosów jest piekielnie trudna. W marcu, przy szturmowej pogodzie, trzeba się było desantować do lodowatego morza i zdobywać bałtyckie plaże. Dowództwo Układu Warszawskiego przygotowywało nas w ten sposób do zwycięskiego szturmu na Danię, ale o tym dowiedziałem się dopiero po wielu latach, kiedy odtajniono sowieckie archiwa. Rosjanie mają tak mało ziemi, że potrzebna im była jeszcze Dania. Później poznałem ten kraj i jego sympatycznych mieszkańców, ale jako turysta, nie okupant.

Z czasem w odbywaniu służby wojskowej pojawiła się pewna przeszkoda. Otóż idąc do armii musiałem się rozstać ze swoją dziewczyną, którą bardzo kochałem. Bałem się o nią i ciągle dręczyłem się myślami, co się z nią dzieje. Zrozumiałem, że mam do wyboru albo ją, albo niebieski берет. Muszę uczciwie przyznać, że moja dziewczyna miała wtedy znacznie większą siłę przyciągania niż wojsko. Wybrałem dziewczynę. Uznałem, że piechota morska da sobie radę beze mnie. Dzisiaj nie żałuję tego wyboru. No a poza tym, tak było lepiej dla Danii i dla nas wszystkich, może z wyjątkiem Rosjan.

## **Kram z flakami**

Znów podjąłem pracę jako pomocnik murarza. Pewnego razu pracując na dachu budynku w Legionowie, gdzie murarz tynkował kominy, zauważyłem bardzo dużo zwykłych słoików po dżemie. Po-

myślałem wówczas, że skoro tyle handlarek pracuje na bazarze Różyckiego i dobrze z tego żyje, to i ja wezmę się za handel pyzami i flakami. W ciągu kilku następnych dni zwoziłem słoiki do piwnicy. Kiedy je z grubsza umyłem, odwiedziłem swoje starsze koleżanki. Pytałem, czy mi pomogą w moim nowym interesie. Zgodziły się pod warunkiem, że przed każdym pójściem na bazar postawię im butelkę „alpagi”. Wtedy poszedłem do matki i opowiedziałem jej o moich planach. Poprosiłem, żeby rano wstała i ugotowała pyzy i flaki.

Któregoś dnia matka wszystko przyszykowała i tak oto ruszył mój pierwszy biznes. Brała w nim udział matka i kilka znajomych kobiet, ale kierowałem tym wszystkim ja. W taki sposób z zabiedzonego, suchego zdechlaka wyrósł szef własnego interesu. Mieliliśmy na początku kłopoty z handlarkami, ale w końcu nas zaakceptowano i szło nam nieźle. Zarabiałem na tym kramie dużo więcej, niż jako pomocnik murarza.

W końcu bazar pozostawiłem dziewczynom, a sam się przeniósłem na skład opałowy, który otwarto w tym czasie. I tak rozpoczął się mój drugi biznes.

## Węglowa szychta

W sklepach nie było wtedy nic do jedzenia i matka nie nadążała gotować, wziąłem więc pomocnika. Pomagał jej zdobywać flaki, mąkę kartoflaną i piwo. Jakoś sobie radziliśmy. Po trzech miesiącach morderczej pracy zarobiłem tyle, że bez problemu stać mnie było na kupno konia i wozu. Z czasem kupiłem następnego konia z wozem, a potem trzeciego. W niedługim czasie stałem się właścicielem trzech koni i furmanek do przewożenia węgla. Ambicja nie pozwalała mi na dalszy handel pyzami, więc zostałem przewoźnikiem.

W tym czasie było jeszcze zapotrzebowanie na furmanki i szło mi dobrze. Zacząłem jednak interesować się małymi samochodami, a konkretnie żukami, bo uważałem, że samochód, nawet mały, jest lepszy od konia.



Pojazdy zdobyłem dość łatwo. Podejrzałem, jak kolega kupował w sklepie ramę do żuka, potem rozbitą kabinę ze złomu, a podzespoły wyciągał ze starych warszaw. Zrobiłem to samo. Z zarejestrowaniem samochodu większych kłopotów nie było, co jednak wiązało się z odpowiednim załącznikiem dla urzędnika. W taki właśnie sposób stałem się właścicielem czterech samochodów marki Żuk.

Z biegiem czasu zacząłem zazdrościć starszym przewoźnikom, którzy mieli duże pojazdy. Powoli zacząłem więc sprzedawać swoje małe samochody, kupiłem zaś dwie duże ciężarówki. Kiedy jeszcze wszedłem w układy z wagowymi, zacząłem zarabiać duże pieniądze.

Nadszedł czas na założenie rodziny. Zawarłem związek małżeński. Oczywiście – z tą samą dziewczyną, dla której porzuciłem wojsko. Niedługo potem kupiłem na osiedlu Wygoda na Grochowie niewielki trzypokojowy budynek oraz 600 m<sup>2</sup> placu, na którym zamierzałem rozpocząć budowę. Uzyskałem także pozwolenie budowlane. Płaciłem już wtedy podatki i nie bałem się budować.

Na mojej posesji zamieszkiwały dwie rodziny. Jedna wkrótce wyjechała na stałe do Australii, natomiast drugą wykwaterowałem do mieszkania na ulicy Okrzei 28. Mieszkałem w nim już od dłuższego czasu z żoną i dwójką dzieci jako dziki lokator.

Po tej przeprowadzce zdecydowałem się załatwić formalności w biurze meldunkowym. Dobrze porozmawiałem i dostałem na to mieszkanie przydział. Wtedy zrozumiałem, że nie ma na tym świecie rzeczy niemożliwych. W taki oto sposób stałem się jedynym prawnym właścicielem posesji, którą w sumie kupiłem za grosze. Od razu założyłem na niej gołębnik. Niestety, po czterech latach zrozumiałem, że ten plac, który miał zaledwie sześćset metrów kwadratowych, jest po prostu za mały dla mojej rodziny, kilku gołębników i gołębi. Zacząłem więc rozglądać się za większym placem.

Pieniądzy przybywało coraz więcej, kupiliśmy więc z żoną w Ząbkach dużo większy piętrowy dom do remontu, z działką o powierzchni 1200 m<sup>2</sup>. Dom był w opłakanym stanie, a na dodatek było w nim zameldowanych dość dużo dzieci, które przebywały w domu dziecka



w Falenicy. Właścicielami tego domu byli alkoholicy, którzy tam nawet nie przebywali.

Było sporo kłopotów z wymeldowaniem tych wszystkich dzieci. Nie było to łatwe, chociaż dom faktycznie nie nadawał się do zamieszkania. Dom dziecka zdecydował, że najlepszym wyjściem dla dzieci będzie ufundowanie dla nich książeczek mieszkaniowych. Zgodziłem się, przystali też na takie rozwiązanie właściciele posesji. Nie pamiętam już, jakie sumy wpłaciłem na książeczki tych dzieci, razem kosztowało mnie to pięć tysięcy dolarów i mnóstwo mojego straconego czasu. W taki sposób zostałem właścicielem sporego placu i piętrowego budynku przy ulicy Klamrowej nr 4 w Ząbkach. Zaś posesję na Wygodzie sprzedałem dość szybko w 1986 roku za trzysta tysięcy dolarów.

Dobudowałem dość spory warsztat z obszerną wiatą. Nad warszatem znajdował się wielki salon o powierzchni 92. metrów oraz 30-metrowy taras. Wszystko wygodnie urządziłem. W międzyczasie dokupiłem parcelę 620 m<sup>2</sup>, przylegającą do mojej działki, i przeznaczyłem ją na ogród wypoczynkowy.

## **Jestem hodowcą**

Oczywiście od razu postawiłem też gołębniki i nakupiłem gołębi, które zacząłem ganiać. Niestety, remont domu i moja praca kierowcy ciężarowej tatry z przyczepą, przy której też musiałem немало naprawiać, zniechęciły mnie do gołębi i skakania za nimi po dachu. Tym razem sam dobrowolnie postanowiłem się ich pozbyć. Moja żona nie mogła w to uwierzyć.

Długo bez gołębi nie wytrzymałem. Postanowiłem jednak, że nie będę już dłużej gołębiarzem, tylko hodowcą. Hodowca gołębi tym się różni od gołębiarza, że nie skacze po dachu i nie wymachuje szmatą, tylko trzyma gołębie na wybiegach i nigdy ich nie wypuszcza. Różni się też tym, że nie trzyma gołębi kosztujących po pięćdziesiąt złotych,

jak gołębiarz, lecz tylko takie rasy, których pojedyncze sztuki warte są co najmniej od dwóch do pięciu tysięcy nowych złotych. Ja jednak postanowiłem, że będę gołębie także wypuszczał, tylko nie będę ich ganiać.

Pobudowałem naprawdę ładne gołębniki z wybiegami i zacząłem rozglądać się za kupnem ciekawych i oczywiście drogich ras. Przede wszystkim takich, które były wtedy na czasie, a więc: krótkie krymki czarne, czerwone i żółte, winerki, blajwindry, widyny, srocзки, szyldy. Okazało się, że wcale nie jest to takie łatwe jak mogłoby się wydawać. Nawet, powiedziałbym, było to niemożliwe.

Kupowałem gołębie od hodowców z Falenicy, gdzie odbywa się targ. Każdy z nich oczywiście zachwalał swój towar z jak najlepszej strony, niestety – gołębie, które nabywałem na targu od tych niby uczciwych hodowców, okazywały się osobnikami które nie znoszą jajek, albo też nie doparzą samic itp. Krótko mówiąc, nie nadawały się do niczego. Kiedy zgłaszałem reklamacje, kilku hodowców zwróciło mi pieniądze, kilku dostało za oszustwo po mordzie, ale pozostałych niestety albo nie rozpoznałem, albo też nigdy ich już na swojej drodze nie spotkałem. Resztę wybrakowanych gołębi odsprzedalem, ale z dużą stratą.

Poszedłem mimo wszystko do urzędu miejskiego w Ząbkach aby zarejestrować hodowlę gołębi. Urząd odmówił mi tej przyjemności, tłumacząc decyzję w ten sposób, że oni nigdy nie spotkali się z czymś takim.

Gdy przychodziła niedziela jeździłem do różnych hodowców chcąc nabyć naprawdę dobre sztuki. Proponowałem im podwójne ceny, ale za te gołębie, które sam bym od nich wybrał. Nigdy żaden z nich na coś takiego się nie zgodził. Chcieli sprzedać tylko takie, które z kolei mi nie pasowały. Przekonałem się na własnej skórze, że prawdziwy hodowca prędzej pozbędzie się własnej żony niż gołębia, który jest chlubą jego hodowli.

Nie mając większego wyboru poszedłem po rozum do głowy i wpadłem na taki pomysł, że poszukam złodziei, którzy gołębie kradną. Byli i tacy, którzy z tego żyli. Tak też zrobiłem, ale okazało

się, że złodzieje też nie mieli takich gołębi, o jakie mi wtedy chodziło. Obiecali jednak, że o mnie pomyślą i jak coś będą mieć, to dadzą mi znać.

Po jakimś czasie zjawili się u mnie. Widać po nich było, że w nocy nie spali. Mówią, że tą razą chyba mają coś dla mnie. Klatkę na gołębie włożyłem do bagażnika, wsiadłem do samochodu i z wielkim biciem serca pojechaliśmy na miejsce.

Mieli w komórce około dziewięćdziesięciu gołębi, które ukradli. Wystarczył jeden rzut oka na te umęczone ptaki, aby wyłowić wśród nich zaledwie osiem, które mi pasowały. Żądali za wszystkie dość sporej kwoty pieniędzy, której jednak teraz nie pamiętam. Te osiem sztuk było warte tyle, co wszystkie razem. Wyłapałem je szybko do klatki, schowałem do samochodu, zapłaciłem ile chcieli i odpaliłem silnik.

Jeden ze złodziei zapytał, kiedy przyjadę po resztę. Uśmiechnąłem się tylko i powiedziałem, że resztę mogą wypuścić, po czym odjechałem.

Po jakimś czasie wpadłem na pomysł, aby wystawiać tym złodziejom hodowców, którzy mnie wcześniej oszukiwali. Tak też się działo jakiś czas, aż w końcu miałem komplet, o jakim marzyłem. Prawdę mówiąc, drogo mnie to kosztowało, ale innej możliwości zdobycia gołębi do hodowli po prostu nie było.

Wszystkie koszty zwróciły mi się już po jednym sezonie, a nawet była mała nawiązka. Być może trudno w to uwierzyć, ale ładny gołąb naprawdę kosztuje dzisiaj pięć tysięcy złotych, a czasem nawet więcej. Mówi się o tym w telewizji przy okazji wystaw, jakie organizuje Polski Związek Hodowców Gołębi. A więc pięć tysięcy złotych to dzisiaj tysiąc dwieście dolarów. Jeżeli uda się wam wyhodować pięćdziesiąt sztuk takich gołębi w sezonie, daje to sześćdziesiąt tysięcy dolarów zysku, nie licząc gołębi mniej wartościowych, na które też są amatorzy. Trzeba jednak pamiętać, że dochód z tych gołębi idzie na utrzymanie hodowli, gołębników, zakup witamin, lekarstw, nowych ras. O tym, że hodowla naprawdę dobrych gołębi przynosi spore zyski można przekonać się samemu zakładając taką hodowlę, albo też

obserwując, jakimi samochodami przyjeżdżają na targ w Falenicy prawdziwi hodowcy. I w jakich mieszkają willach.

Oczywiście, hodowcy przywożą do Falenicy na targ tylko takie gołębie, które mają jakąś wadę, albo te, które są warte najwyżej dwa tysiące złotych. Nigdy nie jest tak, żeby przywieźli gołębie, których poszukują inni hodowcy i za które gotowi są zapłacić każdą cenę. Niestety, nikt spoza ich grona nie dokupi u nich dobrego gołębia. Oni wymieniają się między sobą gołębiami tylko po to, żeby wlać świeżą krew do swojej hodowli. Po prostu wszyscy oni obawiają się konkurencji. Dlatego też wolą ładne gołębie sprzedać do Niemiec albo innych państw, nie tylko zachodnich. W tym akurat mają rację, ale robią źle oszukując rodaków, kiedy zaklinają się, że sprzedają najlepszy towar, a faktycznie wciskają niezorientowanym braki. Co bardzo istotne, za hodowlę gołębi nie płaci się żadnych podatków.

## Srebrne lata

Roboty na składzie opałowym było coraz mniej, gdyż wszędzie zaczęto zakładać instalacje gazowe. W porę zdążyłem posprzedawać samochody. Przez jakiś czas zrobiło się krucho, ale nie trwało to długo. Miałem już na oku nowy interes.

Mój starszy brat zajmował się skupowaniem klisz rentgenowskich i wszystkich innych materiałów, które zawierały srebro. Również i ja zarabiałem na tym bardzo dużo pieniędzy. W porę jednak z tego interesu zrezygnowałem, do czego skłoniły mnie właśnie wyczyny brata. Miał on silną grupę chłopaków z całej Polski oraz przekupionych policjantów, którzy byli na jego zawołanie. Wspólnie okradali największe magazyny ze srebrem oraz azotanem srebra, z którego pozyskiwało się potem czysty metal. Policjanci obstawiali chłopców, a nierzadko uczestniczyli w kradzieżach. Okradali nawet tych ludzi, którzy sami trudnili się kradzieżami i napadami. W końcu zainteresował się tym ktoś z samej góry. Rozbito wtedy największy pod-

ówczas gang, mający na sumieniu tyle, że do dzisiaj nie ma takiego, który mógłby się z tamtym równać.

Tak więc gang został rozbity, a policjanci dostali duże wyroki. Chłopcy z Polski również. Tylko mojemu bratu udało się zwać.

Co prawda, policja go wtedy zatrzymała. Siedział nawet kilka miesięcy na Białogórze. Miałem jednak pewnego kolegę jubilera, który z kolei miał znajomego księdza, a ksiądz znał pewnego sędziego, który zgodził się uwolnić brata w zamian za konkretny dowód wdzięczności: kwiaciarnię w śródmieściu. Przystałem na to. Jego plan był prosty: wyczekał, aż prokurator pójdzie na zwolnienie lekarskie i wydał w tym czasie nakaz zwolnienia brata. Ten od razu wyjechał do Niemiec. Sędzia stał się właścicielem wymarzonej kwiaciarni, a prokuratora zabrało pogotowie jak tylko wrócił ze zwolnienia. Ja zaś wróciłem do pracy w swojej firmie przewozowej, ale to był początek moich kłopotów z policją. Nigdy mi nie wybaczyli, że wtedy bratu pomogłem.

Nie martwcie się na razie o mojego brata, jego przygody i dalsze losy. Jeszcze o tym usłyszycie w tej książce.

## Jak wygrać przetarg

Kiedy kończył się interes z węglem spostrzegłem, że można dobrze zarobić na transporcie żwiru. Były to czasy Edwarda Gierka, ludzie zaczęli się masowo budować i potrzebowali dużych ilości materiałów budowlanych. Problemem było to, że najlepszym samochodem, jaki się do tego nadawał, była czeska wywrotka marki Tatra, marzenie wszystkich przewoźników spod składu. Marzyli o niej wszyscy, ale pierwszy tatrę kupiłem ja.

Pewnego razu w Piasecznie wystawiono taką tatrę na przetarg. Postanowiłem ją kupić za każdą cenę. Najpierw jednak pojechałem rozejrzeć się w sytuacji na miejscu.

Wsiadłem do samochodu osobowego marki Audi 100, a był to

wtedy jeden z najwspanialszych samochodów tej klasy w Warszawie, zajechałem do firmy oferującej tatrę i zapytałem o kierownika. Mój samochód zrobił odpowiednie wrażenie, bo kierownik od razu przyszedł i elegancko się przywitał. Nabrałem głęboko powietrza, a potem powiedziałem mu kim jestem i po co przyjechałem. Co było istotą naszej rozmowy nietrudno się domyślić. Szybko dogadaliśmy się co do sumy i pan kierownik zapewnił mnie, że tatra będzie moja. Nie wiedziałem tylko, jak on to zrobi. Zainteresowanie tym pojazdem było ogromne, tłum przewoźników ostrzył sobie na nią zęby, zdałem się jednak na przemyślność kierownika. Zresztą – pieniądze wziął z góry.

Dopiero w czasie przetargu miałem poznać, na czym polegał jego prosty plan. Otóż tego dnia, kiedy kasjerka przyjmowała wpłaty wadium, jakiś magazynier pilnował porządku i każdemu oferentowi kazał wpłacać po 9000 zł. Tak też wszyscy zrobili. Ode mnie jednak kasjerka dwa dni wcześniej przyjęła 9800 zł.

Sala była wypełniona po brzegi. Niemal wszyscy zjawili się tutaj z jednej przyczyny, której było na imię Tatra. Przetarg oczywiście prowadził mój znajomy kierownik. Kiedy na wstępie oświadczył, że mimo dużego zainteresowania na tatrę jest tylko jeden klient, na sali podniósł się wielki szum. Wszyscy jak jeden mąż zaczęli krzyczeć, że to właśnie oni są tym jedynym chętnym. Kierownik wyjaśnił jednak spokojnie, że przystępujący mieli obowiązek złożyć wadium w wysokości dziesięciu procent ceny wywoławczej. Tak było napisane w ogłoszeniu, publikowanym w prasie. A dziesięć procent to jest ni mniej ni więcej tylko 9800 zł i nie chce być inaczej. Nikt, kto tego nie dopełnił, nie ma prawa głosu!

Szum zrobił się jeszcze większy. Jeszcze trochę i szoferaki wzięłyby się do bicia. Wtedy kierownik ustąpił. Potulnie wyznaczył dwadzieścia minut na dopłacenie brakującej sumy i zaprosił chętnych do kasy. Trzydziestu chłopów ruszyło tam biegiem, jak na zawodach. Tylko ja zostałem na sali. No i kierownik, który uśmiechał się do mnie zza stołu przydzielanego. Ciągle jeszcze głowiłem się: co on teraz wymyśli?!



Główkowałem niepotrzebnie. Rzeczywiście wymyślił wszystko już wcześniej. To był fachowiec w tej branży. Zrozumiałem to, kiedy pretendenci do mojej upatrzonej tatry zaczęli z nosem na kwintę wracać na salę. Kasa okazała się zamknięta. Była tam tylko kartka z informacją, że kasjerka wyszła na pogrzeb.

Przetarg się rozpoczął i tatrę oczywiście kupiłem ja, dając minimalne postąpienie. Nie widziałem powodu, aby się samemu ze sobą licytować, nawet gdy chodziło o wymarzony pojazd.

Do dzisiaj nie wiem, czy rzeczywiście był tam jakiś pogrzeb, czy nie. Całkiem możliwe, że kasjerka piła sobie kawę na zapleczu, ale jeśli naprawdę ktoś umarł, to świeć Panie nad jego duszą.

Po przetargu koledzy z placu gratulowali mi, że pięknie wszystko rozegrałem. Większość jednak patrzyła na mnie krzywo. Ja z twarzą pokerzysty odpaliłem swoją tatrę i ruszyłem przez miasto. Myślałem już jednak nie o moim nowym samochodzie, tylko o pomysle kierownika, który bardzo przypadł mi do gustu. Później sprzedałem ten patent wielu innym ludziom, którzy prowadzili przetargi. Zarobiłem nieźle, bo przedsiębiorstwa państwowe masowo wyzbywały się niepotrzebnego sprzętu, który był tak potrzebny w prywatnych firmach. Trzeba było jednak wkrótce z tym skończyć, gdyż przetargi wzięła pod lupę policja. Chytry pomysł pana kierownika od tatry był już spalony.

## Lepiej niech zgnije

Można by się teraz jeszcze zastanowić, czego ta policja tak gorliwie pilnowała, niczym pies ogrodnika. Pewnie tego, żeby potrzebny ludziom sprzęt spokojnie sobie rdzewiał w państwowych przedsiębiorstwach. Było przecież wiadomo, że nikt nie sprzedaje nowego samochodu czy maszyny. Wszystko, co trafiało wtedy na przetargi, to był zdezelowany złom, wyeksploatowany do granic wytrzymałości. Ludzie to kupowali, bo przecież nie można było nabyć potrzebnej maszyny na rynku. Potem jakiś Złota Rączka brał takiego trupa do

swojego warsztatu, biegał po złomowiskach, aby dopasować zniszczone części, i przywracał maszynę do życia. Ktoś na tym pracował, utrzymując rodzinę i wykonując usługi dla klientów, których znowu państwowe przedsiębiorstwo miało w tzw. głębokim poważaniu. Czy to więc po chrześcijańsku, że taki złom sprzedawano na przetargach za cenę często wyższą, niż kosztuje sprzęt prosto z fabrycznego składu? Czy to było właściwe, że państwo tak strzegło swojej pozycji monopolisty, rzucając kłody pod nogi każdemu człowiekowi z inicjatywą? Marnotrawiono ludzką energię i entuzjazm, tak samo jak oddawano na pastwę rdzy wielką część majątku, zgromadzonego bez jakiegokolwiek sensu w państwowych przedsiębiorstwach. Ja nigdy nie kupiłem sobie parowozu czy walca drogowego, chociaż było mnie stać – bo nie był mi potrzebny. Wystarczy zobaczyć, co zostało dzisiaj z tych molochów, gdzie się podział ich majątek i jakie kolosalne długi po sobie pozostawiły. I wcale nie dlatego, że ktoś załatwił sobie na lewo starą ciężarówkę czy traktor, gnijące na placu. To akurat zostało uratowane i długo jeszcze służyło ludziom, często jeszcze dzisiaj służy, kiedy powoli zapominamy o komunie. Gdyby w porę rozprzedali wszystko, żylibyśmy dzisiaj w bogatym kraju, a zrujnowane fabryki i PGR nie straszyłyby jak po wojnie atomowej. Po prostu w komunie wszyscy musieliśmy być biedakami i cieszyć się, kiedy państwo laskawie sprowadziło statek z bananami dla naszych dzieci na święta. Nic dziwnego, że moje srebrne audi 100 tak mocno przemówiło do wyobraźni pana kierownika od tatry.

## Złoty interes

Na początku interes ze żwirem szedł bardzo dobrze, z czasem jednak coraz słabiej. W branży była duża konkurencja, chłopcy ze składu opałowego w końcu też kupili sobie tatry. Więcej było chętnych do wożenia żwiru, niż inwestorów. Postanowiłem więc sprzedać ten interes znajomemu, a sam rozglądałem się za czymś nowym.



Był to w moim życiu najdłuższy okres bezrobocia, który trwał aż osiem miesięcy. Pieniądzy ubywało, a ja w końcu zacząłem się dość mocno denerwować. Kiedy człowiek od dziecka przywyknie do pracy, nie w smak mu leżenie do góry brzuchem i oglądanie telewizji. Ludzie, którzy o tym właśnie marzą i którym to wystarcza do szczęścia, są kalekami. Ja od najmłodszych lat nauczyłem się cenić inicjatywę, a także ryzyko w interesach, które pozwala osiągać nieprzeciętne zyski.

Wtedy właśnie wydarzyło się coś, co przez najbliższe lata zaważyło na moim życiu. Bez przesady mogę powiedzieć, że moje życie zasadniczo odmieniło. Z szeregowego przedsiębiorcy, któremu powodziło się raz lepiej, raz gorzej, stałem się uczestnikiem wielkiej gry o duże pieniądze. Szansa, jaka się wtedy przede mną otworzyła, to był naprawdę duży biznes.

Pewnego dnia przyszli do mnie chłopcy z miasta, których od lat znałem z widzenia. Zaproponowali mi kupno większej ilości spirytusu marki Royal. Zapytałem, dlaczego przyszli z tą sprawą właśnie do mnie. Odpowiedzieli, że znają mnie i wiedzą, że mam pieniądze. Znają również bardzo dobrze mojego brata. I co najważniejsze, mają do mnie zaufanie. Powiedzieli, że szukają ludzi do rozprowadzenia spirytusu. Żegnając się, zostawili numer telefonu.

Traf chciał, że kilka dni później zjawił się u mnie w domu kolega z dawnych lat. W rozmowie zapytał czy nie wiem, kto ma do sprzedania spirytus royal. Odpowiedziałem, że wiem. On wtedy poprosił o kawę i zaczął mi opowiadać, jak w tym interesie można zarobić naprawdę duże pieniądze.

Mówił, że kupuje się spirytus z Pewexu, robi z niego wódkę i sprzedaje w sklepach monopolowych. Z jednego litra spirytusu wychodzi pięć butelek wódki. Wódka jest 38-procentowa, o dwa procenty słabsza od oryginału. Żaden klient nie jest w stanie na tym się poznać. Sprzedawczynie udają, że sprzedają alkohol państwowy, za co otrzymują zapłatę. Ekspedientka zarabia w ten sposób trzy razy więcej od swojej pensji, więc nie trzeba się obawiać, że doniesie na policję.

Kolega zaproponował mi spółkę. Moim zadaniem było dostarczenie royalu po dobrej cenie, a on miał go przerabiać na wódkę. Ponieważ miałem już w ręku oba końce tego łańcuszka – dostawcę spirytusu i jego odbiorcę – przystałem na tę ofertę. Zostaliśmy współpracownikami.

Zadzwoniłem do chłopców z miasta. Przyjechali natychmiast.

Interes z każdym dniem rozkręcał się coraz lepiej. Chłopcy przestali nawet przywozić spirytus samochodem osobowym, a zaczęli dowozić go ciężarówką. Taki ruch zrobił się u mnie w domu, że musiałem dla przykrywkę otworzyć sklep mięsny. Wtedy zaczęło to już trochę lepiej wyglądać, zwłaszcza kiedy wisały na hakach szyneczki i kielbasy z nielegalnego uboju.

## Ludzie z „Góry”

Powoli poznawałem ludzi, którzy od dawna mocno siedzieli w tym biznesie. Byli to ludzie z samej góry. Tak ich tu będę określać – „Góra”, chociaż mógłbym podać nazwiska z pierwszych stron ówczesnych gazet. To byli ludzie z rządu i sejmowych ław, często znani politycy. To właśnie oni jako pierwsi zaczęli sprowadzać z zagranicy do państwowych sklepów spirytus royal. To na tym niemieckim i holenderskim spirytusie utuczili swoje olbrzymie majątki. Kto nie wierzy, jak wielkie to były pieniądze, niech wybierze się w Bieszczady i obejrzy latyfundium jednego z byłych ministrów handlu zagranicznego, którego ministrowanie przypadło akurat na okres słynnej „afery alkoholowej”. Czy może kupić połoninę ze swojej urzędniczej pensji? Spodziewam się, że ten człowiek, a także cała rzesza jemu podobnych, którzy w odpowiednim momencie otrzymali cynk z kompetentnych źródeł, codziennie modli się za zdrowie swojego dobroczyńcy, ministra finansów Leszka Balcerowicza. Być może nawet wychyli od czasu do czasu kielicha za zdrowie Guru Bankowości, przy czym niekoniecznie nawet royalu – spodziewam się, że stać ich

wszystkich na bardziej wykwintne alkohole. Co prawda zagraniczny spirytus popłynął do Polski już za komuny, za premierowania Rakowskiego, ale to właśnie w czasach Balcerowicza strumyczek zamienił się w rzekę. Nigdy nie zrozumieć jak państwo, którego połowa budżetu pochodziła z wódczanego monopolu, mogło zrodzić taką głupotę. Jedynym wytłumaczeniem jest to, że ludzie za to państwo odpowiedzialni myśleli już tylko jak napełnić własne kieszenie.

Warto też zastanowić się, kto ten cały interes wymyślił. Przeciętny aparatczyk komunistyczny nie jeździł przecież wtedy po zachodnich hurtowniach czy producentach alkoholu, nie znał cen, w ogóle nie miał pojęcia o interesach. Jedyne, na co było ich stać, to sprzedawać Ruskim za bezcen wszystko co kraj produkował i jeszcze utrzymywać ich armię, żeby nas broniła przed kapitalizmem. Nasuwa się wniosek, że idea wyszła z kręgów służb specjalnych, które od dawna pracowały nad tym jak zamienić komitety na banki. Generał Jaruzelski odgrażał się jeszcze, że będzie bronił komuny jak niepodległości, a jego ludzie już węszyli, jakby tu niepodległość najkorzystniej sprzedać nowym kupcom. SB miała swój wywiad, który nieźle potrafił na Zachodzie namieszać. Mój brat wiedział co nieco o głośnej akcji „Żelazo”, realizowanej przez SB w Niemczech, i zabezpieczył się, aby ta wiedza nie przepadła razem z nim. Prędzej czy później wypłynie na światło dzienne, ale dzisiaj jest jeszcze na to za wcześnie.

Trwało dość długo, zanim wreszcie chłopcy z miasta zorientowali się o co w tym interesie chodzi i nie zechcieli być dłużej pośrednikami. Do tego czasu sprzedawali spirytus sprowadzany przez „Górę”. Tymczasem nawet dziecko z podstawówki mogło wyliczyć, ile tutaj można zarobić. Jeden litr spirytusu marki Royal kosztował za granicą 1 dolara. W Polsce ci z „Góry” brali w sklepie około 70 zł za litr, a to było 7 dolarów. Rachunek jest prosty – na każdej butelce zarabiali 6 dolarów. Ładunek tira to 24 tysiące litrów. 24 tysiące razy 6 dolarów daje 144 tysiące dolarów zysku. Kiedy już chłopcy z miasta wszystko sobie policzyli, sami zaczęli sprowadzać spirytus royal z zagranicy.

W tym czasie „Góra” wprowadziła takie przepisy, że cały interes był legalny. Kiedy zaś zostało wydane rozporządzenie rządu, że spirytus można sprowadzać z zagranicy tylko do określonego dnia, ludzie z „Góry” kupili i przywieźli do Polski chyba cały wtedy dostępny na Zachodzie towar. Było o tym zresztą głośno w prasie i TV. „Góra” miała też, jak się później okazało, swój sposób na dystrybucję takich gigantycznych ilości alkoholu. Polegał on na tym, że importowany spirytus natychmiast wstawiano do sklepów po obniżonych cenach. Było szybciej sprzedać, a potem liczyć pieniądze. Słyszałem wtedy, że rodziny tych z „Góry” nie dawały rady przeliczyć tak ogromnych sum pieniędzy i to właśnie one pierwsze sprowadziły z Zachodu maszyny do liczenia banknotów. Ja też wkrótce zacząłem takiego urządzenia potrzebować.

## Potop i wiaderko

Zainteresowanie biznesem spirytusowym było ogromne i zaczęła w tym działać nawet mafia z byłych państw ZSSR. Konkurencja stała się coraz zajadlejsza. Poznawałem nowych ludzi z tej branży, którzy docierali do mnie i proponowali niższe ceny niż konkurencji. Byłem już wtedy jednym z największych odbiorców w Polsce. Zaczęła się też między nimi ostra walka o takich jak ja. Jednemu z konkurentów przestrelano kolano i odebrano ponad milion dolarów. W taki dość bezwzględny sposób został wykluczony z interesu.

Niemal wszyscy z „Góry”, którzy wypłynęli wtedy na spirytusie i zbili ogromne fortuny, pozostali bezkarni. Wiem tylko o jednym z nich, który został skazany przez sąd na... utratę odznaczenia państwowego. Nie muszę wymieniać nazwiska tego najdotkliwiej spoiniewieranego, bo o tym werdykcie sądowym było głośno. Po wyroku, którym odebrano mu medal, człowiek ten rozchorował się ciężko i do dziś bardzo niedomaga. Niedawno jednak dziennikarze spotkali go w bardzo odległym miejscu, na rajskiej wyspie. Zapytali go nawet,

w jaki sposób tak chory człowiek jak on mógł tam dojechać, a do sądu, w którym toczy się kolejna z jego spraw, nijak nie może.

Chłopcy z miasta odebrali w końcu tym z „Góry” złoty interes z royałem. Tamci nawet nie podjęli walki, żeby zachować swoją wcześniejszą przewagę. Owszem, to byli złodzieje w białych koszulach i dobrych garniturach, którzy bez żadnych skrupułów rozkradali państwo, ale jedyną ceną, jaką chcieliby zapłacić za ten uśmiech losu, były order. Kiedy poczuli, że zawody mogą się dla nich skończyć dziurą w kolanie, jeśli nie czymś gorszym – bo zawodnicy pojawili się coraz ostrzejsi – natychmiast się wycofali. Zresztą, nachapali się już dosyć. Z pieniędzy zarobionych na royału wyrosły fortuny późniejszych wielkich gwiazd polskiego biznesu.

Gdy „Góra” wysprzedała już ze sklepów swój towar, wydała wojnę chłopcom z miasta. Ogłoszono oficjalnie, że zagraniczny spirytus nie może być sprzedawany w naszych sklepach spożywczych, ponieważ jest to trucizna służąca do celów przemysłowych. Ciekawe tylko, dlaczego tak późno to zauważyli.

Oczywiście w tamtych czasach żaden z nas nie zdawał sobie sprawy z rozmiarów tego spirytusowego procederu. Dopiero z czasem w mediach zaczęło być coraz głośniejsze o „ aferze alkoholowej”. Niespodziewanie okazało się, że chłopaki ze swoimi tirami szmuglowanymi przez granicę, hurtowniami i zaprzyjaźnionymi sklepami monopolowymi tkwią w samym środku czegoś, co przerastało ich wyobraźnię. Tylko że w porównaniu z największymi rekinami tego rynku oni byli zaledwie harcerzykami.

Do Polski wpłynęło w tych latach, jak później o tym pisano w prasie, co najmniej 25 milionów litrów spirytusu. Czyli trochę ponad tysiąc tirów – cystern. Moim zdaniem, było tego co najmniej trzy razy tyle.

Nad aferą czuwał niejaki generał Ówiek, stary zupak mianowany przez generała Jaruzelskiego na szefa Głównego Urzędu Cei. Zdaniem wielu właśnie ta afera zadecydowała o dominującej roli kapitału przejętego przez komunę w życiu gospodarczym Polski. Tak jak ugruntowała to dalsza prezesura Sekuły i kolejne afery z jego

czasów: ziemniaczana, papierosowa, paliwowa, składów celnych i FOZZ.

Dzisiaj widzę zasadniczą różnicę między ludźmi z „Góry”, a chłopcami z miasta. Tamci rujnowali swoje własne, a przy tym także moje państwo, chłopcy zaś odebrali im tylko małą część tego łupu. Jeśli użyć stosownego porównania, to z potopu sprowadzonego przez „Górę” na nasz kraj chłopcom udało się zaczerpnąć małe wiaderko.

## Bardzo lotny spirytus

W tym czasie policja oczywiście działała, ale nie tak, jak zapewne chcieli ci z „Góry”. Nawet jak kogoś złapali, to miał wytłumaczenie, że to jest towar legalnie sprowadzony – bo takie były jeszcze niedawno przepisy, a z dystrybucją bywało różnie.

Oczywiście, zdarzały się i większe wpadki. Najciekawsza przydarzyła się Lutkowi – temu, który zginął niedawno na Woli w kawiarni „Dorotka” wraz z czterema kolegami. Już w tamtych latach był to jeden z największych hurtowników royala. Za współnika miał niejakiego Malarza, który posiadał sieć kantorów w podziemiach hotelu „Mariott”. Malarz dzisiaj też już nie żyje.

Lutek działał pod przykrywką hurtowni wina, która mieściła się pod mostem Gdańskim. Była to elegancka hurtownia, która posiadała do rozładunku wózki widłowe oraz paleciaki. Właśnie w tej hurtowni policja wykryła przez przypadek 120 beczek spirytusu. Cóż za triumf! Cieszyli się jak dzieci. Przypuszczam, że tego dnia byli z siebie naprawdę dumni, już myśleli co to będzie nazajutrz, jakie dostaną pochwały od przełożonych, jak będą udzielać wywiadów gdy przyjedzie prasa. Będą awanse, podwyżki, premie i ordery. Na razie spirytus zabezpieczyli, drzwi oplombowali i postawili dwóch młodych policjantów do pilnowania zdobyczy. Następnie pośpieszyli do katedry św. Jana, bo akurat tego właśnie dnia przyjechał do kraju Ojciec Święty.



Na drugi dzień, dobrze przed godziną szóstą rano, pod hurtownią tłumnie zebrali się policjanci i dziennikarze. Należy podkreślić, że w takich sprawach policja jest punktualna, a nawet potrafi przyjechać przed czasem. Kiedy wybiła dokładnie godzina szósta, policjanci ruszyli do akcji. Dlaczego akurat punkt szósta, nie wiadomo, pewnie tak sobie zaplanował jakiś ważny komendant. Drzwi hurtowni szturmowało ze dwudziestu chłopów w pełnym rynsztunku, w maskach i kamizelkach kuloodpornych, w hełmach z kevlaru i uzbrojonych po zęby, a zgraja dziennikarzy filmowała ten sukces kamerą. Opisuję to zdarzenie tak dokładnie ponieważ nieopodal tej hurtowni Lutka mój brat miał działkę rekreacyjną i obaj obserwowaliśmy stamtąd przebieg wydarzeń przez lornetkę. Policjanci wzięli hurtownię szturmem, zerwali plomby, sforsowali kłódkę. Najpierw sprawdzili, że wszystko jest nienaruszone. W końcu zdobyli i wzięli do niewoli beczki. Jakież musiało być ich zdziwienie, kiedy okazały się puste!

Widzieliśmy, że policjanci wyskakują z magazynu jak oparzeni, z głośnymi wrzaskami. Krzyczeli, o ile dobrze zapamiętałem: „Kurwa, gdzie ten spirytus! Przecież nie wyparował!” I jeszcze, jeśli się mylę: „Niemożliwe, kurwa, niemożliwe!” Nie będę udawać, że było mi ich bardzo szkoda. Raczej serdecznie chciało mi się śmiać, kiedy widziałem w lornetce, że twarze jednych z nich są mocno blade, a innych znów bardzo czerwone. Resztę już sami musicie sobie wyobrazić.

Spirytusu zaś nie było, bo Lutek załatwił z szefami tych nieszczęśliwych policjantów, za kwotę 75 tysięcy dolarów, że owi dwaj młodzi funkcjonariusze, którzy całą noc mieli pilnować drzwi hurtowni, również dostali polecenie czuwania nad papieżem. Lutek tylko na to czekał, z dwoma ciężarówkami samochodami i beczkami w stosownej ilości.

Moim zdaniem decyzja przełożonych tych dwóch policjantów była jak najbardziej słuszna. Czyż można w ogóle mieć jakiegokolwiek wątpliwości, że bezpieczeństwo naszego Ojca Świętego było ważniejsze od jakiegoś spirytusu, tym bardziej tak szkodliwego na wzrok i zdrowie?

Kiedy policjanci pojechali objąć nowy posterunek, pod hurtownią zjawili się chłopcy. Lutek był bardzo drobiazgowy i chciał być w porządku wobec tych biednych policjantów, zabrał więc ze sobą klucze od kłódki i plombownicy. Po cichu, grzecznie zdjęli z paki puste beczki, załadowali pełne i odjechali. Oczywiście Lutek nie zapomniał założyć nowej plomby i zamknąć jak należy kłódkę, no i klucze też oddał komu trzeba.

Jeśli chodzi o tę dołą odpaloną policyjnym szyszkom, to Lutek wcale nie był aż taki rozrzutny. Na tym spirytusie zarobił razem z Malarzem drugie 75 tysięcy dolarów. Był to bowiem towar nie jego, tylko wstawiony przez Ruskich w komis.

Sprawa na drugi dzień nabrała rozgłosu dzięki dziennikarzom. Rozpisywali się o niej przez kilka dni, roztrząsając w tę i we w tę, co też takiego mogło się tam wydarzyć. Tytuły były różne, niektóre nawet bardzo odkrywcze, na przykład: „Spirytus wyparował z beczek”. Natomiast Lutek z Malarzem zaczęli opowiadać wszystkim dookoła, jak to policja chciała odebrać im sto dwadzieścia beczek royalu, ale oni woleli wejść nocą do hurtowni przez jakąś dziurę i na złość wylać spirytus do Wisły. Plotki dotarły do dziennikarzy, którzy natychmiast połknęli haczyk i podnieśli alarm, że przemytnicy chcieli wytruć rybki w Wiśle. Mniej więcej o to nam wszystkim chodziło.

Tę samą bajkę Lutek opowiedział Ruskim. Tamci we wszystko uwierzyli, a nawet go pochwalili. Powiedzieli, że dobrze zrobił. „Jebać mientow w sraku, łuczszje w riekum rakom”. W taki sposób Ruscy stracili 30 tysięcy dolarów, bo tylko tyle kosztował ich ten towar. Wszystko rozeszło się po kościach, choć prasa później jeszcze się rozpisywała, że będą pociągnięci do odpowiedzialności ludzie, którzy wydawali w tej sprawie polecenia. Jak widać, do dziś jest spokój. No i najważniejsze, ryby w Wiśle są trzeźwe.

Opisałem tę historię ponieważ Lutek był moim naprawdę dobrym kolegą, podobnie jak Malarz. To ja im pomogłem w zorganizowaniu stu dwudziestu pustych beczek i we wszystkim, w czym wtedy mogłem. Pomogłem im też uczcić sukces, trunkiem trochę lepszym, niż royal. Dlatego to wszystko wiem.



## Jedyna wpadka

Moja jedyna wpadka ze spirytusem miała miejsce poza Warszawą. Stało się bodaj we wrześniu 1992 r. Policja złapała mnie wtedy blisko magazynu, w którym trwał właśnie rozładunek dużego transportu. Ja znalazłem się tam przez przypadek, alkohol bowiem nie był przeznaczony dla mnie, ani też nie brałem żadnego udziału w całej aferze. Spirytus był w rękach Słowika i niejakiego Oczki ze Szczecina, którzy ukradli go chłopakom ze Szczecina. Obaj odbywali wtedy karę więzienia i nie powrócili z przepustki. Oczywiście wcześniej tamci ze Szczecina też go mogli komuś ukraść, a już na pewno przemycili transport przez granicę.

W taki oto sposób spirytus stał się własnością Pruszkowa. Kilka kilometrów od zakonspirowanego magazynu tira z zawartością przejęli od Słowika i Oczki chłopaki z Warszawy. Kiedy przystąpili do rozładunku, wpadła policja. Później się okazało, że transport był pod jej kontrolą od samego Szczecina. Teraz spirytus stał się własnością pana komendanta stołecznego.

Ponieważ tir długo nie wracał, Słowik i Oczko przyjechali do mnie. Poprosili abym im pokazał, gdzie znajduje się ten tajny magazyn. Pojechaliśmy w to miejsce razem, ich samochodem. Budynek stał przy samym lesie. Było cicho i spokojnie, ale coś nas zaczęło niepokoić. Coś było nie tak. Czułem przez skórę, że ktoś się tam czai w mroku.

Widać wszyscy poczuliśmy to samo, bo postanowiliśmy się wycofać. W tej samej chwili nasz samochód ogarnął oślepiający blask. To policja oświetliła nas potężnym reflektorem. Widziałem sylwetki biegnące w naszym kierunku z bronią w ręku.

Nagle ktoś – nie pamiętam czy był to Oczko czy Słowik – cisnął mi na ręce plastikową torbę. Bez trudu wyczułem, że w środku jest pistolet. Natychmiast odrzuciłem ją w zarośla przez otwarte okno. Ledwo to zdążyłem zrobić, kiedy wyciągnięto nas z samochodu na zewnątrz i obalono na ziemię. W bagażniku policjanci znaleźli jeszcze dwa kolejne pistolety.

Mnie następnego dnia zwolniono z aresztu za kaucją w wysokości 20 tysięcy zł. Było to wówczas 20 tysięcy dolarów. Natomiast Słowik, który miał przy sobie lewe dokumenty, został aresztowany. Oczko również. Nie siedzieli długo. Obu wyrwał z aresztu ten sam mecenas, który później załatwił Słowikowi ułaskawienie od prezydenta Wałęsy. Jak to było możliwe, skoro w akcji pod magazynem spirytusu policja znalazła nielegalną broń? Z tego co z całą pewnością wiem, dwa znalezione wtedy w samochodzie Słowika pistolety znikły z policyjnego magazynu. Ile to Słowika kosztowało, nie mogę sobie nawet wyobrazić. Opisuję tę sprawę tylko dlatego, że sam Słowik pierwszy ujawnił ją w swojej książce, która niedawno ukazała się na rynku.

## Porwanie

Około sześć lat temu otworzyłem kantor i lombard w Ząbkach na ul. Warszawskiej 48. Moim współnikiem był wtedy Ceber, dobry kolega niejakiego Mariana Klepaka. Obaj pochodzili z Wołomina. Ceber miał żonę i 20-letniego syna, którzy byli zatrudnieni w kantorze. Sam Ceber należał w tym czasie do grupy pruszkowskiej. Pruszkowiaków poznałem wielu, ponieważ często do Cebera przyjeżdżali. Mnie to nie przeszkadzało, gdyż rzadko bywałem w kantorze. Pewnego dnia Pruszkowiacy wraz z Ceberem uprzedzili mnie, że bym nie brał spirytusu od nikogo, tylko od nich, bo oni będą mieli taniej. Zapowiedzieli, że postanowili przejąć ten interes. Odrzekłem, że niema sprawy. Jeżeli będzie taniej, to zgoda.

Już po kilku dniach dowiedziałem się jak oni to robią. Ponieważ znali dobrze środowisko, od dostawców i hurtowników po detalistów, postanowili po prostu ich okradać. Zawsze skądś wiedzieli kiedy będzie dostawa i w chwili, gdy tir wjeżdżał do magazynu hurtownika z towarem, pojawiali się chłopcy z Pruszkowa. Przyjeżdżali w grupie

około dwudziestu ludzi pod bronią i po prostu porywali dostawców. Hurtownikom mówili, że to stara sprawa, którą trzeba wyjaśnić. Wywozili dostawców do lasu i tam ich bili i kopali tak długo, aż ci nie zmiękli. Odpowiednio zmiękczonego dostawcę, jeśli nie chciał z kolei nagle zeszytnieć, już bez ociągania wyrażał zgodę na to, aby za przywieziony towar hurtownik zapłacił Pruszkowiakom. Dostawcę przetrzymywali, póki towar nie został rozładowany, a hurtownik nie przekazał im należności. Wtedy dopiero wypuszczali dostawcę, który jeszcze musiał przysiąc, że będzie teraz dla nich pracował i wystawi kolejnych dostawców.

Wszystko to potwierdził niedawno w swojej książce niejaki Słowik, jeden z owych pracowitych i bardzo przedsiębiorczych Pruszkowiaków.

W ten oto sposób Pruszków ograbił bardzo wielu dostawców. Niektórzy z nich ze strachu wystawiali swoich kolegów z branży. Często tiry ze spirytusem zabierano im już na trasie. Kto nie pracował dla Pruszkowiaków, ten był ich wrogiem.

Pewnego razu przejęli jednak na trasie dwa tiry, które należały do Lutka i Klepaka, i wybuchła wielka awantura. Wiem o niej, gdyż wszyscy zjechali się do mojego kantoru w Żąbkach i byłem obecny przy tej rozmowie. Jak już wspomniałem, w tym czasie Ceber, kolega Klepaka a mój współnik, był w grupie pruszkowskiej. Bardzo często zabierał głosu w tej dyskusji, czy oddać zabrane przez pomyłkę dwa tiry ze spirytusem, które jak się później okazało, należały do Lutka i Klepaka. Ceber był za tym, żeby nie oddawać, ale w końcu wszyscy ustalili, że oddadzą jednego tira, a drugiego zatrzymają, ponieważ mieli różne koszty, takie jak magazyny, pojazdy i tak dalej.

W ten sposób Pruszkowiaki zarobili ogromne pieniądze. Miliony dolarów i to w poniekąd legalny sposób, bo kto pójdzie na policję i powie, że ukradli mu przemycony spirytus.

Tak minęło kilka miesięcy, aż pewnego dnia Darek, syn Cebera, nie dotarł do pracy. Do naszego wspólnego w tym czasie kantoru, gdzie pracował jako kasjer. Ceber zjawił się tak jak wszyscy punktualnie, a Darka ciągle nie było. Minęła godzina, w końcu Ceber nie

wytrzymał i zaczął dzwonić najpierw do żony Darka, a następnie na policję i na pogotowie. Dzwonił gdzie tylko mógł, ale Darka nigdzie nie było. Ceber już wyczuł pismo nosem. Powiedział, że skoro syna nigdzie go nie ma, to jest pewien, że go porwano. Spytałem go, dlaczego tak myśli. Odpowiedział, że wyczuwa to na sto procent, bo Darek nigdy by się tak nie zachował. Jest tego pewny.

Już za parę godzin okazało się, że Ceber miał całkowitą rację. Zadzwonili do mnie do domu porywacze i zażądali, abym szykował trzysta tysięcy dolarów za swojego kasjera. Ja jednak zacząłem straszyć ubliżać temu, który do mnie zadzwonił. Wtedy on również zaczął bluźnić i odłożył słuchawkę. Wkurzyłem się, bo w pierwszej chwili pomyślałem, że Darka naprawdę porwano tylko po to, żeby wymusić ode mnie okup. Na drugi dzień zadzwonił do mnie ten sam człowiek i już spokojnie zapytał, czy dogadamy się co do ceny. Odpowiedziałem mu, żeby powiedział ile chce. Teraz żądał sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Powiedziałem, żeby zadzwonił za kilka godzin, bo muszę sprawę przemyśleć.

Zaraz wezwałem Cebera, żeby do mnie przyjechał. Po kilku minutach był u mnie w domu. Powiedziałem mu o telefonie, jaki miałem od porywaczy, ile zażądali. Wtedy Ceber wpadł w szal, krzyczał, że nie da nawet złotówki i muszą jego syna wypuścić za darmo. Obdzwaniał wszystkich swoich kolegów z Pruszkowa, z którymi kilkanaście dni temu mocno się pokłócił. Pierwszym, do którego zadzwonił, był niejaki Balbin. Zaczął mu ubliżać i wykrzykiwać że on dobrze wie, iż to on z Pershingiem porwali mu syna i lepiej niech go szybko wypuszczą, bo jak nie, to on się weźmie za ich dzieci.

W ciągu dnia do naszego kantoru przysła pewna kobieta, która chciała pożyczyć na jakiś czas trzydzieści tysięcy dolarów. Na wszelki wypadek skontaktowałem się z Ceberem i zapytałem, czy mam te pieniądze pożyczyć, czy może będą mu potrzebne na wykupienie syna. Odparł ze złością, że nie zapłaci ani złotówki, a pieniądze można pożyczyć. Tak też zrobiłem. Zona Cebera była wtedy przy tej rozmowie.

## Pershing u jasnowidza

Następnego dnia Pershing przysłał swojego chłopaka do żony Cebera, żeby dała jakąś rzecz, w którą ostatnio ubierał się Darek. Pershing chciał z tym jechać do jasnowidza, a ten miał dzięki temu określić, gdzie się znajduje porwany. Ceber zaś niech nie wygaduje głupot, bo oni tego na pewno nie zrobili – zapewniał ten od Pershinga.

Nazajutrz przyjechał sam Pershing i przekazał, co powiedział jasnowidz. Kierując się tymi wskazówkami wszyscy ruszyliśmy na poszukiwania Darka, objeżdżaliśmy po kolei miejsca, które określił jasnowidz, ale niestety bez skutku. Do mnie ten nieznaną mężczyzna już więcej się nie zwracał, ale za to zadzwonił do Cebera i dał mu Darka do telefonu. Darek podobnie zaczął wtedy okropnie płakać, żeby go ratować, bo oni go zabiją. Ceber zmiękł. Ustalił z porywaczami, że pieniądze przekaże przez Lutka i Klepaka – których oczywiście wytypowali sami porywacze, a nie Ceber.

Od razu po tym telefonie Ceber przyjechał do mnie z żoną. To już nie był ten sam Ceber, co zwykle. Zmienił się nie do poznania. Po rozmowie z synem całkowicie zmiękł. Przestał krzyczeć, nic do niego nie docierało. Tylko jedno teraz miał w głowie – od kogo szybko wziąć pieniądze, aby zapłacić za uwolnienie syna. Syna, który niedawno wziął ślub i którego żona wkrótce spodziewała się dziecka.

Ceber zaczął liczyć od kogo i ile może szybko pożyczyć. W końcu doszedł do mnie. Wtedy mu powiedziałem, że teraz liczy na moje trzydzieści tysięcy dolarów, choć kiedy go pytałem, czy będą mu potrzebne jakieś pieniądze w związku z Darkiem odpowiedział, że nie zapłaci ani grosza. Ponieważ zaczął udawać głupiego zapropnowałem, aby spytał swoją żonę, czy tak nie było. A żona Cebera potwierdziła.

Ceber jeszcze mocniej pobladł i już się do mnie nie odzywał. Jeszcze trochę pogadali z moją żoną, która im wręczyła jakieś pieniądze, i pojechali. Na drugi dzień po południu Ceber spotkał się pod moim domem z Lutkiem i Klepakiem, wszyscy oczywiście w roli dobrych kolegów, jakby zapomnieli o tym spirytusie, który zabrał

Ceber z Pruszkowiakami i o tym, że to Ceber najczęściej krzyczał, żeby nie oddawać. Kiedy do nich podszedłem, usłyszałem jak bardzo Lutek i Klepak współczują Ceberowi. Mówili, że oni też mają dzieci i dlatego postanowili mu pomóc, ale żeby nie żądał od nich później wskazania porywaczy, gdyż nie chcą sobie przez to narobić wrogów. Ceber wręczył im gotówkę. Było to w przeliczeniu na dolary sześćdziesiąt tysięcy. Powiedział im, że trzydzieści tysięcy będzie miał za kilka godzin, liczy zaś na to, że kolejnymi trzydziestoma tysiącami oni go poratują, na nie więcej niż dziesięć dni. „Chyba mnie rozumiecie, co to jest, sami też macie dzieci” – prosił Ceber. Wtedy oni powiedzieli: „Dobrze, ale na dziesięć dni. Pamiętaj, Heniek jest świadkiem, bo nam też są potrzebne pieniądze”. Ceber dał słowo, że na pewno. Tak się rozstali.

Od razu się domyśliłem, co tu jest grane, ale pewności nie miałem. W tym czasie prasa mocno rozpisywała się na temat porwania Darka i policja zaczęła już deptać porywaczom po piętach. Między innymi zaczęli instalować podsłuchy. Dlatego, moim zdaniem, porywaczom zaczęło zależeć na tym, aby jak najszybciej uwolnić Darka w zamian za pieniądze. Z tego co wiem dzisiaj, to wypuściliby go za darmo, ale niestety Ceber nie wytrzymał ciśnienia. W końcu ja sam nie wiem jak bym postąpił, gdyby chodziło o mojego syna. Ale to nie był mój syn i myślałem, jak myślałem.

Pamiętam dokładnie, ponieważ był to piętnasty dzień lipca i tego dnia były moje imieniny, wieczorem, około godziny 21 Ceber przywiózł Darka, całego i zdrowego. Narzekał tylko na nogi. Trzymali go w jakiejś piwnicy na działce i przez te wszystkie dni nie mógł wyprostować nóg. Nic więcej nie chciał powiedzieć.

## Nerwowy tydzień

Przez tę sprawę Ceber wpadł w poważne kłopoty finansowe. Nie znaczy to, że był niewypłacalny, ale jego pieniądze krążyły u ludzi, którym pożyczył na procent. Zdawał sobie sprawę, że jeśli je wycofa,



to nie będzie zarabiać. Z nerwów zaczął mieć dosłownie do wszystkich, po kolei, pretensje. Pokrzykiwał, że ktoś za to wszystko zapłaci, tylko chyba nie bardzo wiedział, kto i za co. Do mnie też miał pretensje, że nie pożyczyłem mu tych trzydziestu tysięcy dolarów. Kiedy z tym wyskoczył powiedziałem mu grzecznie, żeby się ode mnie odpiardolił.

W końcu Ceber zaczął się o byle co czepiać wszystkich, którzy mieli jego pieniądze i narzucać im kary. Zaczął prześladować nawet mojego wspólnika od spirytusu, dawał mu terminy, groził. Wspólnik ze strachu przed Ceberem nie wychodził z domu. Z rzadka tylko chyłkiem mnie odwiedzał, czego Ceber nie mógł przeboleć. Doszło do tego, że postanowił pobić go w moim domu. Któregoś wieczoru wpadł i uderzył człowieka w twarz. Ja zaś, niewiele myśląc, trzasnąłem Cebera i wygnałem go na ulicę. Powiedziałem, że jeżeli on tak robi, to ja nie pozwolę, aby mi dyktował kto ma u mnie w domu bywać, a tym bardziej nie pozwolę, żeby napaadał na mój dom. Ceber uciekł i w ten sposób rozstaliśmy się na dobre.

Ze zdenerwowania zaczęliśmy z tym wspólnikiem od spirytusu pić. Zdaje się, że nie piliśmy jednak spirytusu, raczej był to jakiś scotch, pewnie Johnnie Walker albo Ballantine's, a także żubrówka, gin, bourbon kiedy zabrakło scotcha, trzeciego dnia pojawił się w dużych ilościach i został wykończony courvoisier, potem – kiedy już zabrakło jałowcówki i bourbona – pity był jamaica rum, wskutek czego wspólnik puszczał pawia, piątego dnia majaczy mi w pamięci starka, martell i soplica, a kiedy zabrakło wszystkiego innego to ciągle jeszcze był smirnoff w dowolnej ilości, pamiętam też że było wiele piwa, więc nas mocno trzymało. Zdenerwowanie nasze było tak wielkie, że trwało to wszystko całych siedem dni. Byłem jeszcze na mocnym kacu, kiedy któregoś ranka zadzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę i słyszę jak Ceber krzyczy, że podłożyłem mu bombę, i jeszcze tam coś krzyczał. Znow się na niego zdenerwowałem, powiedziałem zwięźle „odpiardol się”, bo nic innego jakoś nie mogło mi przyjść do głowy, i rzuciłem słuchawkę. Z ner-

wów z powrotem zacząłem leczyć się tym, od czego zachorowałem, ale już nie będę wymieniać po kolei, a to z uwagi na czytelników – abstynentów. W rozmowach, które się wówczas toczyły, począłem o Ceberze mówić już niegrzecznie. „Co ta kurwa ode mnie chce?! Teraz, po tym posądzeniu, to ja się za niego wezmę!”

Nie wziąłem się jednak ze Cebera, bo po jakiejś godzinie przyjechała do mnie jego żona i zaczęła mi opowiadać, jak to oni rano wychodzili z domu i wybuchła bomba, ale na szczęście nic się im nie stało. Byłem wtedy już po dobrym kielichu, ale humor mi nie wrócił. Powiedziałem jej, że za to, co Ceber powiedział do mnie przez telefon, to ja mu nie podaruję. Wtedy kobieta zaczęła mnie przepraszać. Mówiła, że on był bardzo zdenerwowany i nie wiedział, co mówi. Potem sam prosił, aby żona w jego imieniu mnie przeprosiła. Ja jej jednak powiedziałem, że nie chcę go znać i definitywnie się rozstajemy. Zapytałem tylko jeszcze, czy ona wie, ilu dokładnie Ceber ma wrogów. Powiedziała tylko, że po tym wszystkim to ona już sama nie wie, co mu odbiło. On po prostu nie może dojść do siebie po tym porwaniu. Wtedy oznajmiłem, że Ceber gania dobrych chłopaków i narzuca im kary nie wiadomo nawet za co. Nie powinna się dziwić, że podkładają mu bombę. Powiedziałem raz jeszcze, że nie chcę go znać ani się z nim spotykać, a nadto, że rozwiązuję spółkę.

Po kilku dniach spotkałem się jednak z Ceberem, ale tylko służbowo, żeby się po prostu rozliczyć. Oczywiście zaczął mnie przepraszać. Stało się jednak na tym, że zamykamy interes i nic do siebie nie mamy. I tak się rozstaliśmy.

Ceber znalazł sobie nowego wspólnika również w Ząbkach i zaczął powoli szykować lokal pod przyszły lombard i kantor. Dałem mu słowo, że pieniądze które mu się należą z rozliczenia oddam w ciągu jednego miesiąca. Było tego niewiele, bo tylko 36 tysięcy dolarów. Dla niego jednak było to trochę pieniędzy.

W tym czasie policja zamknęła Klepaka za jakieś porwanie. Ceber nie dawał za wygraną i jeździł z synem na to miejsce, z którego



go wypuszczono – po to, żeby ustalić w którym miejscu był przetrzymywany. Któregoś dnia wreszcie odkrył to miejsce.

Działka należała do Klepaka. Ceber poszedł do komendy stołecznej i powiedział o tym znajomym policjantom. Zaproponował, że ich zawiezie na to miejsce, gdzie Darek był przetrzymywany. Policjanci pojechali z Ceberem i okazało się, że to jest to samo miejsce, gdzie ostatnio Klepak przetrzymywał dwóch porwanych biznesmenów, po których została zakrwawiona koszula. Później w sądzie posłużyła jako dowód rzeczowy.

Ceber zaproponował policjantom układ. Mieli iść do Lutka i powiedzieć mu o wszystkim, a w zamian za to, żeby nie było żadnej sprawy o porwanie Darka, Lutek miał zwrócić 120 tysięcy dolarów, które wziął jako okup za Darka, i jeszcze 30 tysięcy dla tych policjantów. Najwidoczniej Ceber sam bał się iść do Lutka i powiedzieć mu to prosto w oczy.

Informacja dotarła do Lutka bardzo szybko. Zjawił się u niego niejaki Czarek Oczko z Wołomina, ten sam Czarek, który miał zostać później świadkiem incognito w sprawie poznańskiej, czyli zabójstwa Malowanego, jednego z szefów grup przestępczych z państw byłego Związku Sowieckiego. Otóż ten Czarek wtedy, że ma znajomego policjanta, który za dwa tysiące dolarów będzie miał dla Lutka bardzo ważną wiadomość. W taki oto sposób Lutek dowiedział się o niebezpieczeństwie, jakie groziło jemu oraz Mańkowi Klepakowi, który zresztą był już tym czasie aresztowany w związku z wcześniejszymi porwaniami.

Na dwa dni przed śmiercią Cebera poszedłem do jego nowo otwartego kantoru w Ząbkach, nieopodal mojego. Zwróciłem mu 36 tysięcy dolarów, które winien mi byłem z rozliczenia naszej spółki. Ceber podziękował i poprosił mnie na zaplecze. Tam powiedział, że już niedługo skończą się jego kłopoty, bo sprawcy muszą mu zwrócić pieniądze, które wzięli za porwanie Darka. To miała być kwestia kilku dni. Z ciekawości zapytałem Cebera kto to zrobił. Nie chciał powiedzieć. Mówił tylko, że jest pewien nie w dziewięćdziesięciu dziewięciu, tylko w stu procentach.

## Ceber bez nóg

Dwa dni później Ceber zginął w swoim domu w Markach od wybuchu bomby. Eksplozja była tak silna, że Ceberowi urwało nogi. Zginął na miejscu. Pozostaje jednak pytanie, kto to zrobił i jak do tego doszło. Do dziś jest to dla mnie zagadką.

Ceber posiadał bardzo ładną willę, którą przejął legalnie za dlugi, o czym wszyscy w Markach wiedzieli łącznie z policją. Przyjechał tam razem ze swoimi dobrymi kolegami Jurkiem Maliszewskim i Wojtkiem. Był to ten sam Jurek, który niegdyś zastrzelił w Domach Centrum policjanta. Poszukiwano go listem gończym i policjant widocznie go rozpoznał. Chciał go zatrzymać, lecz Jurek wyciągnął pistolet i strzelił, zabijając policjanta na miejscu. Dostał 25 lat, które odsiadywał, ale po 12 latach Ceber z Wojtkiem wyciągnęli go z więzienia.

Bomba dla Cebera zabiła również Maliszewskiego. Natomiast Wojtek uniknął śmierci tylko dlatego, że momencie eksplozji znajdował się w toalecie. To mu uratowało życie.

Sprawców podłożenia bomby nietrudno było wskazać. Wszyscy się domyślali, kto to zrobił, tylko policja nijak nie mogła się domyślić. Zwijali wszystkich chłopaków z różnych okolic, mnie też nie pominieli, zapomnieli tylko oczywiście o Lutku. Może dlatego, że mieszkał w Międzylesiu, a to jest aż 10 kilometrów od centrum Warszawy. Pewnie policjanci byli zmęczeni i po prostu nie chcieli im się tak daleko jechać.

Co jednak ciekawe, dzień przed tą tragedią do żony Cebera zadzwonił policjant z tej dzielnicy, gdzie stała ich willa. Powiedział, żeby Ceber tam przyjechał, ponieważ jego ludzie zauważyli, że koło posesji ktoś się kręci. Ceber wrócił do domu późnym wieczorem i wtedy żona powiedziała mu o tym dziwnym telefonie. Rankiem następnego dnia Ceber postanowił sprawdzić, co tam jest grane, bo przecież w willi nie było nic, co by mogło zainteresować złodziei. Budynek stał pusty i czekał na kupca. Zabrał swoich zaufanych ludzi, pojechali tam razem i wtedy właśnie zginęli. Nie chcę przesądzać, czy to policjanci

wystawili Cebera, czy też nie. Dziwi mnie jednak, dlaczego ludzie pana komendanta sami nie sprawdzili, kto to taki kręcił się koło domu Cebera. Jeżeli coś podejrzewali, to powinni zareagować w ramach swoich obowiązków, a nie negocjować przez telefon z żoną właściciela posesji. Dalej: skąd pan komendant w ogóle wiedział, że ów dom należy do Cebera? I jeszcze: z jakiego powodu znał zastrzeżony numer jego domowego telefonu?

Według mnie, były dwie przyczyny śmierci Cebera. Zginął, bo ukradł spirytus Lutkowi i Klepakowi. Główną przyczyną było jednak to, że odkrył kto porwał mu syna.

Za wcześniejsze porwania, ani też za porwanie syna Cebera, nie siedział nikt. Klepaka w końcu wypuścili z aresztu, ponieważ sprawa się przeciągała, a w międzyczasie zmarł jeden z ławników. Wkrótce potem zmarł drugi ławnik. Wtedy Klepaka zwolniono i, jak się domyślicie, jego sprawa już się nigdy nie odbędzie. Nie z tego bynajmniej powodu, że umarł jeszcze trzeci ławnik, ale dlatego, że zginął głównodowodzący w tych porwaniach, to znaczy sam Klepak. Został zastrzelony na Woli w kawiarni Dorotka wraz z Lutkiem i trzema współnikami. Tajemnicę porwania syna Cebera i innych, a także wystawienia Cebera do odstrzału, zabrali ze sobą do grobu.

## **Ciężkie czasy dla gangstera**

Lutek zadzwonił do mnie do domu kilka dni przed swoją śmiercią. Zapytał, czy mógłbym się z nim spotkać. Odpowiedziałem mu, że nie widzę problemu. Pojawił się w ciągu godziny. Był sam. Przyjechał najnowszym modelem lexusa, wartym około czterech miliardów starych złotych. Zaprosiłem go na górę do salonu, w którym go już tyle razy wcześniej gościłem. Usiedliśmy przy stole. Tym razem widać było po nim zdenerwowanie, którego przede mną nawet nie ukrywał.

Lutek od razu powiedział, że przyjechał do mnie w bardzo poważnej sprawie. Skarżył się, że od dłuższego czasu jego grupę prześla-

duże pech, że mieli dużo wpadek ze spirytusem. Mówił też o wpadce we Francji. Chodziło o ponad 20 ton marihuany, którą przechwycili celnicy. Na dodatek zatrzymali jeszcze jego dwóch najlepszych ludzi. Jeden z nich był ochroniarzem Mariana Klepaka. Lutek zdradził, że podejrzewa kogoś z Pruszkowa o współpracę z policją. Mówił, że nie nadaża już jeździć do adwokatów, ale że musi ludziom pomóc, bo w końcu pracowali dla niego. Wspomniał też, że niedawno udało mu się wyjść z głośnej sprawy Malowanego, który został zastrzelony, i wyrwać z aresztu jedną grupę chłopaków, a także, że jeszcze siedzi jego druga grupa, ale ich też wypuszczą, ponieważ mija pół roku, a nie mają na nich niczego. Nie mają już zwłaszcza świadków incognito, ponieważ jedynym był ten łachudra Czarek Oczko z Wołomina. Gdy zapytałem Lutka co się z nim stało, odpowiedział, że na pewno piwa już nigdy się z nim nie napiję.

Mówił też o jeszcze jednym świadku incognito z Pułtuska czy z Nasielska, który gdzieś się ukrywa i przed policją i przed nim, ale że ta kwestia zostanie rozwiązana w ciągu najbliższych dni, ponieważ dużo ludzi poszukuje go tylko po to, żeby łachudrę zakopać. Lutek opowiadał, że gdy ostatnio prokurator zapytał go, czy przypadkiem nie widział tego Czarka z Wołomina oraz tamtego z Pułtuska, odpowiedział prokuratorowi, że dawno stracił ich z oczu. Prokurator tylko się uśmiechnął pod nosem.

Malowany zginął w Poznaniu. Był to jeden z szefów grup przestępczych z dawnego Związku Sowieckiego. Z tego co wiem zginął z ręki Lutka, ponieważ wtrącał się do jego interesów.

## Wyścig z kulą

Lutek powiedział mi też, jak to było z odstrzeleniem Juniora. Nie krył, że to on sam dał zlecenie na Juniora, bo Junior został świadkiem incognito do sprawy Malowanego. Dowiedzieli się o tym od znajomych policjantów i nie mieli innego wyjścia. Niestety, wyko-

nawcy zastrzelili najpierw jakiegoś zupełnie niewinnego chłopaka u fryzjera na Bródnie, tylko dlatego, że był podobny do Juniora. Ktoś się bowiem pomylił i powiadomił telefonicznie, że Junior jest w tej chwili u fryzjera, do którego często przychodził. Okazało się jednak, że to nie Junior zginął. Zleceniodawcy zadzwonili zatem do wykonawców z reklamacjami. Traf chciał, że Junior w tym właśnie momencie był u nich w kantorze w podziemiach Mariotta. Oczywiście, o tym też napomknęli. Ekipa, która miała wykonać egzekucję, w kilka minut była już w podziemiach Mariotta. Lutek z Mańkiem pośpiesznie wyprowadzili ofiarę z kantoru, bo wykonawcy zapowiedzieli, że ich zupełnie nie interesuje miejsce gdzie to się odbędzie, że może to być nawet w komendzie policji. Jak powiedzieli, tak zrobili. W biały dzień około godziny 13 w podziemiach hotelu Marriott, w obecności setek ludzi, którzy tam w tym czasie przechodzili. Junior próbował uciekać, ale mimo tego, a nawet mimo kamizelki kuloodpornej, wykonawcy zrobili co chcieli i nikt na to w żaden sposób nie zareagował.

Junior miał chyba coś do czynienia ze sportem, jak sama jego ksywka wskazuje, ale bardzo trudno ścigać się z kulą. Kamizelka była też niczego sobie, takie noszą prezydenci pod białą koszulą, a może również premier Miller kiedy wychodzi do ludzi na ulicę, jednak i taka dobra kamizelka ma swoje wady. Nie da się jej na przykład naciągnąć na głowę. Na głowę Junior powinien jeszcze włożyć hełm – tylko jak on by wyglądał w Mariocie w tym hełmie? W każdym razie hełm i kamizelkę policja obowiązkowo powinna zapewnić każdemu swojemu konfidentowi.

Trzeba też powiedzieć prawdę, dlaczego Junior został konfidentem. Niech to będzie przestroga dla wszystkich, którzy dadzą się wciągnąć w brudne gierki policji.

Junior został konfidentem dlatego, że policjanci dowiedzieli się co nieco o jego sprawach. Żeby zmusić go do współpracy, podrzucili jego ślady zapachowe do autokaru, który wcześniej okradł ktoś inny. Żona Juniora w tych dniach czekała na urodzenie ich pierwszego

dziecka. Miało przyjść na świat lada godzina. Być może z tego powodu, obawiając się aresztowania, uległ policji. Zapłacił za to, krótko mówiąc, najwyższą cenę.

Prokurator, który mnie przesłuchiwał w Warszawie w sprawie brata, potwierdził tę wersję. Wcześniej wiedziałem o wszystkim ze słów samego Juniora, a także od Lutka, któremu konfidenta wydał znajomy policjant. Dowiedziałem się wszystkiego od Lutka, bo Klepak nigdy by mi czegoś takiego nie powiedział. Lutek zaś miał do mnie pełne zaufanie.

## **Chłopaki padają jak muchy**

Wreszcie Lutek zdradził, po co do mnie przyszedł. Otóż nagle zjawił się u niego ostatni już zaufany celnik. Bardzo wystraszony, ponieważ kilka dni wcześniej porwali go pewni ludzie i wydarli mu 700 tysięcy dolarów. Zażądali kolejnych 400 tysięcy. Celnik przyjechał do Lutka po ratunek i za nic nie chciał opuścić jego domu. Lutek chciał, abym mu pomógł. Gdy zapytałem, co ja mogę mieć wspólnego z tą sprawą, odpowiedział, że tylko ja wiem, kto nastraszył celnika. Miałem rzekomo wiedzieć, gdzie ten człowiek jest i mieć z nim kontakt. I ponoć tylko ja jeden mogę umożliwić spotkanie. W końcu powiedział, o kogo chodzi. Pomyślałem, że Lutek chce, abym mu tego człowieka wystawił, więc uprzedziłem go, że nic takiego nie zrobię. Lutek jednak zapewnił, że nie o to chodzi. Oświadczył, że chodzi mu wyłącznie o to, aby celnik mógł wrócić do roboty i dalej dla niego pracować. Wtedy powiedziałem, że muszę się zastanowić i dam odpowiedź przez naszego wspólnego i zaufanego kolegę imieniem Grzesiek.



Lutek zalił się, że przez te wszystkie wpadki, jakie mieli ostatnio, skomplikowała się sprawa budowy na Ursynowie, gdzie właśnie kupili olbrzymi plac za około 3 miliony dolarów. Zamierzali wybudować tam piękne osiedle, a pieniądze przeznaczone na budowę miały pochodzić z tych 20 ton narkotyków, które ostatnio przechwycili celnicy. Przyznał się też, że pieniądze, które zarabiają na przemyśle spirytusu, wystarczają zaledwie na dostatnie życie i utrzymanie grupy ponad 50 ludzi oraz na adwokatów. Zapytałem więc Lutka, ile dzisiaj traci się na takiej wpadce ze spirytusem. Powiedział, że niewiele, bo tylko tyle, ile warty jest spirytus. Samochodami zajmuje się już inna grupa. Kradnie te samochody, robi do nich dokumenty, a kierowca jest często nieświadomy co jest grane. Przyjmuje się go do pracy, a tak naprawdę nic nie wie. W razie wpadki na granicy chłopcy zostawiają te samochody i uciekają – oczywiście ci, którzy wiedzą, co jest grane. Tych, którzy nie wiedzą, łapią, ale też dość szybko puszczają.

Rozmawialiśmy także o ostatniej wojnie i o broni. Chodziły słuchy, że to rzekomo ja miałem ją dostarczać. Lutek mnie zapewnił, że wie od naszego wspólnego kolegi, iż to jest absolutna bzdura. Tak właśnie tłumaczył to swoim chłopakom, ale ci nie bardzo chcieli wierzyć. Mówili – ty wiesz swoje, a my swoje. Ja sam już od dawna podejrzewałem, że jednej ze stron zależało, aby i mnie wciągnąć do tej ich wspólnej wojny. Komu na tym zależało, nie wiem do dziś.

Lutek powiedział mi jeszcze, że to wszystko już i tak nie potrwa długo, bo zapłacili 500 tysięcy marek jakieś grupie, która u tamtych ma skasować trzech ludzi z samej góry, a wtedy reszta się rozproszy, bo to są golasy. Zauważyłem, że jak na razie to jego chłopaki padają jak muchy i wygląda na to, że tamci są górą.

Rozmawialiśmy jeszcze długo. Znów powtórzyłem Lutkowi, że ja już dawno wycofałem się z tych interesów i w tej chwili interesuje mnie tylko mój jedyny wnuczek oraz gołębie i że on też powinien z tym skończyć. Mówiłem, że jeśli będzie się ociążać i robi to co zamierza, doprowadzi do wojny, ponieważ młodzi rosną i wiedzą, co

kto robi. Oni zaś na nic nie zważają, idą po trupach. Przykładów daleko nie trzeba szukać. Przypomniałem Lutkowi o zdarzeniu w Aninie, gdzie zginął Baniak.

## Polowanie w centrum stolicy

O tym co się szykuje wiedziałem już wcześniej, zanim jeszcze ktokolwiek zginął. Tylko że trupem miał być Kajtek, a nie Baniak. Opowiadałem jak to się wszystko odbyło, a Lutek słuchał z wielką ciekawością, pociągając szkocką whisky. Ludzie często wolą się pocieszać cudzymi kłopotami, zamiast dręczyć się własnymi.

Było to tak, że owego feralnego dnia przyjechał do mnie do domu pewien młody chłopak i chciał spotkać się z moim synem Pawłem. Powiedziałem mu, że to niemożliwe, ponieważ Pawła nie ma w Warszawie. Wtedy ten chłopak mnie całkowicie zaskoczył mówiąc, że wie, iż dzisiaj ma zginąć Kajtek z Wołomina. Dowiedział się tego od rodzzonego brata tej osoby, która miała przeprowadzić egzekucję. Chłopak nalegał, żebym nikomu o tym nic nie mówił.

Natychmiast ściągnąłem do siebie Kajtka, choć nie było to łatwe, ponieważ wcześniej osobiście go nie znałem, a przez telefon nie mogłem mu wiele powiedzieć. Nie chciałem też narobić sobie wrogów. Nie byłem bowiem pewny, czy to nie jest podpucha.

W każdym razie to dzięki mnie Kajtek wtedy przeżył. Wcale się jednak nie przejął tym, co mu powiedziałem. Wysłuchał wszystkiego i nie powiedział nawet dziękuję. Po prostu wsiadł do samochodu i odjechał.

Na to, jak rozwinie się akcja, nie trzeba było długo czekać. Już po kilku godzinach usłyszałem w radiu pierwszy komunikat dotyczący zamachu. W następnym podali już, że został zastrzelony niejaki Baniak z Marek, złodziej samochodów. Jego kompan został postrzelony dziewiętnastoma kulami.

Kajtek już na drugi dzień przyjechał do mnie, aby mi podziękować. Opowiedział, jak się wszystko odbyło. Co prawda nie uwierzył

w to co mu powiedziałem, ale w ostatniej chwili, kiedy już miał jechać na umówione spotkanie, na wszelki wypadek podjechał pod dom Baniaka i poprosił go, żeby z nim pojechał. Baniakowi nic o tym, co ja mu przekazałem, nie powiedział. Pojechali razem, lecz Kajtek jeszcze przesiadł się do innego samochodu. Nie przyjechał tym, w którym spodziewali się go dopaść oprawcy. W tamtym siedział Baniak z Marek. Dlatego zginął.

Kajtek nie przeżywał zbyt mocno, że zamiast niego zginął Baniak. Powiedział mi nawet, że tak jest lepiej, bo Baniak miał już dzieci wychowane, a jemu na dniach ma się urodzić dziecko. Pewnie, że dla niego lepiej, ale spodziewam się, że Baniak miałby w tej kwestii wręcz przeciwny pogląd, gdyby mógł go ktoś spytać. Na koniec Kajtek wyciągnął pistolet i zapowiedział, że bez niego już się nigdzie nie ruszy, po czym wyszedł.

Dopiero po wyjściu Kajtka nabrałem przekonania, że wcale nie przyjechał żeby mi podziękować, lecz po to, aby się dowiedzieć kto mnie ostrzegł o zamachu. Ani się jednak tego nigdy nie dowiedział, ani nie użył pistoletu, którym się chwalił, ani też nie zdążył zobaczyć swojego dziecka, które miało się lada dzień urodzić. Zastrzelono go kilkanaście dni po Baniaku.

Stało się to na ul. Jana Pawła II, koło lokalu, do którego ktoś Kajtka zwabił. Podjechał tam z żoną swoim najnowszym mercedesem. Był już wieczór, zapadł zmrok. Kobieta została w samochodzie, a Kajtek wysiadł na kilka minut. W kawiarni krótko z kimś rozmawiał, a kiedy wychodził, na ulicy czekali już jego oprawcy. Do swojego mercedesa nie doszedł. Na oczach żony oprawcy zrobili z niego sito. Dostał około trzydziestu kul, prawie cały magazynek kałasznikowa, bo strzelali z bliska, z paru kroków. Od rykoszetu przypadkiem zginął też pracownik teatru, który miał chorą żonę. Kajtek nie przestrzegwał więc tego, co sam sobie mocno postanowił, że już nigdy nie pójdzie na żadne umówione spotkanie, a broń, którą mi pokazywał, też mu nie pomogła. Zresztą, kto by się czegoś takiego spodziewał w takim miejscu, w samym śródmieściu i na oczach ludzi. Ja sam byłem tym wszystkim bardzo zaskoczony. To była jednak przesada.

## Bomba pod mercedesem

Opowiedziałem Lutkowi tę historię ze szczegółami. Dodałem jeszcze, że gdybym był jego wrogiem, to bym Kajtka nie ostrzegł. Lutek przyznał mi rację. Potwierdził, że wszyscy wiedzą, iż ktoś Kajtka ostrzegł, do tej pory nie wiedzieli jednak, kto.

Powiedziałem też Lutkowi, że nie chcę się do tej wojny wtrącać. Sumienie nie pozwoliłoby mi, żeby zginął młody chłopak, który przed kilkoma dniami wziął ślub. Wytknąłem też Lutkowi, że jego grupa zawinęła jakiegoś niewinnego chłopaka, zabiła go okropnie, przestrelała mu nogi i wypuściła dopiero wtedy, gdy się okazało, że to nie ten co trzeba. Wyraziłem Lutkowi mój pogląd na tę sprawę – że to bardzo nieładnie. Przyznał mi rację i powiedział, że przeprosili tamtego chłopaka. Uśmiechnąłem się tylko nad taką grzecznością i jeszcze raz poradziłem mu, żeby się lepiej wycofał, bo żarty się skończyły. Na koniec obiecałem mu, że jak będę wiedzieć coś nowego, to dam mu znać. Rozstaliśmy się.

Prosto ode mnie Lutek pojechał na Grochów pod supermarket Geant, na spotkanie z Klepakiem i z innymi chłopakami. Mieli sobie porozmawiać o swoich sprawach. Być może Lutek zdał im sprawozdanie z rozmowy, jaką ze mną przeprowadził. Tego nie wiem. Kiedy skończyli i zaczęli się rozchodzić do swoich samochodów, w tym samym momencie wyleciał w powietrze mercedes Klepaka. Samochód został doszczętnie zniszczony.

Ja osobiście byłem z tego faktu zadowolony. Oczywiście nie z tego, że zniszczyli Klepakowi auto, tylko z tego, że podłożyli bombę pod mercedesa, a nie pod lexusa, którym Lutek kilka minut wcześniej był u mnie pod domem. Gdyby wybuch nastąpił pod lexusem, to z pewnością wszyscy jak jeden mąż powiedzieliby, że to Dziad za tym stoi. Zaraz byłyby pytania do Lutka, gdzie przed chwilą bawił, że tak za Dziadem obstaje. I wyciągnęliby znowu, że to wszystko Dziada sprawa, że to ja dostarczam broń, amunicję i plastik.

Na moje szczęście tak się nie stało. Lutek i Klepak dobrze wiedzieli kto jest ich wrogiem, i to wiedzieli dokładnie, a mimo to nadal

igrali z ogniem. Przecież to oni sami płacili temu człowiekowi za różne napady, to oni go chwalili, że nie mają lepszego. Na ich przecież zlecenie została porwana żona właściciela kantoru z Hotelu Warszawa, tego samego, który dwa lata później został zastrzelony na swoim własnym podwórku.

## Dużo prosektoryjnej roboty

Wiem dokładnie, jak było z tym porwaniem. Szczegóły ujawnił mi ówczesny wspólnik właściciela kantoru, który jest moim dobrym kolegą, bo obaj hodujemy gołębie.

Porwaną kobietę przetrzymywano gdzieś w okolicy Marek. Trzymali ją około trzech tygodni, żeby wymusić od jej męża okup w wysokości 500 tysięcy dolarów. Na pewno by zapłacił, ale nie miał jak, ponieważ sprawa zrobiła się bardzo głośna i policja mocno się zaangażowała. Porywacze musieli więc czekać. I tu ciekawostka: kantorowiec, któremu porwali żonę, był dobrym kolegą Klepaka. Widocznie Klepak zdecydował, że jeszcze nie pora, aby wróciła do domu, ale tego tylko się domyślam. Chłopcy, którzy pilnowali porwanej żony kantorowca i jeszcze jakieś innej osoby, którą również porwano i która była już tam około sześciu tygodni, cały czas wachali narkotyki. Pewnego dnia żona kantorowca zdjęła z siebie całe złoto i dała im na prochy. Chłopcy ucieszyli się i zaraz poszli szukać dilera, a w tym czasie oboje porwani w jakiś sposób się uwolnili i wieczorem dotarli na policję. Policjanci natychmiast udali się na to miejsce, w którym byli przetrzymywani porwani, ale najwidoczniej zlekceważyli przepisy, jakich w takiej sytuacji należało przestrzegać po przybyciu na miejsce. Przede wszystkim nie zabezpieczyli śladów ani rzeczy, jakie się tam znajdowały, i nie czekali na tych porywaczy, którzy ciągle jeszcze nie wrócili z wyprawy po narkotyki. Widocznie policjanci uznali, że i tak jest już późno, porywacze mogli zauważyć, że jest tam policja i na pewno tego dnia

już się pojawiają. Odjechali więc, nie pozostawiając na miejscu żadnego funkcjonariusza.

Porywacze rzeczywiście zauważyli, że coś jest nie tak i w panice pospieszyli zgłosić to swoim zleceniodawcom. Nie wiem jak tam było dokładnie, czy najpierw ich za to zastrzelono i spalono w samochodzie, czy też wcześniej spalono to pomieszczenie, gdzie przebywała porwana żona kantorowca i owa druga osoba. Myślę jednak, że to już nie ma większego znaczenia, zwłaszcza dla tych chłopaków. Na drugi dzień policjanci mieli dużo pracy, ale tylko pracy, bo wyników żadnych. Trochę pracy miał też lekarz sekcyjny w prosektorium. Dość głośno było o tym w mediach, ale oczywiście sprawców nie wykryto do dziś.

## Chcieli zawojować całą Warszawę

Dokładnie dzień przed tym, jak Lutek zginął, zadzwonił do mnie mężczyzna o znajomym głosie, mówiąc że szkoda, żeby Lutek zginął, ale on się upiera, choć ma wyjście i wie jakie. „Chodzi o to, żeby porzucił bandę tego frajera Klepaka i pracował dalej spokojnie, ale tylko z nami” – mówił ten mężczyzna. Dodał, że Klepakowi już wiele życia nie zostało, Lutek może przy nim zginąć, a szkoda by było.

Mężczyzna ten powiedział też, że do mnie nic nie mają, bo ja od dawna otwarci i głośno wszystkim mówię, że się wycofałem z interesu. Wspomniał jednak, że i dla mnie jest pewien dobry interes. Kiedy spytałem jaki, powiedział, że moja żona prowadzi wyrób nagrobków, a mnie radziłby kupić ogromny plac w Wołominie i otworzyć tam cmentarz, bo już niedługo będzie tutaj dużo trupów. Ja i moja żona możemy sporo na tym zarobić. Zastrzegł, abym to poważnie potraktował. Odpowiedziałem mu tylko, że pomyślę. Na to on, żeby za długo nie myśleć i że zadzwoni do mnie za kilka dni. Więcej nie zadzwonił. Zaś cmentarz w Wołominie rzeczywiście znacznie się ostatnio powiększył. W Pruszkowie zresztą też.



Wszystko, co dotyczy Lutka, ów mężczyzna o znajomym głosie kazał mu powtórzyć jak najszybciej. Dlatego zaraz wysłałem do niego Grześka, naszego wspólnego zaufanego kolegę. Miał powiedzieć Lutkowi, że ja siedzę dużo przy gołębiach, dużo czasu spędzam z wnuczkami i w nic się nie mieszam, usłyszałem jednak ostatnio, iż coś się szykuje na mieście i to mocnego.

Grzesiek pojechał do Lutka i powtórzył mu co trzeba, ale Lutek go zlekceważył. „Niby co ten Heniek może wiedzieć, skoro cały dzień siedzi przy gołębiach”. Dodał jeszcze, że Heniek nawet nie wie, ilu ludzi od przeciwników przeszło na jego stronę i że on już nie może się wycofać, bo za daleko zabrnął w to gówno. Wtedy Grzesiek przypomniał mu historię z Kajtkiem, którego zawczasu ostrzegłem. Po tem się pożegnał.

I tym razem na finał nie trzeba było długo czekać, bo tylko 24 godziny. Lutek z Mańkiem zginęli od broni, którą walczyli, a w dodatku zginęli z rąk człowieka, którego sami wychowali. Na pewno nie wiedzieli, że szkolą go na własną śmierć. Tak się zakończył żywot Lutka i Mańka Klepaka, którzy chcieli zawojować całą Warszawę i okolice.

Lutek zostawił swojej żonie oraz dwojce dorosłych dzieci majątek, który oceniam na około 10 milionów dolarów. Samej tylko gotówki policja znalazła u Lutka w domu 40 miliardów starych zł, czyli milion dolarów. Co do majątku Klepaka, to się nie wypowiadam bo nie wiem, ale według mnie był znacznie mniejszy.

## **Akcje Staśka zwykują**

Kantor z lombardem, który prowadziłem przy ul. Warszawskiej 48 w Ząbkach, prosperował bardzo dobrze. Plac o powierzchni 1200 m<sup>2</sup>, na którym go zbudowałem, kupiłem za 26 tysięcy dolarów. Kantor był wyposażony we wszystkie najnowocześniejsze urządzenia,

był tam telefon i faks. Uczciwie płaciłem Urzędowi Skarbowemu podatki w wysokości 150 milionów starych złotych miesięcznie. W przeliczeniu było to około 10 tysięcy dolarów.

Do mojej firmy przez cały dzień przychodziło dużo różnych ludzi, zarówno porządnych, jak i nieuczciwych. Między innymi często wpadał niejaki Stasiek. Bywał u mnie prawie codziennie, ponieważ często korzystał z faksu. Popijał kawę i chwalił się, że jego akcje na giełdzie codziennie idą do góry. Na akcjach Żywca zarobił 350 tysięcy dolarów. Nie ukrywał, że szykuje opodał taki sam interes jak nasz, czyli kantor i lombard. Odpowiadałem mu, śmiejąc się, że mnie to nie przeszkadza, bo mam bardzo dużo klientów, a tych którzy mi nie będą pasowali, będą odsyłać do niego.

Stasiek zajmował się też handlem. Któregoś dnia zapowiedział, że likwiduje firmę, przez którą sprowadzał z zagranicy towar, a teraz właśnie robi już ostatnią transakcję. Chodziło o jakąś dużą dostawę papieru z Niemiec. Dzisiaj już wiem, że ten interes z papierem nie był legalny, chociaż Stasiek ciągle się upiera, że on nic o tym nie wiedział.

## **Towar na podsłuchu**

Stasiek sprowadził 5 ton papieru z Niemiec do Polski. Stąd mieli go odebrać Rosjanie dla jakiejś swojej fundacji. Papier miał być przeznaczony na wydrukowanie tak zwanych cegiełek. Pewnego dnia do Staśka przeszedł faks z Niemiec, że papier jest gotowy, żeby oddzwonił i umówił termin odbioru. Stasiek powiadomił o tym odbiorców tego towaru, którzy zaraz przyjechali i również uzgodnili z nim termin. W umówiony dzień wszyscy razem pojechali na po odbiór papieru. Stasiek jechał sam swoim nowiutkim audi 100, przedstawiciele strony rosyjskiej samochodem marki BMW, był także samochód ciężarowy do przewozu papieru. Razem dojechali do fa-

bryki, odebrali ładunek i ruszyli z powrotem w stronę granicy. Na tym rola Staśka miała się zakończyć.

Przez granicę przejechali bez problemu. Stasiak zauważył jednak, że jakby za dużo ludzi kręci się koło ciężarówki z towarem. Coś zaczęło Staśkowi mocno śmierdzieć, ale robił co do niego należało. W końcu pożegnał się i pojechał do domu. Teraz spostrzegł, że ruszyło za nim kilka samochodów dobrej klasy, więc dodał gazu. Chciał się upewnić, czy na pewno jest tak, jak mu się wydaje. Kiedy skręcił w jakąś boczną drogę, jadące za nim samochody zatrzymały się. Stasiak powoli odjechał. Wyglądało na to, że go zostawili w spokoju. Po jakimś czasie wrócił na trasę. Jechał powoli, żeby tamte podejrzanе auta wypuścić daleko przed siebie. Niestety, znowu jechały za nim. Wtedy wystraszył się na dobre i puścił się pędem do ucieczki. Do domu udało mu się dojechać.

Rano wstał i poszedł do samochodu. Rzuciło mu się w oczy, że dookoła domu kręcą się jacyś obcy ludzie. Ulica jest cicha i spokojna, a tu nagle od rana tłum. Zdenerwowany na dobre podjechał do mnie do kantoru. Zaczął mi to wszystko ze szczegółami opowiadać, ale ja tylko się roześmiałem. Powiedziałem, że na pewno się przemęczył w drodze. On na to, że rozumie, iż zdarzają się przypadki, ale tutaj nie może być mowy o przypadku. Twierdził, że kiedy skręcał w boczne drogi, tamci cały czas wiedzieli gdzie jest. Nagle spytał, czy mam wolny podnośnik w warsztacie. Odpowiedziałem, że tak. „Jedziemy!” – zdecydował.

Udaliśmy się do warsztatu. Stasiak wjechał na podnośnik, podniósł samochód do góry i natychmiast odkrył przyczepiony do podwozia nadajnik na baterie z anteną. Wyjął te baterie ze środka, a urządzenie przyczepił z powrotem. Powiedział, że teraz to już może sobie z nim jeździć. Zapytał jeszcze, co ja o tym wszystkim myślę. Powiedziałem, że nic z tego nie rozumiem, co było prawdą.

Stasiak odjechał swoim audi z radijkiem, ale po dwudziestu minutach był już z powrotem. Przestraszony powiedział, że coś tu jest nie tak, bo ten sam samochód, który był z nim w Niemczech po papier, stoi pod jego biurem. Potem znowu Stasiak zebrał się na odwagę

i wrócił do biura. Podszedł do kierowcy i zapytał, dlaczego tu stoi. Nie mniej wystraszony kierowca odparł, że on dalej nie pojedzie, bo coś mu tutaj śmierdzi. Właściciele papieru szukają już innego samochodu, na który mają przeładować papier.

Po godzinie w biurze zjawił się pośrednik od papieru. Szukał jakiegoś wózka widłowego, żeby przeładować towar. Pracownik Staśka, niejaki Bartek skierował go do pobliskiej Agromy, gdzie mieli widlaki. W Agromie bez problemu zgodzili się pomóc w przeładunku.

W południe Stasiak przyjechał do mnie do domu na kawę. Dalej coś mu nie pasowało, i to coraz bardziej. Teraz był zdania, że te same samochody, które jechały za nim gdy wracał z granicy, teraz kręcą się po dzielnicy. Poradziłem mu, żeby poszedł się wyspać. Tak sobie rozmawiamy, aż tu podjeżdża Bartek, ten pracownik Staśka, i zaczyna nam opowiadać jak to pojechał do Agromy, żeby przeładować papier. W czasie roboty zauważyli, że zza płotu ktoś nachalnie robi im zdjęcia. Tamci od papieru bardzo się wystraszyli. Bartek mówił, że on nie chce się paniki, ale dzieje się coś dziwnego. Mnie osobiście to wszystko śmieszyło, ale i zainteresowało. Usiedliśmy wszyscy na ławce przed domem, żeby pogadać. Nagle Stasiak wykrzyknął: „O kurwa, to znów ten samochód, który za mną jeździł!”

## Papierowy biznes

Było to BMW. Podjechało do nas. Wysiadło czterech gości, elegancko ubranych. Zwrócili się do Staśka, czy by im nie pomógł. A w czym? A w tym, że to właśnie oni są odpowiedzialni za ten cały papier, i podejrzewają, że konkurencja chce go przejąć. Spytałem co to za papier, skoro o głupie pięć ton taki szum. Wtedy tamci wyjaśnili, że na tym jest bardzo duże przebicie. Papier jest specjalny. Biznes polega na tym, że ma być wykorzystany do druku tak zwanych ce-

giełek, które zostaną rozprzedane na pewien cel. Znowu zapytali, czy możemy im jakoś pomóc. Ja powiedziałem, że im nie wierzę, ale dyskusja już się zaczęła.

W tej właśnie chwili niespodzianie zjawił się przed nami mój starszy brat. Ten sam, którego straciliśmy z oczu kiedy czmychnął prosto z aresztu, via kwiaciarnia, na piwo i golonkę do Niemiec. Śmiejąc się serdecznie przywitał się ze wszystkimi i zapytał od niechcienia, o czym tak dyskutujemy. Zaczęliśmy mu opowiadać jeden przez drugiego. On słuchał, ale jakoś nieuważnie, a w końcu powiedział, że wszedłby w ten interes. Zdumiało mnie to, bo my ze Staśkiem nie bardzo chcieliśmy. W końcu jednak zgodziliśmy się z nim, że papier bierzemy do spółki. Tak zostaliśmy współnikami w najbardziej niezwykłym, powiem nawet wręcz niesamowitym interesie, jaki zrobiłem w moim życiu.

## Kto pierwszy ten lepszy

Ponieważ papier najwyraźniej budził niezdrowe zainteresowanie jakichś obcych, zaczęliśmy rozmyślać jak ten tajemniczy towar zabezpieczyć. Ja pierwszy wpadłem na pomysł.

Otóż miałem nieopodal znajomego, który prowadził bazę transportową. Na razie można było papier tam zawieźć i zobaczyć, co się będzie działo dalej. Tak właśnie zrobiliśmy.

Janek, właściciel bazy, był moim bardzo dobrym kolegą i bez żadnego problemu przystał na nasz plan. Zaraz wskazał kontener, do którego można rozładować nasz ładunek. Jadąc na przedzie swoim samochodem poprowadziłem ciężarówkę z ładunkiem do bazy. Trwało to kilkanaście minut, ale wystarczyło, żebym przekonał się o tym samym, co cały czas twierdził Stasiak. Nagle pojawiło się skądś kilka samochodów, które najwyraźniej nas pilnowały. Towarzyszyły nam cały czas. Miałem straszną ochotę wyjaśnić, co to za ludzie, ale na razie trzeba było zachować zimną krew. Właściwie

to miałem ochotę przede wszystkim dać któremuś z nich w mordę: czemu, łachu, śledzisz mnie na moim własnym podwórku?! Zda- wałem sobie jednak sprawę z tego, że skoro bierze w tym udział tyle samochodów i ludzi, zaangażowanych do tej jednej sprawy przez tyle dni, to musimy mieć do czynienia z jakąś bardzo mocną orga- nizacją.

Na bazie chłopcy przeladowali papier, zamknęli kontener na kłódkę, klucz oddali dozorczy i przyjechali do mnie do domu.

W ten sposób chłopcy od papieru stali się naszymi współnikami. Zdecydowali, że sami będą pilnować papieru na bazie, powiedzieli część i pojechali. Po ich odjeździe zaczęliśmy dyskutować z bratem i Staśkiem, co tu właściwie jest grane, no i przede wszystkim ile można na tym zarobić. Wtedy brat nagle powiedział, że jedno jest pewne: stracić na tym nie można, ale można też zarobić kulkę w łeb. I zaczął się śmiać. Uznałem to za żart, więc też się roześmiałem. W duchu jednak pomyślałem sobie, że kulka we łbie wcale nie jest taka zabawna. Cóż, zawsze ciągnęło mnie do ryzykownych interesów. Ale, jak mówili nasi Ruscy koledzy w interesach, kto nie ryzykuje, ten nie pije szampana.

Nazajutrz chłopcy od papieru przyjechali do mnie do domu i po- kazali kartkę. Spisali na niej numery oraz marki tych pojazdów, które według nich kręciły się koło bazy z naszym cennym ładunkiem. Zadzwoiłem do brata, ponieważ miał kogoś, kto mógł ustalić dane właścicieli tych pojazdów. Brat do mnie przyjechał i zabrał kartkę z numerami. Po dwóch godzinach powrócił i powiedział, że jego zna- jomy wszystko sprawdził, ale takie numery rejestracyjne i takie marki samochodów w ogóle nie istnieją. Tego dnia brat nie miał czasu, więc umówiliśmy się na następny dzień. Przyjechał, jak obiecał. Poszliśmy na górę do salonu, a razem z nami Stasiak, i zaczęliśmy roztrząsać ostatnie wydarzenia. Zgodziliśmy się, że jeśli chcemy zarobić, to nie możemy dać się oszukać tym od papieru, bo oni mogą nas wykręcić i towar po prostu ukraść.

Po długim dumaniu zdecydowaliśmy, że to my ukradniemy pa- pier pierwszy.



## Ciuciubabka

Nasz plan był prosty, ale do jego wykonania potrzebowaliśmy dużo ludzi i to takich, którym można było zaufać. Stasiak powiedział, żeby się o to nie martwić, gdyż on ma takich chłopaków. Jeszcze tego samego dnia zebrał ich dziesięciu – młodych, silnych i według niego godnych zaufania. Opowiedzieliśmy im wszystko jak było, ze szczegółami. Pytali głównie o to, co z tego będą mieć. Brat powiedział, że sami jeszcze niewiele wiemy, ale że dostaną połowę. Zdecydowali się. Mieli pozostawać w kontakcie ze Staśkiem. On zawiadomi ich o akcji.

Na drugi dzień rano spotkaliśmy się z Bartkiem i Staśkiem, żeby dokładnie ustalić w jaki sposób będziemy kraść papier z bazy Janka. Następnie Stasiak zadzwonił po swoich chłopców. Pokazaliśmy im miejsca, w których był papier i dokąd miał dotrzeć. To było zadanie Staśka. Brat wziął na siebie dogadanie się z tamtymi chłopcami od papieru, którym postanowiliśmy zwinąć towar. Ja miałem zająć się resztą.

Działo się to w maju, w piękny, pogodny dzień. Akurat były trzy dni wolne od pracy. Ruch na ulicach był niewielki. Zdawałem sobie sprawę, że nasz towar obserwuje również konkurencja, jak o nieznanym mówili chłopcy od papieru. Było na ten miód coś bardzo wielu amatorów!

Przystąpiłem do ataku. Najpierw wybrałem dwóch przewoźników, którzy mieli prawie jednakowe samochody. Opowiedziałem im historię trochę podobną do prawdziwej. Oni zdecydowali, że nie widzą problemu. Umówiliśmy się na stacji benzynowej niedaleko bazy.

Na stację przyjechałem ze Staśkiem oraz z jednym z tych chłopców, którzy znali plan. Kierowca pierwszego samochodu udał się z naszym człowiekiem na bazę, gdzie czekała już reszta chłopców do rozładunku. Ja znajdowałem się tuż obok bazy, żeby wszystko obserwować. Nie mogłem się jednak pokazać, żeby mnie nie rozpoznali właściciele papieru.

Nasz samochód wpadł na bazę, podjechał do kontenera z papierem i chłopcy wzięli się do roboty. Po zaledwie dziewięciu minutach ciężarówka odjechała. Zdenerwowałem się, gdyż wyglądało na to, że ktoś ich spłoszył. Okazało się jednak, że te dziewięć minut po prostu im wystarczyło! Całe pięć ton było na samochodzie. Później szczerze ich za to podziwiałem, ponieważ według naszych obliczeń operacja miała trwać 20 minut.

Samochód z papierem ruszył w stronę Zielonki. Jechałem za nim. Zaraz też w lusterku dostrzegłem białego golfa, o którym ciągle opowiadali chłopcy od papieru. Jechał tuż za mną, ale tym razem przewidzieliśmy to w naszych kalkulacjach. Po drodze rzuciła mi się jeszcze w oczy lancia. To auto zachowywało się z kolei dosyć nerwowo: raz pędziło w stronę Zielonki, po chwili gnało z powrotem. Golf trzymał dystans. Byłem pewien, że siedzi w nim jeden z tych kutasów, którzy kręcili się koło bazy i naszego towaru.

Z daleka zobaczyłem, że ciężarówka z papierem daje sygnał do skrętu. Wcisnąłem gaz do dechy i w jednej chwili byłem tuż za nią. W lusterku zobaczyłem, że wśród golfów i lancii zapanowała panika. Sfora rzuciła się w pościg. Tymczasem ciężarówka skręciła do lasu, w wąską dróżkę, którą upatrzyliśmy sobie wcześniej. Wjechałem tam za nią i zatrzymałem się. Dla golfa, który już chciał tam za mną zanurkować, nie było miejsca. Dróżka była całkowicie zablokowana.

Najwyraźniej głęboko zaskoczony kierowca golfa odjechał jakieś dwieście metrów i stanął. Ja też czekałem sobie spokojnie kilka minut. Dopiero kiedy chłopcy dali mi znak, że wszystko jest w porządku, powoli ruszyłem do przodu. Golf zaraz wjechał za mną do lasu. Dróżka, w którą skręcił nasz samochód z papierem, nadal jednak była zablokowana. Tym razem nie ja byłem zawalidrogą, tylko sama ciężarówka, która stała rozkraczona z wyłączonym silnikiem i podniesioną maską. Najwyraźniej auto nawaliło, i to w takim momencie! Pal diabli! Dodałem gazu, ominąłem grata i pędem wróciłem do domu na kolację.

Dalszy przebieg zdarzeń znam z opowieści. Kierowca usunął awarię i samochód na leśnej drodze w końcu ruszył. Golf trzymał się

go cały czas, jak przyklejony. Kiedy ciężarówka zajęła na podwórzu, gdzie miała zaparkować, oprócz golfa wpadło tam za nią kilka innych samochodów osobowych. Z każdego wyskoczyło po kilku chłopów z pistoletami w dłoniach. Podniósł się głośny wrzask: „Policja! Wszyscy na ziemię!”

Biednego kierowcę rzucili na glebę i skuli. Potem przypuścili szturm na ciężarówkę. Jak jasna cholera potrzebny im był nasz papier! Żadnego papieru na pace jednak nie znaleźli. Skrzynia była pusta.

Wyglądało na to, że szlag ich wszystkich trafił. Rzucili się na kierowcę, przykładali mu lufy w różne miejsca. „Kurwa, gdzie jest papier, gadaj, bo cię zastrzelę!”. Tak go zachęcali.

Kierowca powiedział im grzecznie, bo inaczej w tym momencie nie czuł się na siłach, że był tu i tu, jechał na skrót przez las i samochód mu nagle nawalił. Jak zreperował, to ruszył. Wymienił nazwiska, bo go o to pytali, około dziesięciu innych kierowców, mających taki sam pojazd. Powiedział też, że mijali się z podobnym w lesie, ale nie zwrócił uwagi kto go prowadził, bo w tym czasie grzebał w silniku.

Na to wszystko policjanci mieli tylko tyle do powiedzenia, że nieźle ich załatwiliśmy, ale oni nam jeszcze pokażą. I całą zgrają opuścili podwórko.

Kilka dni po wyrolowaniu UOP-u całą tę historię opisał w swoim tygodniku „Nie” towarzysz Urban. Pewnie polecili do niego na skargę sami UOP-kowie, z którymi Urban ma jeszcze stare esbeckie układy. Jednak ani Urban, ani też nikt w UOP-ie nie wiedział, co się tam wydarzyło naprawdę.

## Potop w Ząbkach

Tego wieczoru stałem sobie ze Staśkiem przed domem. Widzieliśmy dużo nerwowych samochodów, pędzących w tę i we w tę, ale byliśmy spokojni, że nasz plan udał się na sto procent. Ten drugi

samochód, który na leśnej drodze czmychnął z papierem – bo taki był nasz cały sekret i sedno tego planu – został już rozładowany. Chłopcy mieli całą noc w małych partiach rozwozić ten papier, żeby nie leżał w jednym miejscu. Przypuszczaliśmy, że w ryzach mógł być ukryty jakiś miniaturowy nadajnik, podobny do tego pod samochodem Staśka.

Sprawa powoli zaczęła się klarować, już było wiadomo, że naszymi konkurentami była policja, a nie jakaś nieznana silna grupa. Zaraz też dowiedzieliśmy się, że po całej okolicy jeździ policja z Marek i sprawdza, kto ma taki samochód, jaki został użyty do przewiezienia papieru.

Tak skończył się ten dzień, w którym rzeczywiście dopisało nam szczęście. Zaczęliśmy tylko zastanawiać się ze Staśkiem, co policja w tym wszystkim robi.

Nazajutrz przyjechali chłopcy Staśka. Jeden przez drugiego opowiadali swoje wrażenia. Widzieliśmy, że policja od samego rana szaleje. Któryś z chłopaków usłyszał od policjanta z Marek, żeby przez najbliższe dni się tu nie kręcić, bo będzie wielka akcja w związku z jakimś papierem, którego pilnował UOP.

Wtedy powiedziałem chłopakom otwarcie, że skoro miesza w tym UOP, to ja się z tego wycofuję, ponieważ mam za dużo do stracenia. Oni zaś odpowiedzieli, że mają wszyscy tyle do stracenia, co na sobie, i niczego się nie boją. Stasiak zaś miał zobaczyć, co to będzie następnego dnia i dopiero wtedy powiedzieć czy się wycofuje, czy nie.

Następnego dnia nie było. Kilka godzin później, gdy siedziałem sobie z żoną przed domem na ławce, podjechało z piskiem opon audi mojego syna. Paweł zaczął krzyżeć: „Ojciec, spieprzaj i to szybko, bo idzie do ciebie tylu policjantów, ilu nikt tutaj jeszcze nie widział!” Przez chwilę patrzyłem na niego jak na wariata, ale kiedy wyjaśnił, że po drodze zajechał do Janka na bazę, zrozumiałem o co tu chodzi, wsiałem do samochodu i ruszyłem naprzeciw tej policyjnej falangi.

Syn mówił prawdę. Czegoś takiego Ząbki nie widziały w całej

swej historii. Żałuję, że nie potrafię tego opisać – były tam dziesiątki samochodów policyjnych, które powoli sunęły w stronę mojego domu. Pojechaliśmy w stronę bazy, ale i tam było czarno od policji. Musieliśmy zawrócić bocznymi drogami. Zostałem samochód i łąkami doszedłem do sklepiku, który znajduje się niedaleko mojego domu. Stamtąd patrzyłem na sunącą w żółtym tempie policyjną kolumnę. Zobaczyłem, że radiowozy skręcają w moją ulicę, więc już nie miałem żadnej wątpliwości, po kogo jadą.

Zatrzymali się pod moim domem. Żona nadal siedziała na ławce. Wyskakiwali jeden po drugim, w czarnych maskach i z karabinkami Kałasznikowa w rękach. Przykładając broń do twarzy mojej żony krzyтели: „Mów kurwo, gdzie jest ten bandzior!” Inni z drabinami wspięli się na dach, a z dachu spuszczałi się na linach do okien. Zdumiało mnie, że nie próbują wejść do środka przez drzwi. Z daleka widziałem nawet, że chcieli łomami rozpruć klapę na dachu, ale szybko zrezygnowali. Mam dom naprawdę dobrze zabezpieczony przed złodziejami.

Trzymali moją żonę pod bronią około trzydziestu minut. Z daleka słyzałem odgłosy jakiegoś walenia młotami i skowyt psa zamkniętego w boksie. Po pół godzinie na posesję przyjechali panowie z UOP-u. Grzecznie przeprosili żonę i wprowadzili ją do domu. Zamierzali przeszukać pomieszczenia, w których kilka sekund przed ich przyjazdem roiiło się od czarnych. Na wszelki wypadek do jednego z pomieszczeń policjanci podrzucili granat, z powodu którego zaraz podnieśli wielkie halo. Tak jakbym nie miał żadnego innego pomysłu, jak zadbać o własne bezpieczeństwo, tylko trzymać granat F-1 pod telewizorem. W pokoju, w którym bawi się mój bystry i wścibski wnuczek! Po dokładnej demolce wszyscy opuścili jednak mój dom, nie zostawiając mi nawet wezwania na przesłuchanie. Jak później stwierdziłem, przy okazji ukradli parę rzeczy. Zabrali też wcześniej podrzucony granat. Najwidoczniej szukali czegoś innego.

## Hajże na Dziada!

Odczekałem jeszcze trochę i wróciłem do domu, który po wizycie policji zmienił się w śmietnisko. Zastałem żonę roztrzęsioną i zapłakaną, oraz postrzelonego psa, który skamlał w boksie. Drzwi wewnątrz były porozbijane, chociaż nikt ich nigdy nie zamykał.

Po chwili otrzymałem od znajomych telefon, że w okolicach Ząbek i Marek jest pełno policjantów. Brutalnie przeszukują drukarnie i podobne zakłady. Zaraz dotarła następna wiadomość, że policja jest u mnie w kantorze i rozwała młotami drzwi, mimo że były otwarte. W kantorze zatrzymali Cebera, który miał przy sobie broń i amunicję. Po zdemolowaniu kantoru odjechali, zabierając ze sobą Cebera za nielegalne posiadanie broni. To jednak było wszystko, co osiągnęła policja w tak wielkiej akcji. Potem dowiedziałem się jeszcze, że i u Staśka w kantorze policjanci przeprowadzili równie brutalną akcję, chociaż nikogo w firmie nie było.

Następnego dnia spotkałem się u mnie w domu ze Staśkiem i postanowiliśmy zawiadomić dziennikarzy o tak bulwersującym postępowaniu policji. Nie mieliśmy bynajmniej zamiaru się ukrywać. Przyszedł także brat. Już na wstępie oznajmił, że nic mu nie muszę mówić, bo wszystko wie. Przez cały czas miał policję na nasłuchu i zna przebieg zdarzeń na pewno lepiej od nas. Pogratulował nam, że tak pięknie wyprowadziliśmy w pole UOP. Twierdził, że była to największa akcja w Polsce, do której ściągnięto policję z całego kraju. Poszczególne grupy wymieszali, żeby w tej sprawie zapobiec jakiegokolwiek możliwości korupcji.

Dziennikarze przyjechali, obejrzeni zniszczenia i nie mogli uwierzyć, że tak mogła postąpić policja. Napisali o tym wszystkim i o drukarniach, w żaden sposób z nami nie związanych, które ucierpiały równie mocno.

Stasiek tymczasem poszedł do prokuratury, skąd otrzymał wezwanie. Był z adwokatem, ale nic mu to nie pomogło. Czekał już na niego nakaz aresztowania na trzy miesiące. Cebera też wsadzili na



trzy miesiące. Ja na razie zajmowałem się wnuczkiem, z którym zacząłem jeździć na rowerze, ale media, naciskane przez UOP, nie dawały mi spokoju. W radiu nadali reportaż o wielkiej akcji policji. Mówili jak to się wymknąłem z zasadzki. Po kilku godzinach znowu komunikat na ten temat i że znowu się wymknąłem. Ludzie, którzy mnie znali z widzenia, dziwili się tym głupotom. Jeździłem sobie po ulicy z wnuczkiem na rowerze, a radio zdawało relację z jakiejś obławy, w której tropiono nieuchwytnego Dziada.

W gazetach też zaczęli pisać na mój temat. Alarmowano, że niejaki Henryk N. pseudonim Dziad jest poszukiwany. Zadzwońiłem do którejś z gazet i zacząłem się wyśmiewać z jej bzdurnych artykułów. Powiedzieli, że w to nie wierzą, że ja sobie jeżdżę z wnuczkiem koło domu na rowerze. Przyjechali, żeby to sprawdzić. Wytrzeszczali oczy, a w końcu powiedzieli, że już sami nie rozumieją, co tu jest grane. Wtedy im zaproponowałem, że zadzwonię do szefa prokuratury, a oni niech słuchają, jaka będzie rozmowa.

Powiedziałem wprost temu panu, że jeśli coś na mnie ma, to niech mi przyśle wezwanie na przesłuchanie, albo może lepiej ja sam za chwilę do niego przyjadę, żeby wyjaśnić to całe nieporozumienie. Prokurator odpowiedział, że dziś to on nie ma czasu, ale jak chcę to mogę przyjechać jutro na dziesiątą rano.

Następnego ranka zjawiłem się u szefa prokuratury. Przesłuchiwał mnie osobiście przez siedem godzin, poczym mi podziękował. Wróciłem do domu. Sąsiedzi znów byli zdziwieni, gdy mnie zobaczyli. Przecież w radiu cały czas trąbili, że zostałem zamknięty. To samo w gazetach. Od razu sobie pomyślałem, że to UOP steruje nagonką na mnie w mediach.

## **Lew wychodzi na scenę**

Tak już było codziennie. Cokolwiek policja wykryła nowego, zaraz przyczepiano się do Henryka N. z Ząbek pseudonim Dziad. Prasa rozpisywała się o mnie do znudzenia.

Oprócz tego napuścili na mnie urząd skarbowy, który zaczął

wymyślać przeróżne bzdury. Tutaj już wielkiego wyboru nie miałem, trzeba było płać za fantastyczne brednie wymyślone wspólnie przez urzędników skarbowych i UOP. Jeden taki wymysł kosztował mnie 250 milionów starych złotych. Odwołałem się od tej bezprawnej decyzji i po około półtora roku wygrałem sprawę. Musieli mi zwrócić ponad 480 milionów. Z drugą sprawą było podobnie.

Teraz chodziło już tylko o to, że UOP starał się mnie zniszczyć za to, że ich wykiwałem z tym papierem. Na przykład stali całymi dniami i nocami pod moim domem. Każdego, kto się u mnie pojawiał, z wielkim hukiem kładli na ziemi i przeszukiwali. Zaczęli prześladować moich znajomych, jeżdżąc do ich domów i mówiąc im, że jak nie chcą mieć z UOP do czynienia to lepiej, żeby nie przyjeżdżali do Ząbek. Bezcelnie traktowali klientów, którzy przyjeżdżali do mojego warsztatu samochodowego. Jeździli za mną krok w krok. Nawet gdy specjalnie wyjechałem jednym samochodem, a żona w innym kierunku drugim, to i tak pojechali za mną i za żoną. Po prostu prześladowali mnie, jak tylko potrafili. Na przemoczenie nas brali.

Trwało to około miesiąca. Wtedy wypuścili Cebera za kaucją i jak by się uspokoili. Ceber był zadowolony, że wyszedł. Dzisiaj mogę już ujawnić, że on też brał udział w kradzieży papieru.

Któregoś dnia siedzieliśmy z Ceberem w kantorze, kiedy zadzwonił jakiś facet. Chciał rozmawiać tylko ze mną. Podniosłem słuchawkę i zapytałem o co chodzi i kto mówi. Przedstawił się, że nazywa się Adam Rapacki, dzwoni z komendy głównej i chciałby jak najszybciej ze mną się zobaczyć. Zaproponował mi spotkanie, ale nie na komendzie, tylko w pobliżu, nazajutrz o godzinie 11.00. Przyjąłem zaproszenie i powiedziałem, że będę.

## **Ruscy wyłączą nam gaz!**

Następnego dnia pojechałem na to spotkanie. Funkcjonariusz UOP wyjął legitymację i przedstawił się. Gdyby tego nie zrobił, nigdy bym nie uwierzył, że taki człowiek może pracować w UOP-ie. Wystarczyło, że na niego spojrzałem i od razu zrozumiałem, dlaczego

z nimi wygraliśmy. Wyglądał jakby pracował w reklamie firmy pogrzebowej, a nie w UOP. Był w białej koszuli, ale na twarzy był jeszcze bielszy. Kiedy go zobaczyłem, po prostu tylko się roześmiałem.

Ten wycieńczony człowiek z UOP od razu mi wyjaśnił, po co chciał się ze mną spotkać. Powiedziałem mu na to, że sam się tego domyśliłem. Nie zaprzeczyłem, że orientuję się w sprawie. Wtedy zaczął mówić.

Na wstępie powiedział, że oni wiedzą, kto sprowadził papier na ruble, kto był pośrednikiem, dla kogo był sprowadzony i kto go ukraść z bazy. Mówił, że mają wszystko nagrane, kto był w fabryce papieru, kto odbierał towar na granicy, kto ładunek pilotował, a także kto z Agromy go przeladował i dokąd go zawieziono. Wiedzą dokładnie, kto za tym stoi oraz że trzy osoby z UOP są w to wmieszane, ale już zostały zawieszono. Oświadczył z wielką pewnością siebie, że więcej przecieku nie będzie i w ogóle z nami koniec.

Słuchałem go z zainteresowaniem, a zwłaszcza o rublach, bo to była dla mnie nowość. Cały czas jeszcze myślałem, że papier ma posłużyć do wydrukowania w Rosji jakichś cegiełek. Kiedy jednak zaczął się odgrażać, przerwałem mu.

– Jak na razie to nie widać końca, tylko początek – stwierdziłem.  
– A gdzie macie dowód, czyli ten papier na ruble?

– No tak, wszyscy łamiemy sobie głowę, jakim cudem to zrobiliście – przyznał.

Zaraz też zapytał, czy mam świadomość wagi tej sprawy. To przecież nie był papier na dolary, lecz na ruble! Według niego to kolosalna różnica. Gdyby to był surowiec na jakieś inne pieniądze, to wcale by się ze mną nie spotykał. Ponieważ jednak chodziło o rosyjskie ruble, postanowił ze mną negocjować. Mówił, że gdybyśmy na tym papierze wydrukowali ruble, byłaby to suma na blisko 300 milionów dolarów. Po czymś takim Rosjanie mogą wprowadzić restrykcje i wyłączyć Polsce gaz! Oznajmił, że Niemcy jeszcze mocniej to przeżywają, bo to był ich papier, wspólnie więc uzgodnili, żeby spotkać się z mną, porozmawiać i dogadać.

Słuchałem tej przemowy, a on się pochwalił, że o tym zamówieniu na papier wiedzieli od Niemców od samego początku. Akcja była zaplanowana i prowadzili ją wspólnie z Niemcami. Nigdy nie przypuszczali, że całe pięć ton papieru może w jakiś sposób wymknąć się im spod kontroli. Wszędzie założyli podsłuchy i zaangażowali tylu ludzi, że nie było to brane pod uwagę. Niemcy też takiej możliwości nie przewidzieli. Do dzisiaj razem z Niemcami nie mogą dojść, jak to się stało.

Powiedział, że gdy wjechaliśmy na bazę po papier, to ich ludzie dobrze nas widzieli. Wszystko podobno było pod kontrolą, także i te samochody, które w drodze podmieniliśmy. Problem tkwił w tym, że nie zdawali sobie sprawy, iż my w przeciągu kilku minut załadujemy całe pięć ton papieru. Myśleli, że wzięliśmy z pięćset kilo, żeby zawieść do drukarni. Wcale się więc nie przejęli, a nawet byli zadowoleni, że coś w ogóle zaczęło się dziać. W końcu setki ludzi pracowały przy tej sprawie i liczyli, że wszystko zostanie sfinalizowane w przeciągu kilku dni. Na wszelki wypadek postanowili jednak sprawdzić ile tego papieru wzięliśmy. Gdy wjechali na bazę, kazali dozorczy otworzyć kontener. Jak otworzyli to krew ich zalała. Zamiast do domów, wszyscy popędzili na komendę i zaczęli radzić.

Napomknął wreszcie, że mogliby wielu naszych ludzi zamknąć, ale nie chcą tego robić z tego względu, że mogłoby się to wymknąć spod kontroli. Ponadto Niemcy nie chcieli na to się zgodzić. Dodał, że na początku zwierzchnicy bardzo im ubliżali i wtedy postanowili się na nas zemścić. Teraz jednak chciał się dogadać.

Po tej przydługiej opowieści powiedziałem mojemu rozmówcy, że doskonale zdaję sobie sprawę z powagi sytuacji, ale nie wiem, czy w tej sprawie będę mógł pomóc. Zaproponowałem spotkanie następnego dnia. Obiecałem, że się zorientuję i porozmawiam z chłopakami. Zażądałem jednak, aby natychmiast zdjął swoich ludzi, żeby więcej nie jeździli za mną i za moją żoną. Niech mi nie stawia warunków, bo tak naprawdę w tej chwili to on ma pietra, a nie ja. I niech powie, kto zapłaci za wszystkie szkody, jakie mi wyrządzili i za te rzeczy, które mi ukradli ich ludzie. Zapytałem na koniec, kto pokry-

je koszty załadunku owych pięciu ton papieru. Powiedziałem mu bowiem, że jak się ludziom dobrze zapłaci to i pracują dobrze, a jemu i jego ludziom, jak widać, źle płacą. Dlatego mają takie słabe wyniki.

Spojrzał na mnie jak napuszony kogut. „Niech pan tylko będzie na pewno, bo to bardzo poważna sprawa” – powiedział tylko.

Jeszcze tego samego dnia spotkałem się z bratem i zdałem mu relację ze spotkania i rozmowy jaką miałem z funkcjonariuszem UOP, dokładnie słowo w słowo. Zapytałem go, co robimy dalej. To co mi odpowiedział, mimo wszystko było dla mnie wielką niespodzianką. Jeszcze jedną, chociaż nie ostatnią, w tej niezwyklej sprawie.

## W odkryte karty

„Wszyscy wiedzą, że prześladują cię psy” – zaczął mój brat. Dzięki temu jednak on sam ma spokój. Policja nie może go namierzyć. Ostatnio wywieźli do lasu chłopaków, którzy go dobrze znają, przywiązali do drzewa i zaczęli niby do nich strzelać. Oni jednak nic nie powiedzieli, bo też nic nie wiedzieli. Chociaż mój brat kupił dom, nikt nie wiedział gdzie mieszka. Wiedzieli tylko chłopcy od tego papieru. A ten papier, powiedział brat, to od samego początku była jego sprawa.

To mój brat wpadł na pomysł, żeby wydrukować ruble, bo to będzie jeszcze lepsze niż dolary i marki. To mój brat wytypował Staśka, ponieważ ten kiedyś powiedział, że prowadzi firmę importową. To mój brat wysłał tych chłopaków, żeby w Niemczech zamówili papier na ruble. Staśkowi płacił ile ten żądał, i na pewno się domyślał o co chodzi, a przynajmniej powinien. Jak widać albo udawał głupiego, albo żył już tylko swoim kantorem.

Brat powiedział, że nie chciał mnie wciągać w to bagno. Gdy jednak zauważyli, że od samej granicy UOP depcze im po piętach, postanowili podjechać pod biuro Staśka. Kierowca się im zbuntował i nie chciał jechać dalej. Gdy zobaczyli przy przeładunku papieru

w Agromie jak UOP na chama filmuje i robi zdjęcia, nie wiedzieli co robić. Wtedy brat wpadł na pomysł, żeby zwrócili się do mnie i opowiedzieli tę bajkę, którą mi sprzedali. Potem on wszedł i przekonał mnie i Staśka, żebyśmy w to weszli.

Brat mówił, że wiedział, iż tylko ja mogę mu pomóc, ponieważ znam na tym terenie wszystkich, a w dodatku mam ich w kieszeni. Stwierdził, że się nie mylił. Brat powiedział jeszcze jedno, a mianowicie, że jak chcę to może mi oddać 3700 kilo tego papieru. Z powodu kłopotów, jakie teraz wynikły, nie potrzebuje więcej niż 1300 kg. Obliczył, że zarobią na tym papierze około 50 milionów dolarów. Swoich 1300 kilo mają już w drukarni. Co zrobię z resztą, to już go nie obchodzi. Cokolwiek zrobię to i tak dostanę od nich milion dolarów, bo tak uzgodnili z chłopakami – za to, że wypieprzyłem UOP jak chłopą w sądzie. Brat dodał jeszcze, chyba dość wzruszony, że chłopaki nie mają dla mnie słów pochwały, i sobie poszedł.

## **Największa porażka Urzędu Ochrony Państwa**

Długo się zastanawiałem co z tym fantem zrobić. Zdawałem sobie sprawę, że UOP się ode mnie nie odczepi. Wiedziałem przy tym, że 3700 kilogramów najwyższej klasy papieru do druku banknotów znajduje się w rękach zupełnie nieodpowiedzialnych ludzi, którzy nie zdają sobie sprawy co funkcjonariusze UOP-u mogą nam wszystkim zrobić walcząc o własną skórę, albo po prostu z zemsty. Miałem już dostatecznie duży majątek, aby nie wdawać się w takie awantury. Po nieprzespanej nocy postanowiłem, że oddam resztę papieru, żeby uspokoić UOP i Niemców, niecierpliwie i w strachu przed Ruskimi czekających, co zrobię.

Spotkałem się z funkcjonariuszem UOP w tym samym miejscu. Powiedziałem mu, że jest duża szansa na rozwiązanie sprawy po jego myśli, ale spytałem, kto pokryje koszty. UOP-ek od razu dostał



kolorków i powiedział, żeby o to się nie martwić. Najpierw mam oddać, a następnie się dogadamy. Ja na to, żeby mi dał numer telefonu. Kiedy załatwię z chłopakami zwrot partii papieru, zadzwonię żeby jego ludzie z UOP podjechali i towar zabrali. Tak będzie za każdym razem. Wtedy on zapytał, czy nie można tego załatwić za jednym razem. Odpowiedziałem, że ten papier to jest już dawno rozwiązany po całej okolicy, nawet ja sam dokładnie nie wiem, gdzie. Jeżeli jednak tak się spieszy, to niech sam to załatwi. Wtedy zmiękł. Powiedziałem, żeby czekał na telefon.

Po rozmowie z oficerem UOP pojechałem do ludzi, którzy brali udział w akcji. Próbowałem im wytłumaczyć, że mamy do czynienia z bardzo śmierdzącym towarem. Niektórzy przyznali mi rację, bo widzieli co się dzieje w Markach, jak UOP przewraca wszystko do góry nogami. Inni zaczęli się jednak buntować, więc obiecałem im pieniądze, które z kolei obiecał mi UOP. Dopiero wtedy zaczęli inaczej gadać.

Pierwszą partię 500 kg papieru chłopcy wyrzucili blisko Marek, na tyłach stacji benzynowej. UOP musiał wziąć posiłki, żeby to pozbiierać. Chłopcy dotykali papieru i bali się, że mogą być na nim ich odciski palców, zmoczyli go więc wodą i porozrzucali po całym polu. Myślę, że zrobili to na złość. Zdaje się, że któryś użył nawet sporego arkusza w pewnym celu, bo go akurat sparło. UOP nie był tym zachwycony, ale wybierał wszystko co do jednego papierka, łącznie z tym zużyтым. Na pewno później musieli ten papier suszyć, żeby określić jego rzeczywistą wagę.

Mimo tego zadzwonili z UOP-u z podziękowaniem. Prosimi o następne porcje. Powiedziałem, że kolejna partia będzie za około trzy dni. Zgodzili się. Drugą porcję otrzymali w Rembertowie, też 500 kg. Znów dzwoniли, że czekają na trzecią. Kiedy chłopcy szykowali się do jej przekazania, spytali mnie, gdzie ją tym razem wyrzucić. Nie miałem jakoś do tego głowy i machinalnie im powiedziałem na odczepnego, że jak nie mają gdzie, to niech wyrzucą u mnie pod bramą. Kiedy po dwóch godzinach podjechałem do domu, jakiś człowiek właśnie kończył zrzucać papier z samochodu dostawczego. Cóż było

robić – zadzwoniłem do UOP, żeby przyjechali, bo jest następna porcja. Spytali gdzie. U mnie pod bramą! Nie chcieli uwierzyć, więc położyłem słuchawkę. Wtedy sami zadzwonili z pretensjami, dlaczego robię sobie z nich żarty. Odrzekłem, że to nie są żarty i znów położyłem słuchawkę. Zaraz podjechał pod dom radiowóz, postął chwilę i odjechał. Po kilkunastu minutach przyjechała ekipa z UOP i wybierała papier. Na pewno nie było im to na rękę, bo w ten sposób całkowicie się kompromitowali.

Prawdę powiedziawszy, akurat to mi się podobało. Natomiast Zamorzonemu Lwu z UOP-u bezczelny postępek moich chłopców zupełnie nie przypadł do gustu. Niewiele o to dbałem, za to interesowały mnie obiecane przez niego pieniądze. Zapewniał, że już przygotowują i lada dzień będą je mieć, ale nalegał na zwrot reszty papieru, i to dość agresywnie. Doszło między nami do małej kłótni. Wtedy mi powiedział, że oni sami odkryli w jednym miejscu 700 kg papieru. Nie chciałem w to się wierzyć, ale zaraz po przyjeździe do domu dowiedziałem się, że mówił prawdę. To Ceber im przekazał gdzie i u kogo jest papier, w zamian za to, że odstąpili od ścigania go za nielegalne posiadanie broni i zwolnili z aresztu. Ceber się wypierał, ale my wiedzieliśmy dokładnie, że to on.

Jak widać, wcale nie mieli chłopcy z UOP-u większych skrupułów, kiedy chodziło o ich własne tyłki. Cebera uważali za niebezpiecznego gangstera, który chodzi z pistoletem i fałszuje pieniądze, nie mówiąc nawet o szmuglowaniu przez granicę spirytusu, ale kiedy mógł im coś sprzedać, zaraz okazał się dobrym gangsterem, którego nie trzeba trzymać za kratami i sądzić. Ciekawe, czy spluwę też mu oddali, czy też musiał kupić sobie nową.

Prasa potem dziwuje się, że taki czy inny podejrzany osobnik, którego dziennikarze widzieli już na wieloletniej odsiadce, nagle ni z tego ni z owego wychodzi na wolność. Za poręczeniem, za kaucją, albo tak sobie. Nie bądźcie naiwni, panowie dziennikarze! Za takim niezrozumiałym pozornie przypadkiem zawsze kryje się albo umocznona policja, albo kupiony prokurator, albo skorumpowany sędzia.

Tak więc Lew zaczął już pokazywać pazurki, a i kolorków złapał. Pieniądzy jak nie było, tak nie miał. Przerwałem zatem dostawy i zacząłem się z nim wyklócać. Wiedziałem, że zbliża się finisz całej sprawy i zadawałem sobie pytanie, co będzie dalej, bo przecież 1300 kg papieru, które zabrał brat z chłopakami, to jak kamień w wodę. Rzeźwiście, zaczęły się kłopoty.

Podczas kolejnego spotkania powiedziałem oficerowi UOP, że reszty nie dostaną, bo główni organizatorzy interesu nie chcą oddać. Dodałem, że zrobili już z tego towaru ruble. Wtedy on się wściekł. Powiedział, że od początku wiedzieli, iż ja tak właśnie postąpię. Niemcy też tak przypuszczali. I żebym sobie nie myślał, że u nich siedzą głupi ludzie, bo przecież my w Niemczech i tak nie chcieliśmy zamówić papieru więcej, niż 1300 kilo. Ponieważ fabryka takiego zamówienia nie chciała przyjąć, musieliśmy wziąć całych pięć ton. Poradził mi, żebym lepiej oddał resztę i zapomniemy o sprawie.

Sytuacja była patowa. Powiedziałem mu, że to ja okradłem chłopaków od papieru, ale nie sam, i tyle co było w mojej mocy, oddałem. Reszta nie jest w moim posiadaniu i niech się ode mnie odpieprzą, bo to już koniec naszej znajomości. Wtedy mi zagroził, że jeśli nie oddam reszty papieru, zniszczą mnie i moją rodzinę. Nigdy mi tego nie darują. Odpowiedziałem, żeby mnie nie straszył, bo ja się go nie boję. I żeby się odpieprzył. Zdaje się, że powiedziałem to nawet trochę dobitniej, w ich policyjnym języku.

## Jak aresztowałem policję

Po kilku dniach wezwanie do UOP otrzymał mój pracownik, niejaki Piotrek. Na przesłuchanie pojechał. Potraktowano go bardzo kulturalnie. Zaczęli mu tłumaczyć to wszystko, co i mnie wcześniej, z tym, że dodali jeszcze coś nowego. Mianowicie, że Rosjanie mogą tu przysłać KGB. Wtedy już nikt i nic nam nie pomoże, a pana Henryka znajdzie ktoś przypadkiem w lesie. Prosilili Piotrka, aby mi do-

kładnie przekazał, co sam usłyszał. Znow grozili, że jak nie oddam reszty papieru, to zniszczą mnie i moją rodzinę. Wyzaczyli termin do następnego dnia.

Nazajutrz od samego rana dały o sobie znać oznakowane samochody policyjne na sygnale. Na każdym skrzyżowaniu koło mojego domu stali tak, jakby to były roгатki w czasie stanu wojennego. Zaraz dostałem telefon, że znow zaczęły się rewizje w różnych miejscach, gdzie ich wcześniej jeszcze ich nie przeprowadzono. Znow zaczęli gorliwie jeździć za mną i moją żoną. Na wprost mojej bramy specjalnie zatrzymywali ludzi, którzy przejeżdżali ulicą dobrymi samochodami. Rozstawiali ich do rewizji w pozycji z rękami na masce. Kręcili się przy nich w kominiarkach i z długą bronią, i w ten sposób demonstrowali swoją siłę.

Ale ja wiedziałem i my wszyscy dobrze zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że robią to wszystko z bezsilności. Co więcej, myślę że byli w rozpacz. Tym nierobom w kominiarkach może nawet przypadło do gustu, że mogą się popisywać i znęcać, bo oni do niczego innego się nie nadają, do żadnej uczciwej roboty – ale góra z pewnością gryzła palce. O, tam szykował się prawdziwy festiwal spadających gwiazd, a Lwy UOP-u liniały w przyśpieszonym tempie.

Po kilku dniach miejscowi już nie przejeżdżali moją ulicą. Woleli objechać łapankę. To samo działo się przed moim kantorem. Ktokolwiek tam zajeżdżał, był zatrzymywany. Któregoś razu nie oznakowane auto wjechało za pewnym klientem na teren kantoru. Wtedy do nich wyszedłem, spytałem czy mają nakaz i zażądałem, aby się wylegitymowali. Zaczęli się ze mnie śmiać. Wtedy po prostu nacisnąłem przycisk pilota i zamknąłem bramę. Potem wróciłem do kantoru i zadzwoniłem na komisariat do Ząbek. Zgłosiłem co się dzieje. Po kilku minutach z Ząbek oddzwonili i powiedzieli, że oni nic na to nie poradzą. Nastawałem na interwencję, ale zaczęli się wymigiwać. Wtedy zadzwoniłem do dyżurnego komendy stołecznej i ponownie zgłosiłem zdarzenie. Na wszelki wypadek przypomniałem oficerowi dyżurnemu, że nasza rozmowa rejestrowana jest na sekretarce. Prosił, żebym chwilę zaczekał. Widocznie poszedł się z kimś nara-

dzić, bo po dziesięciu minutach obiecał, że zaraz przyjedzie i wyjaśni sprawę.

Wtedy wróciłem do policjantów uwięzionych na mojej posesji. Już zaczęli krzyżeć, że jak nie otworzę bramy, to ją rozwalą. Powiedziałem im – niech rozwalają. Kamera wszystko rejestruje. Ponieważ nie chcieli się wylegitymować, wziąłem ich za zwykłych bandziorów. Zadzwoiłem też na stołeczną, skąd zaraz mają tu przyjechać.

Po kilku minutach rzeczywiście przyjechali. Wysłuchali mnie i powiedzieli, że bym otworzył bramę. Uparłem się, że bramy nie otworzę dopóki te bandziory się nie wylegitymują. Dyżurny w końcu polecił im, żeby okazali legitymacje. Długo się targowali, ale w końcu pokazali. Otworzyłem im bramę, oni wsiedli do samochodów i ruszyli z kopyta. Oczywiście, na sygnale!

Na drugi dzień w prasie na pierwszych stronach gazet pojawiły się sensacyjne tytuły: „Dziad aresztował policjantów”. Tak nagłośniono tę sprawę, że stałem się przez chwilę chyba najbardziej znanym człowiekiem w Polsce, i nie tylko. Zaczęli zjeżdżać do mnie dziennikarze z całego świata, prosili o wywiady. Na przykład Niemcy wypytywali czy to prawda, że ukradłem pięć ton papieru do produkcji rubli. Oczywiście bardzo to zajmowało także Rosjan. Z Niemiec i Kanady miałem dużo telefonów od znajomych, którzy pytali co się ze mną dzieje, bo u nich w gazetach i telewizji jestem na pierwszym miejscu. Jeden z reżyserów proponował mi nakręcenie filmu o moim życiu.

## **Ważę się pogniwać**

Ruble pojawiły się wkrótce w obiegu. UOP dostał jeszcze większego szału, sprawą zainteresowała się bowiem Rosja. Jak podała prasa, Jelcyń wysłał do kanclerza Niemiec notę, w której żądał wyjaśnienia jak to się dzieje, że niemiecka fabryka produkuje dla polskich gangsterów papier na rosyjskie pieniądze. Ponoć zarzucił Koh-

lowi, że to spisek Polaków i Niemców dla zniszczenia rosyjskiej gospodarki. Nie wiem jak się Niemcy tłumaczyli, myślę że powiedzieli prawdę i z pewnością zwalili winę na UOP, który wiedział o wszystkim i o wszystkim decydował.

Minister spraw wewnętrznych Andrzej Milczanowski pojechał do Rosji, żeby wyjaśnić sprawę. Jak tam było w Moskwie, tego oczywiście nie wiem. Moi znajomi z tamtych stron rzadko bywają na Kremlu. Wiem co było, gdy minister wrócił z Rosji. Otóż minister Milczanowski zdał na ten temat raport prezydentowi Lechowi Wałęsie. Prezydent niezwłocznie wysłał swojego adiunkta do szefa Prokuratury Wojewódzkiej, Zbigniewa Rząsy. Tam odbyła się rozmowa, w której szef prokuratury został ostro skrytykowany za to, że zamiast mnie zamknąć, pił ze mną herbatę. Nie wiem, jaki był dalszy przebieg tej rozmowy, bo człowiek który mi to powtórzył musiał opuścić pomieszczenie. Nie ujawniam kto to był, bo człowiek ten nadal pracuje w prokuraturze, tylko trochę wyżej, i często bywa użyteczny.

Wiem również, że u prezydenta tłumaczyli się najwyżsi oficerowie z UOP. Pewnie i nasz Lew, z ogonem pod siebie. Prezydent grzmiał, żeby mnie zniszczyć. Tego się z kolei dowiedziałem od swojego człowieka, który pracował w kancelarii prezydenta Wałęsy. Był to niejaki Jerzy z Marek. Dziś to mogę powiedzieć, bo już tam nie pracuje. Zajął się prywatnym biznesem, jak ja.

Ja ze swej strony zwróciłem się do mecenasa Macieja Bednarkiewicza w celu założenia sprawy przeciwko funkcjonariuszom UOP. Wybrałem właśnie jego, ponieważ był tak samo prześladowany przez władze komunistyczne i siedział w więzieniu, chociaż był posłem. Mecenas mnie wysłuchał, wziął zadatek w wysokości tysiąca dolarów i powiedział, że sprawą się zajmie. Kiedy jednak po kilku dniach przyjechałem do niego, żeby się dowiedzieć co i jak, powiedział mi, że zorientował się o co chodzi i nie podejmie się tej sprawy. Zapewniał, że jest mu z tego powodu przykro. Powiedział mi też w tajemnicy, że za wszelką cenę chcą mnie zamknąć i mają na mnie stopy dokumentów, z których jednak niczego nie można wycisnąć. Kazał mi bardzo uważać na siebie i rodzinę. Wiedział co mówi.



## Więzienie za nazwisko

Długo nie trzeba było czekać. Już po kilku dniach zatrzymali mojego syna Pawła pod całkowicie wymyślonym pretekstem. Rzecz dotyczyła tego, iż rzekomo był widziany w towarzystwie ludzi, którzy odbierali wykup za skradziony wcześniej samochód. Policja przyjechała po niego do domu, zamknęła go, lecz prokuratura nie chciała wydać nakazu aresztowania. Musieli syna wypuścić, ale po dwóch dniach przyjechali i znowu zamknęli go za to samo. Znaleźli innego prokuratora, który dał sankcję na trzy miesiące. Syn napisał odwołanie do sądu, a ten uchylił areszt. Minęły dwa dni, policja przyjechała ponownie i aresztowała chłopaka, ponieważ prokuratura wojewódzka zdecydowała, że sąd rejonowy źle postąpił wypuszczając go na wolność.

W końcu syna zamknęła pani prokurator o nazwisku Matysik. Jeździłem do różnych znajomych, żeby pomogli mi w uwolnieniu chłopca. Znajomi policjanci rozkładali ręce. Mówili, że czegoś takiego jeszcze w życiu nie widzieli. Naprawdę nie mogli mi pomóc. W końcu dotarłem do samego sędziego, który prowadził sprawę mojego syna. Powiedział mi szczerze, że Paweł siedzi za nazwisko, a nie za to co zrobił. Pierwsza pani prokurator, która nie chciała syna aresztować, została karnie zesłana do Węgrowa. Sędzia powiedział jeszcze, i ja go rozumiem, chociaż nie muszę uważać tego za uczciwe, że on ma tu mieszkanie, dobrą posadę, do emerytury jeszcze 8 lat – więc nie chce zadzierać z prezesem. Zresztą, nawet gdyby syna jeszcze raz zwolnił, to i tak coś by wymyślono, żeby jednak siedział. On zaś z pewnością już by tu nie pracował. Prywatnie może mi tylko współczuć. W końcu i tak sprawę Pawła przeniesiono do Warszawy, żeby była na oku, i tam zapadł wyrok, którym na zamówienie władz skazano niewinnego, młodego człowieka.

Jeśli zaś chodzi o dalsze losy innego bohatera tej historii, którego przywykłem tu nazywać Cienkim Lwem – to, jak słusznie się Czytelniku domyślasz, bardzo po tej rublowej kompromitacji awansował. Nic dziwnego, taki specjalista! Z Dziadem się targował! Z polskiej

policii i bratnich służb nie wywała się ludzi za takie wpadki, które w każdej innej policji świata byłyby końcem kariery. Człowiek, który mógłby u mnie co najwyżej kozy pasać, bo już swoich gołębi na pewno bym mu nie powierzył, jest dzisiaj zastępcą komendanta głównego policji.

## Czyje ruble lepsze?

Dzisiaj już wszyscy wiemy, że mniej więcej w tym samym czasie, kiedy chłopcy z miasta drukowali sobie w jakiejś piwnicy ruble warte 50 milionów dolarów, w Polsce kwitła w najlepsze zupełnie inna afery rublowa, która zamyka się sumą, jak podliczono po latach, 30 bilionów starych złotych. Okazało się, że każdego roku towarzysze ze spółek pozakładanych pospiesznie przez komunę wyprowadzali z kraju do ZSSR po 10 miliardów dolarów. Firmy należące do nomenklatury mafii kupowały na Zachodzie za dewizy atrakcyjne towary, które dostarczano do bankrutującego Związku Sowieckiego w zamian za „ruble transferowe” – pieniądź wymyślony przez KGB, który w ogóle nigdy nie istniał. Był to papierowy przelicznik, który w tym czasie stał się całkowicie bezwartościowy. Niemniej Bank Handlowy w Warszawie długo jeszcze wymieniał to siano po 2100 zł, chociaż oficjalny kurs i tak wynosił 320 zł. To tak, jakbym ja w swoim kantorze skupował dzisiaj dolary po 40 zł, zamiast po 4. Wiadomo, że dolary po 40 zł sprzedał by mi absolutnie każdy, nawet sam premier Miller, i to każdą ilość, własnych i żony. Nie zostawił by jej nawet złamanego dolara na nową gustowną kieckę od Diora z napisami „Gruppensex”. Natomiast ruble transferowe mógł sprzedać polskiemu bankowi tylko ten, kto je miał. Czy ja, chociaż to i owo wiem o walucie, kiedykolwiek widziałem takie dziwo? Czy rubla transferowego oglądał na oczy ktokolwiek? Niech się do mnie zgłosi i pokaże taki pieniądź, wymienię mu każdą sumę na dolary po kursie jeden do dziesięciu. Otóż cała ta operacja była w istocie bandyckim drenażem systemu finansowego

naszego kraju, z którego cały zysk trafił do KGB, Służby Bezpieczeństwa i może jeszcze jakichś innych służb specjalnych, o których tacy prostaczkowie jak ja niczego nie wiedzą.

Towarzysze tak nerwowo lokowali pieniądze na rosyjskim rynku, że kiedy Skarb Państwa przejął majątek całej potężnej PZPR okazało się, że jest on wart tyle, co połowa małego fiata 126 p.

A teraz proponuję zastanowić się nad taką sprawą: co się stało z 300 milionami rubli, które pięknie wydrukował na pierwszorzędnym niemieckim papierze mój brat? Otóż zostały one sprzedane Ruskim za dolary. W ten sposób mój brat ściągnął z rosyjskiego rynku do Polski 50 milionów dolarów, za które powstało sporo restauracji, hoteli, warsztatów rzemieślniczych i tak dalej. Zgadza się, agencji towarzyskich. Niech będzie, że część została przepita i przebalowana w dyskotekach. Co w tym samym czasie robił rząd pana Mazowieckiego, z ministrem finansów Balcerowiczem? W największej tajemnicy kupował od Ruskich, za prawdziwe pieniądze, drewniane ruble transferowe. W ten sposób wyprowadził z polskiego rynku 25 miliardów dolarów. I żaden z nich nawet się za to nie napił i nie pobałował. Robili to za nich Rosjanie.

Ja oczywiście brata nie usprawiedliwiam, bo rozumiem, że drukowanie sobie pieniędzy obcego państwa to rzecz bardzo niewłaściwa, chyba że są bardzo dobrze zrobione. Ja tylko pokazuję, kto pierwszy w Polsce powinien siedzieć za ruble.

## Konflikt

Tak oto mimo wysiłków Znękanego Lwa i całej reszty UOP ruble w najlepsze krążyły sobie na rynku. W tym czasie przyjeżdżało do Polski mnóstwo Rosjan, którzy handlowali na Stadionie Dziesięciolecia i na bazarach w całym kraju, brali więc ruble chętnie, nie patrząc czy je zrobiono w Moskwie, czy równie dobrze w Markach. Były z tego dobre pieniądze, więc chłopcy bardzo się tym towarem interesowali. Często wynikały z tego różne konflikty.

Z tego co wiem, kiedy mój wspólnik od rublowego papieru Stasiak siedział za coś w więzieniu, okradł go niejaki Kikir. Było to tak, że wziął od ludzi Staśka wyprodukowane lewe ruble na sumę 800 tysięcy dolarów i nie rozliczył się z tego.

Po wyjściu z więzienia Stasiak przyszedł do mnie radzić się, jak odebrać od Kikira pieniądze. Wypytywał, czy Kikir w ogóle ma jakieś dochody i jakim jeździ samochodem. Kikir w tym czasie również siedział, ale Stasiak wiedział, że bardzo często wychodzi z więzienia na przepustki i wtedy okrada różnych złodziei, którym się dobrze powodzi. Dawało mu to gwarancję, że nie pójdą na policję. Dzięki temu Kikira było stać na wystawne życie, chociaż siedział w więzieniu. Wybudował nawet w tym czasie dom. W pewnym momencie ktoś jednak zainteresował się Kikirowym. Wykryto, że przebywał więcej na przepustkach, niż w więzieniu. Problem ten nagłośniono w telewizji i od tamtej pory Kikirowi nie chciano już dawać przepustek.

Stasiak poszedł do Kikira do domu, kiedy ten był na przepustce. Dopominał się o zapłatę za fałszywe ruble. Kikir odrzekł, iż od niego osobiście niczego nie brał i nie będzie z nim na ten temat rozmawiać. Dodał bezczelnie, że teraz to Stasiak ma poważniejszy kłopot od niego. Chyba zdaje sobie sprawę z tego, że jeśli zastrzelono Mańka i Lutka, to on może być następnym. Stasiak zapowiedział Kikirowi, że on tak tej sprawy pieniędzy za ruble nie odpuści. Nie dość, że wyłożył na ten interes dużo pieniędzy, to w dodatku przesiedział już trzy lata, a jeszcze trzy ma do odsiadki.

Krótko mówiąc – Stasiak zapytał mnie w końcu, czy ja nie będę mieć nic przeciwko temu, że on Kikira zastrzeli.

## **W Ząbkach robi się głośno**

Zapytał też o to, czy nie będę przeciwny temu, że on na teren Ząbek i okolicy wprowadzi swoich ludzi, których poznał w więzieniu i którzy zmuszą wszystkich miejscowych krawców i innych przywaciarzy do płacenia haraczu.

Nigdy bym nie przypuszczał, że Staśka stać na coś takiego. Myślałem, że wygaduje bzdury pod wpływem narkotyków. Powiedziałem mu, że mnie takie sprawy nie interesują, ale odradzam mu realizację tych pomysłów. Wtedy odparł, że ma wszystko przemyślane i zgromadził już granaty, które powinny zmusić do posłuszeństwa opornych. Później weźmie się za Kikira.

Po kilku dniach najwidoczniej chciał mi zademonstrować swoją siłę i zdecydowanie. Zajechał na moje podwórze pięcioma samochodami, z których wysypało się ze dwudziestu młodych mężczyzn, krótko ostrzyżonych i dość dobrze zbudowanych. Opieprzyłem go i powiedziałem, żeby się wynosił, bo sąsiedzi patrzą.

Nagle na terenie Ząbek, Zielonki i okolic, a także w gazetach zrobiło się bardzo głośno. Domy krawców zostały obrzucone granatami. Niektórzy z nich natychmiast zamontowali sobie kamery i wynajęli ochroniarzy. Większość jednak w te pędy przybiegła po ratunek do medialnego szefa mafii wołomińskiej, czyli do mnie. Drzwi się nie zamykały. Jedni prosili o pomoc, drudzy zgłaszali pretensje. Pytali dlaczego im nie proponowałem, żeby mi płacili, tylko od razu obrzucam ich warsztaty granatami. Kilku z nich proponowało mi jednorazowo po 10 tysięcy dolarów za pozostawienie ich w spokoju. Inni, którzy mi uwierzyli, że nie mam z tym nic wspólnego, zapraszali mnie na wódkę. Gdy odmawiałem, siłę zostawili w moim domu bardzo drogie alkohole. Wszystkim radziłem, aby poszli na policję.

Wkrótce wszyscy już wiedzieli, że za tym pogromem stoi Stasiek. Tylko policja miała na ten temat inny pogląd. Gorliwie zajęli się sprawą, jeździli po zakładach krawieckich i nakłaniali właścicieli, aby mnie obciążyli. Pokrzywdzeni na to, że to nie ja, tylko Stasiek. Policja chciała jednak dopaść medialnego szefa mafii, a nie prawdziwego gangstera.

Stasiek osiągnął swój cel. Z jednymi krawcami wszedł w spółkę, z innymi zaś otworzył pod Warszawą dyskotekę. Podczas odsiadywania wyroku ożenił się i wybudował ładny dom w Wołominie. Żyłby ze swoją młodą żoną długo i szczęśliwie, gdyby nie stara sprawa rubli. W końcu między Staśkiem a Kikirem doszło na tym tle do ostrego

konfliktu. Zdaje się, że Stasiak chciał osobiście zastrzelić Kikira pod bramą więzienia. W innych miejscach Kikir był nieuchwytny. Stało się jednak zupełnie inaczej.

Pewnego dnia Stasiak podjechał pod nowy dom i tam, przy samej furtce, został zastrzelony. Najprawdopodobniej zrobił to sam Kikir, chociaż to są tylko moje przypuszczenia. Stasiak zostawił po sobie żonę dwa domy w Wołominie, dom w Ząbkach, olbrzymią działkę w Kawęczynie, kilka samochodów oraz pokaźną sumę na koncie. Nie mieli dzieci. Niech mu ziemia lekką będzie.

## Strzelanina

Według mnie nikt inny, tylko Kikir był głównym inicjatorem porwania syna pewnego biznesmena z Wyszkowa, którego potem uwolnił detektyw Krzysztof Rutkowski. Było o tym bardzo głośno w telewizji. Przed tym porwaniem Kikir wpadł na jeszcze inny pomysł. Jeździł do wszystkich złodziei oraz handlarzy narkotyków i rozpowiadał im o wojnie z Ząbkami. Mówił, że albo muszą wziąć w tym udział, albo dać pieniądze na broń. Ile wyludził w ten sposób pieniędzy, tego nie wiem. Wiem natomiast, że znalazł się w Markach jeden odważny, co przeciwstawił się Kikirowi i porwał jednego z jego ludzi. Tego samego, który wcześniej obrzucił granatami mój kantor w Ząbkach, żądając 100 tysięcy dolarów haraczu.

Porywacze przez cały czas upijali porwanego alkoholem, a gdy tylko trzeźwiał, kazali mu dzwonić do jednego z ludzi Kikira po okup. Z pertraktacji nic jednak nie wychodziło, co zaczęło porywaczy denerwować. Ludzie ci nie chcieli się ujawniać, bo bali się zemsty Kikira, i gdyby nie przypadek z pewnością pozostali by nieznani. Kiedy stracili nadzieję na okup, dla zatarcia śladów postanowili porwanego zlikwidować i ciało głęboko zakopać.

Na razie związali swoją ofiarę, umieścili w bagażniku samochodu i pojechali w upatrzone miejsce, gdzie mieli przeprowadzić egze-



kucję. W drodze porwany poluzował sobie pęta, poczym jako wytrawny złodziej samochodów otworzył bagażnik. Nie zauważony przez porywaczy wyskoczył, a że było to na leśnej drodze, przeżył. W ten sposób zdołał uniknąć śmierci. Jak później opowiadał, ciężko to wszystko przeszedł i trudno mu się dziwić. Tylko łut szczęścia sprawił, że w beznadziejnej sytuacji ocalał życie.

Natychmiast powiadomiono Kikira. Jego ludzie zebrali się i podjęli decyzję, że nie będą czekać aż wyjdzie na kolejną przepustkę, tylko sami dadzą nauczkę porywaczom. Kilkanaście osób wtargnęło na posesję porywaczy, którzy jak się okazało byli przygotowani na taką akcję. Jeden z ludzi Kikira został śmiertelnie ranny, trzech innych niegroźnie postrzelono.

Ludzie Kikira wycofali się, zabrali najmocniej rannego do samochodu i rozpiechli się po okolicy. Ciężko rannego podrzucili pod szpitalem, jednak zmarł. Natomiast lekko ranni znaleźli prywatnie lekarza, który usunął im kule.

Porywacze podali policji dane osób, które brały udział w odwecie. Policja bez trudu dotarła do rannych. Z prasy można się było dowiedzieć, że ujawnili oni nazwisko lekarza, który odpłatnie udzielił im pomocy i nie powiadomił o ranach postrzałowych policji. Jak się to wszystko zakończyło nie wiem, gdyż wkrótce mnie aresztowano.

## Love story Kikira

Kikir był żonaty i miał dwoje dzieci. Odsiadywał chyba dziesięcioletni wyrok za napad na starszych ludzi, których przypalał żelazkiem aby wskazali miejsce, gdzie przechowują złoto i pieniądze. Będąc na przepustce poznał na jakimś przyjęciu bardzo ładną dziewczynę. Na imię miała Kaśka i pochodziła z Puław.

Na punkcie tej dziewczyny Kikir dostał kota. Nie było dnia, żeby nie jeździł do niej do Puław. Przekraczał czas przerwy w karze. Oso-

biście nie dziwiłem się Kikirowi, że tak zwariował. Widziałem ją kiedyś. Była to naprawdę bardzo ładna, niesamowicie zgrabna blondynka o ładnych piersiach i bardzo ładnych długich nogach. Widziałem też kasetę video, którą wszystkim chwalił się Kikir. Sfilmował tam Kaškę, która bynajmniej nie kryła swoich wdzięków. Była tam scena, jak się rozbiera do spania i w całej okazałości kładzie do łóżka. Urody mogłaby jej pozazdrościć niejedna aktorka. Trudno jest mi to opisać, gdyż zaraz mi tchu brakuje. Kaška też była bardzo dumna z tej kasety, którą Kikir się przechwalał. Puszczal ją sobie w więzieniu przed snem i wszystkim pozwalał oglądać. Dopiero po tym seansie można było oglądać program w telewizji.

Krótko mówiąc, Kikir nie widział świata poza Kašką. Dbał o nią aż do przesady, spełniał jej zachcianki. Kupił jej nowy japoński samochód sportowy. Rozwiódł się z żoną, a następnie ożenił z Kašką, chyba nawet podczas odbywania kary w więzieniu.

Pewnego razu dostał przepustkę z więzienia i wybrał się z Kašką na przejażdżkę. Pojechali w obstawie drugiego samochodu. Przypilnowali ich. Z innego samochodu oddano do nich dwoje ponad sto strzałów z karasznikowa. Tylko dwie kule okazały się celne. W wyniku strzelaniny Kaška straciła palec, który chyba przyszyto jej jednak z powrotem. Natomiast Kikir został mocniej ranny. Z tego co wiem, prawdopodobnie miał bezwład prawej ręki. Prawdopodobnie, ponieważ do operacji nie doszło. Ledwo Kaška wyszła ze szpitala, na salę w której leżał Kikir wszedł jakiś porządny z wyglądu człowiek. Rozpoznał Kikira i po prostu zastrzelił go siedmioma strzałami, żeby się biedak dłużej nie męczył. Osobiście jestem mu za to bardzo wdzięczny i składam gratulacje.

Tak zakończyło się życie tego oszusta i bandziora. Dom, który wybudował na tej samej posesji, gdzie mieszkała jego pierwsza żona z dziećmi, przypadł dla nich. Kaška została tylko z samochodem i wspomnieniami o Kikirze. Moim zdaniem, z taką urodą szybko znalazła pocieszenie w ramionach innego mężczyzny, który być może jeszcze bardziej zwariuje na jej punkcie, niż Kikir.

## Frajerzy i ludzie honoru

Moim zdaniem, w obecnych czasach z całą pewnością opłaca się być dobrym gangsterem. Nawet przy założeniu, że pożyje się nie dłużej niż 40 lat – ale za to w luksusie i poważaniu. Zapewni się lepszy start i godne życie swojej rodzinie. To jest moim zdaniem jedyne wyjście, aby wybić się z bagna, jakie panuje dzisiaj w Polsce.

Zwykły, logicznie myślący obywatel ma tylko dwa wyjścia. Może przejść z rodziną na wegetarianizm i latem jeść trawę, a zimą siano, albo też żyć na koszt opieki społecznej i zasilac zatłoczone monary Marka Kotańskiego. Byłoby to jedno wyjście, które moim zdaniem kwalifikuje taką osobę do grona nieudaczników i frajerów. Natomiast drugie wyjście opisuję na kartach tej książki. Ta druga droga, choć krótka, wydaje mi się słuszna. Taki człowiek zasługuje na szacunek, bo przecież nie każdy może otrzymać na starcie pomoc od rodziny, czy szansę, aby ukraść pierwszy milion w białych rękawiczkach.

Weźmy na przykład sprawę, o której niedawno było bardzo głośno w mediach. Radio Zet, które z takim upodobaniem rozwodzi się ciągle nad sprawkami domniemanego szefa mafii wołomińskiej, niejakiego Dziada, tym razem bez słowa komentarza przelknęło śmiesznie niski wyrok w zawieszeniu i karykaturalną grzywnę, wymierzone złodziejom ze znanej spółki giełdowej Elektromis. Ten wyrok i kara tylko potwierdzają moją opinię, że jednak opłaca się być dobrym i ambitnym gangsterem. Bo jak inaczej nazwać takich ludzi, którzy okradli – co prawda w białych rękawiczkach, białych kołnierzykach i dobrych garniturach, a nie ze spluwą w rękę – Skarb Państwa, czyli nas wszystkich, na 40 milionów złotych? Do tego jeszcze fałszowali dokumenty. Gdybym to ja zrobił coś takiego, pewnie prokuratura zażądałaby dla mnie dożywotniego więzienia, czemu ja osobiście wcale bym się nie dziwił.

Pod celą numer 12 na Mokotowie siedzi ze mną niejaki Grzesiek Szelest, który ukraść tylko sto tysięcy, ale odsiaduje nieporównanie większy wyrok niż ci magicy z Elektromisu, co się obłowili na 40 milionów. Jego wyrok brzmi: 40 lat, po upływie których będzie mógł

się dopiero ubiegać o warunkowe zwolnienie. Co prawda, kiedy 3 marca 2001 r. kradł te sto tysięcy z Kredyt Banku w Warszawie, zastrzelił przy okazji cztery osoby. Wypadek przy pracy. Ja oczywiście czegoś takiego nie popieram, ale zamknęli mnie z nim pod całą, to z nim siedzę, choć wolałbym z tymi z Elektromisu. Od nich na pewno bym się dowiedział, kto tak naprawdę za tą aferą stoi.

Krótko mówiąc, obaj z Grześkiem, jako obywatele i towarzysze niedoli, byliśmy zbulwersowani śmiesznie niskimi wyrokami w sprawie o kradzież tak gigantycznej kwoty pieniędzy. Logicznie rzecz biorąc to suma wydana przez Skarb Państwa na ten proces, który ciągnął się przez osiem lat, z pewnością wielokrotnie przekroczyła wartość grzywien, jakie na złodziei w białych rękawiczkach nałożył sąd. Dalej nie będę tego komentować, bo rzygać się chce, niech każdy sam pomyśli czy był to wyrok sprawiedliwy i adekwatny do ciężaru popełnionych przestępstw.

## Kurnik Temidy

Kiedy dzisiaj dowiaduję się, że prokurator chce zwolnić za kaucją byłego prezesa PZU Życie, Wieczarzaka, który zachachmęcił sto kilkadziesiąt milionów złotych, to zaraz przypomina mi się los dwóch moich starych znajomych z Targówka, Wojtka i Zygiego.

Wojtek odwiedził Zygiego w jego mieszkaniu na Zaciszu. Wstąpił do kumpla, bo tak się zmęczył całodzienną balangą w parku brudnowskim, że zabrakło mu sił na powrót do domu. Jak przystało na porządnego człowieka, Wojtek nie przyszedł sam, tylko przypro-wadził flaszkę wina.

Kiedy butelka pokazała dno, obaj poczuli apetyt na kolację. Gospodarz niewiele jednak mógł zaproponować – sam siedział głodny, ponieważ pieniędzy wystarczało mu tylko na denaturat. (Na marginesie: czy w Unii będzie jeszcze denaturat? Co Unia zaproponuje licznej rzeszy smakoszków?)

Postanowili ukraść komuś kurę. Wzięli worek i poszli na ogródki działkowe przy Bystrej. Włamali się do szopy jakiegoś emeryta, złapali osiem kur i nutrię, którą jednak zaraz uciekła, i pomaszerowali do domu. Na ulicy jedna kura wyrwała się na wolność im przez dziurę w worku, ale Wojtek ją schwytał.

Dostawa drobiu była już prawie na miejscu, kiedy czujny patrol policji dostrzegł dwóch mężczyzn dźwigających podejrzaną brzozię. Dwaj funkcjonariusze od razu rozpoznali, z kim mają do czynienia. Trzydziestoparoletni Wojtek miał już wtedy za sobą trzy wyroki sądowe, a nieco starszy wiekiem i praktyką Zygi siedział dziesięć razy. Policjanci postanowili śledzić podejrzanych.

W mieszkaniu Zygiego trzy najtłustsze kury zostały wybrane na rosół. Kiedy gospodarz wyszedł do komórki po drewno na opał, natknął się na policjantów. Słyszając podejrzaną hałas na korytarzu, Wojtek zamknął drzwi od wewnątrz, zdradziły go jednak kury biegające luzem po kuchni i głośno protestujące przeciw zadawaniu im gwałtu przez obcych. Wojtek wyskoczył zatem przez okno – prosto w objęcia znajomego starszego posterunkowego.

W ten sposób złodzieje trafili do aresztu skacowani i głodni. Kury zabezpieczono na komisariacie.

Sprawców pogromu w kurniku zatrzymano, a następnie tymczasowo aresztowano. Aż do rozprawy, która odbyła się po prawie roku, nie musieli troszczyć się o jedzenie. Kilka razy zwracali się o uchylene sankcji prokuratorskiej, ale nie wypuszczono ich na wolność. Zażalenia pozostawiono bez uwzględnienia z powodu znacznej szkodliwości społecznej popełnionego przestępstwa.

Na rozprawie przed Sądem Rejonowym wyroki zapadły surowe. Wojtka skazano na rok pozbawienia wolności i milion starych złotych grzywny, natomiast Zygiego, który jednocześnie odpowiadał za włamanie do sklepu spożywczego, skąd ukradł denaturat, czekoladę i świńską konserwę, na trzy lata więzienia i półtora miliona grzywny. Obaj dopuścili się przestępstwa w warunkach recydywy.

Od tego wyroku Zygi, jako stary wyjadacz, założył rewizję, po rozpoznaniu której Sąd Wojewódzki utrzymał zaskarżony werdykt.

W uzasadnieniu sąd powołał się na to, że oskarżony był wielokrotnie karany, ma złą opinię, a nade wszystko – że tego typu czyny szerzą się nagminnie. Natomiast Wojtek nigdzie się nie odwoływał, gdyż wołał odsiedzieć swoje i nie martwić się o jedzenie i dach nad głową.

Tutaj trzeba zauważyć, że Wieczerek nie kradł z głodu, tylko z chciwości. Jeśli sąd proponuje, że wypuści go na wolność za sześć i pół miliona złotych, to chyba dobrze zdaje sobie sprawę, że muszą to być pieniądze pochodzące z przestępstwa. A jeśli tak, to podejrzany ma ich zapewne znacznie więcej, biorąc pod uwagę spustoszenie, jakie uczynił w kasie swojej firmy – a więc zaraz weźmie nogi za pas i przepadnie na Karaibach z resztą worków z dolarami. A może o to właśnie chodzi – żeby nie powiedział zbyt wiele? Natomiast moi starzy znajomi z Targówka poszli kraść kury, bo byli głodni. Najedzeni faceci nie robią rosółu od razu z trzech kur. A oni nawet rozważali, czy nie ukręcić łba czwartej, Wojtek jednak po namyśle stwierdził, że więcej niż jednej kury nie zmieści.

## **Twardszy niż żelazo**

Cóż, człowiek honoru i przestępca w jednej osobie musi płacić wysoką cenę za dobro swej rodziny. On nigdy nie będzie frajerem, który za miskę zupy stacza się na dno i pozwala nisko upaść swojej rodzinie. To, że zginęli Kikir, Stasiak i wielu innych, wcale jeszcze nie oznacza, iż równie wielu innych nie przeżyło więcej niż 40 lat. Znam takich, co mają lat dużo więcej ode mnie, a policja nigdy o nich nie słyszała. Decyzję co do tego, kim chcecie w życiu zostać, pozostawiam każdemu z was. Czy biednymi frajerami, którzy męczą się do sześćdziesiątki, czy też obrzydliwie bogatymi gangsterami, często nie dożywającymi 40 lat, chociaż czasem więcej, ale zawsze z honorem.

Siedząc pod celą doszedłem do przekonania, że gdyby w tym interesie byli wyłącznie sami ludzie z honorem, to policja byłaby bezradna. Przecież tylko dzięki frajerom, którzy przez przypadek



wmieszali się między ludzi honoru, policja jakoś tam egzystuje. Zadałem sam sobie pytanie, co jest twardsze: człowiek honoru czy żelazo? Po długich przemyśleniach doszedłem do wniosku, że prawdziwy człowiek honoru jest twardszy od żelaza. Zadałem to pytanie tym, co siedzieli wówczas ze mną pod celą. Jeden prawie bez namysłu powiedział, że twardsze jest żelazo, drugi – że człowiek. Wtedy im powiedziałem, że moim prywatnym zdaniem prawdziwy człowiek jest twardszy od żelaza. Wyjaśniłem dlaczego tak jest. Najpierw zadałem im pytanie, czy słyszeli kiedykolwiek, ażeby prawdziwy człowiek pękł. Jeden z nich wówczas powiedział, że on znał jednego takiego prawdziwego twardziela, w dodatku porządnego człowieka, który pękł, tak jak pęka niekiedy żelazo. Wówczas zapytałem, czy jednak zna takiego człowieka, który nigdy nie pękł. Odpowiedział, że zna. Wówczas powiedziałem mu, że tamten, który pękł, nie był prawdziwym człowiekiem tylko zwykłą świnią. Stwarzał tylko pozory tego, że jest twardzielem i człowiekiem, a to był zwykły śmieć. Nie powiem, dość dużo czasu upłynęło, zanim ich obu przekonałem. Gdy naprawdę złapali o co w tym wszystkim chodzi, to uznali, że mam bezwzględną rację.

Zapewniam, że nie usłyszałem tego wszystkiego od kogoś. Takie właśnie jest moje własne zdanie.

## **Albo więzienie, albo bezrobocie**

Ostatnio zapytałem jednego z takich, którzy wybrali drogę honoru, co zamierza robić gdy wyjdzie z więzienia. Odpowiedział, że jak tylko wyjdzie poza więzienne mury, wyrwie pierwszej lepszej kobiecie torebkę i za jej pieniądze pójdzie się napić piwa. Przy piwie pomyśli, jak ukraść coś konkretnego. Dodał, że przecież nikt nie przyjąłby do roboty kryminalisty.

Roześmiałem się tylko, choć w duchu musiałem przyznać mu rację, skoro dzisiaj nawet ludzie nie karani nie mogą znaleźć pracy. Ja

osobiście nie musiałem takiej drogi wybierać, gdyż były to inne czasy. Dzisiejsza młodzież w ogromnej większości nie ma wyboru. Albo na bezrobocie, albo do więzienia.

Myślałem wiele nad tym, dlaczego żaden rząd nie zrobił nic sensownego, żeby zapobiegać temu wyborowi i takim ludzkim tragediom. Nieszczęścia dotyczą przecież zarówno frajerów jak i ludzi z honorem. Dlaczego nie szuka się drogi, która by dawała nadzieję na lepsze jutro. Elity polityczne wszelkiej maści krzyczą tylko – karać bandytów i budować nowe więzienia, same zaś kradną miliardy. Moim zdaniem nikt inny, jak tylko politycy odpowiedzialni są za taki stan rzeczy. Zamiast myśleć jak zapobiegać powszechnej nędzy, nie tylko wznoszą nowe więzienia, ale własne kariery budują na ludzkich tragediach. Jak będzie tak dalej, to napady i morderstwa staną się chlebem powszednim, jak w latach trzydziestych w USA. Amerykanie też budowali wtedy mnóstwo więzień, Alcatraz i Sing Sing, wcale im to jednak nie pomogło. Podobnie jak krzesło elektryczne i inne tego typu niemiłe wynalazki.

Rząd tylko wykorzystuje takie sytuacje jak śmierć zastrzelonych policjantów, uchwalając przy tej okazji dla policji prawo do strzelania w każdej sytuacji. Faktycznie jest to przyznanie policji prawa do zabijania już za samo podejrzenie. Niestety, wszystko wskazuje, że już wkrótce tak właśnie będzie. Tacy zaś jak pan Kaczyński aż podskakują z radości. Ten człowiek nie ma pomysłu, jak zapobiegać złu, tylko wykorzystuje sytuację i żąda kary śmierci dla bandytów. To jednak nic innego jak agonია nieudolnej władzy i grupy karierowiczów, popieranym przez jakąś tam omamioną część społeczeństwa. Konkretnie – grupę, której dupa rośnie jak na drożdżach, a która dorobiła się majątku okradając resztę społeczeństwa w białych rękawiczkach.

Spółeczeństwo w swej masie jest biedne. Ludzie ledwo wiążą koniec z końcem. Większość przyzna mi rację i ja właśnie dla nich piszę, a nie dla karierowiczów, którzy korzystając z demokracji bezkarnie okradają państwo. Oczywiście, demokracja to piękne słowo. Ważne jednak, żeby jej zasady były przestrzegane. Czy ktoś słyszał, żeby za komuny trzymano kogokolwiek w więzieniu tylko

dlatego, że został pomówiony przez osobę skazaną na 25 lat za pedofilię? Z pewnością nie! A w demokratycznej Polsce trzymają. Tak na przykład postąpił pewien prokurator z Białegostoku, który mojemu koledze o pseudonimie Generał postawił zarzut oparty na zeznaniach jedyne go pseudo-świadka. Powiedział on zresztą przed sądem, że brał narkotyki od znajomych Generała, a nie od niego samego. To tylko zdaniem tego świadka znajomi działali na polecenie Generała, chociaż oni sami temu zdecydowanie zaprzeczają. Opierając się na takich absurdach można zamknąć każdego.

Zatem, czy to jest demokracja, czy bezprawie w imię demokracji? Dziwi mnie, że w takich sytuacjach sądy przychylają się do wniosków prokuratorskich i wydają przy tak absurdalnych dowodach nakazy aresztowania. Dodam tylko, że tak właśnie postąpił sąd i ten sam prokurator, który i mnie aresztował.

Zasłaniają się więc demokracją, a wracają do stalinowskich czasów. To nie jest tylko moje zdanie, lecz także wielu prawników, którzy rozkładają ręce patrząc na ten skandal. Oto na sali rozpraw prokurator nie ma zbyt wiele do powiedzenia, bo dowodów nie uzyskał żadnych, mówi więc: „Proszę Wysokiego Sądu, jaki cel miałyby świadek, aby kłamać w tej sprawie”. Jaki cel ma jedyny pseudo-świadek, to prokurator i wszyscy pozostali dobrze wiedzą. Wie również i sąd, który jednak udaje, że wierzy w to co słyszy. Musi tak robić, aby później wydać wyrok skazujący.

A zatem pytam, czy to jest rozbój w biały dzień?

## **Co dalej, panie Kaczyński?**

Przedstawię teraz historię własnej sprawy, która w ogóle nie powinna mieć miejsca. Przedstawię tę historię dlatego, że ją znam osobiście. Od razu pytam: ile jest jeszcze takich samych historii których nie znam, lub podobnych? Nigdy nie było sprawiedliwości i nie będzie. O tym nie tylko ja wiem. Dobrze o tym wiedzą również

sami sędziowie. Jest prawda i jest prawda sądowa, oto cała prawda o sądach. To co się teraz dzieje w wymiarze sprawiedliwości, to już nie jest niesprawiedliwość. To bezprawie. Jest tak samo jak w latach osiemdziesiątych, gdy komuna bez żadnych podstaw zamykała ludzi z „Solidarności”. Przekonał się o tym sam pan Lech Kaczyński i inni, którzy z nim później doszli do władzy. W więzieniu popróbowali więziennego garnuszka, więc wprowadzili paczki dla skazanych bez żadnych ograniczeń. Później jednak, gdy już mieli grunt pod nogami i upewnili się, że więzienie już im nie zagraża, zabronili dostarczania paczek bez ograniczeń i powrócili do jednej paczki na miesiąc, jak za komuny. Krótko mówiąc, szybko im dupa odrosła i o garnuszku więziennym zapomnieli, co więcej – zaczęli ustanawiać i stosować przepisy gorsze niż w latach komunizmu.

Pamiętam, jak pan Lech Kaczyński został przez przypadek ministrem sprawiedliwości i chciał na siłę wprowadzać swoje rządy. W prokuraturach i sądach wybuchła wielka panika. Zaczęli zamykać ludzi masowo, zarówno winnych jak i niewinnych. Robili tak, moim zdaniem, ze strachu przed swoim nowym szefem. Czego się bali? Logicznie myśląc na pewno nie trzęśli się przed kimś takim jak pan Kaczyński, który sam ledwo dyszy. Po prostu żywa reklama firmy pogrzebowej. Nie decydował tu bynajmniej wygląd pana Kaczyńskiego, którego dziesięcioletnie dziecko śmiechem by zabiło. Ale jeśli ma się, za przeproszeniem, nasrane w aktach?

Sędzia, który orzekał cały czas sprawiedliwie, nigdy nie ulegnie naciskom jakiegokolwiek ministra sprawiedliwości i nie wyda niesłusznie nakazu aresztowania. Uczyni tak jedynie taki sędzia, który ma w bałagan w sprawach jak Cyganka w tobołku. Taki ulegnie presji, bo takiego sędziego minister szybko postawi na bacność. I właśnie taki był główny powód zamykania w tym czasie przez sądy każdego jak leci. Po prostu na polityczne zamówienie.

Niedawno Radio Zet poinformowało, że środowisko sędziowskie sprzeciwia się składaniu oświadczeń majątkowych do Urzędów Skarbowych; panowie sędziowie preferowaliby takie rozwiązanie, żeby lustrował ich prezes sądu. A więc ich kolega z pracy, też sędzia, który

przecież domaga się takiego samego traktowania. Moim zdaniem uczciwy sędzia nigdy nie sprzeciwiał by się w takiej kwestii, bo to jest po prostu kompromitacja. A takich, którzy protestują, każdy minister od razu ma w ręku. Albo, bracie, zajrzę do twojego tobołka, albo rób co ci każą!

Jeśli sam Lech Kaczyński publicznie grzmi, że w Polsce nie ani prawa, ani sprawiedliwości, to chyba można mu wierzyć. Przecież nie mówi tego jakiś Dziad, które ma dokładnie takie same zdanie, lecz były minister sprawiedliwości. Tylko że za taki stan rzeczy odpowiedzialność ponosi właśnie pan Kaczyński, który był ministrem, a nie Dziad, który ministrem jeszcze nie był. Jeśli pan Kaczyński publicznie ujawnia, że trzy czwarte jego doniesień o popełnieniu przestępstw, jakie złożył w rozmaitych prokuraturach pełniąc urząd szefa NIK, trafiło do kosza na śmieci, to również chyba należy mu wierzyć. Powstaje tylko pytanie: jeśli rzeczywiście tak było, to dlaczego nie rozpedził tych szemranych prokuratur na cztery wiatry, kiedy już mógł to zrobić? Jasne, że wołał ścigać Dziada. Łatwiej leczyć katar, niż raka.

Co w tym wszystkim wydaje mi się najgorsze – on tak robił wcale nie po to, żeby ludzi rzeczywiście zamykano, tylko dla pozyskania wyborców. Pan Kaczyński, jak się zdaje, chce być naszym prezydentem. Sędziowie zaś myśleli, że minister pokrzykuje na poważnie, i stąd wyszło całe zamieszanie. Oliwy do ognia dolewali żądni sensacji dziennikarze. Wyborcy też w to uwierzyli. Powinni jednak najpierw przed wyborami zapytać kandydata: „Zamykać, dobrze, a co dalej panie Kaczyński?”

## **Błędne koło**

Kwestię tę poruszył w kazaniu z dnia 2 czerwca 2002 r. pewien ksiądz, którego bardzo szanuję, a który powiedział, że bandziory z UB, którzy kiedyś maltretowali ludzi, mają dzisiaj bardzo wysokie emerytury i renty. Natomiast od młodych ludzi wymaga się, żeby nie

kradli, ale nie daje się im szansy na uczciwy zarobek. Oczywiście, ksiądz nie powiedział tego wprost, jak ja to czynię. Księdzu nie wypada tak mówić. Dał jednak do zrozumienia, że niesprawiedliwość jest powszechna. Moim zdaniem jest to wynik bezwzględnej walki o władzę i obstawiania stanowisk swoimi ludźmi, w czym celują wszyscy nasi politycy, zarówno z prawa, jak z lewa. Wszystko co się uda dla naszych, a inni niech zdychają z głodu, albo niech kradną. A jak będą kraść, to ich pozamykamy. Błędne koło się zamyka.

Ktoś kiedyś powiedział, że złodzieja karze się za to, że dał się złapać. Dzisiaj nie tylko złodzieja nie trzeba złapać, ale nawet mu udowodnić, że ukradł. Wystarczy jakiś inny złodziej, który w zamian za wolność zeznaje tak, jak sobie życzy prokurator. Pan prokurator wedle swojego uznania dobiera sobie na świadka incognito jakiegoś sierściucha, który powtórzy co mu kazano i rozpozna na zdjęciach ludzi, których wcześniej nigdy w życiu nie widział na oczy. Taki świadek nie staje przed sądem. Nie można mu zadać pytań. To nic innego jak barbarzyństwo, które tylko zawisły sąd może praktykować.

Znam jednego człowieka, który od czasu do czasu trochę podkradał samochody. Złapano go i skazano na dwa lata. Już miał wychodzić, kiedy ni stąd, ni zowąd znalazł się jakiś nowy świadek. Zeznał, że obaj z tym skazanym ukradli kiedyś samochód. Mój znajomy znowu dostał trzy lata. Zostało mu pół roku do wyjścia, ale pojawił się kolejny świadek. Tym razem pomawia nie tylko jego, ale jeszcze ponad trzydzieści innych osób. Pechowiec, o którym mówię, z pewnością dostanie tym razem z pięć lat. Powstaje pytanie, czy tak być powinno? Chłopak do końca życia może siedzieć za kradzież kilku samochodów. Jego żona po prostu już nie wie, jak ma dalej oszukiwać ich dziecko. Nie wiadomo, kiedy jego tata wyjdzie z więzienia, bo przecież nikt nie wie, czy pan prokurator znowu nie postawi jakiegoś świadka incognito, który go rozpozna na zdjęciu. Mówiłem mu wiele razy, że jak go już raz złapią, to za sam wygląd dostanie dziesięć lat. Dopiero teraz w to uwierzył. Ktoś kiedyś powiedział – dajcie człowieka, a artykuł się znajdzie. Dziś i ja w to wierzę, bo się przekonałem na własnej skórze.



## Napad w środku nocy

Mój syn przesiedział za nic osiemnaście miesięcy. Gdy chodziłem do niego na widzenia, ciągle mnie pytał, za co on siedzi. Odpowiadałem mu, że za nazwisko. Ciężko było mu to zrozumieć, a mnie, jako ojcu, było pewnie jeszcze trudniej. Ja przecież dobrze wiedziałem, że siedzi za papier na ruble, który właśnie ja ukradłem. Wcale się z tym zresztą nie kryłem. Krzyczałem o tym w sądzie i na policji, ale nikt nie chciał słuchać. Wiedzieli, że za to nic nie mogą mi zrobić. Za bardzo wstydzili się swojej porażki i bali się, żeby prawda o niej nie wyszła na światło dzienne. Postanowili za to zemścić się na niewinnym chłopcu.

W czasie, gdy syn odsiadywał wyrok, otworzyłem na jego nazwisko dość dużą firmę. Dzisiaj ta firma jest warta około miliona dolarów. Tak spłaciłem swój dług wobec niego.

Jednak w mojej sytuacji nastąpiły w tym czasie zmiany na gorsze. Przede wszystkim, rozpętała się krwawa wojna z Pruszkowem. Brzemienne w skutki okazały się również zmiany w polityce. Rządy w Polsce niespodziewanie objęła komuna, a ministrem spraw wewnętrznych i administracji został pewien Towarzysz. Ten sam, który razem z obecnym prezydentem Kwaśniewskim i jeszcze jednym magikiem od partyjnej kasy zaciągnął od władz sowieckich, czy może właściwiej powiedzieć – od KGB – dług w wysokości siedmiu i pół miliona dolarów. Towarzyszom były potrzebne środki na założenie nowej partii, dziesiątek spółek dla bezrobotnych sekretarzy i własnych gazet, niektórych bardzo paskudnych, co każdy sam może sobie sprawdzić w pierwszym lepszym kiosku z prasą. Tamta pożyczka od towarzysza Ałganowa to już była odległa przeszłość, której nie mógł wydobyć na światło dzienne żaden polski prokurator, a teraz Towarzysz z powodu mojej skromnej osoby musiał ciężko myśleć, jak tu biednej Rosji pomóc. Fałszywe ruble ciągle płynęły do Rosji wartkim strumieniem. Jak pamiętacie, nie cały papier z niemieckiej papierni zmarnował się w piwnicach UOP-u.

Towarzysz wybrał się więc do Wołomina i wraz z komendantem

wołomińskiej policji publicznie wypowiedział wojnę Dziadowi. Spodziewam się, że najpierw wymyślili obaj jakiś niecny plan. Efekty pojawiły się już po kilku dniach.

Otóż obaj panowie mieli do swojej dyspozycji pewnego sędziego z Sądu Rejonowego dla Warszawy Pragi – Północ. Sędzia ten wysługiwał się UOP-owi. Wiem o tym dokładnie, bo tak się kiedyś przypadkiem złożyło, że ten właśnie sędzia leżał razem ze mną w wojskowym szpitalu klinicznym, gdzie operowano mu tętniaka mózgu. Żaden człowiek po tak ciężkiej i ryzykownej operacji nie mógłby nadal pełnić funkcji sędziego i wydawać wyroków, konieczna jest tu długotrwała rekonwalescencja, a i tak do pełni zdrowia już się nie wraca. Okazuje się bowiem, że ten kawałek mózgu, który w czasie operacji pacjentowi wycinają, bywa bardzo potrzebny. Otóż tego sędziego nie wysłano jednak na rentę inwalidzką, tylko przywrócono do pracy. Co prawda nie na długo. Mógłbym podać jego nazwisko i wydział Sądu Rejonowego, w którym pracował, ale ponieważ człowiek ten zmarł, ze względu na jego bliskich pomnę te dane milczeniem. Powiem tylko, że ów sędzia zmarł mimo bardzo młodego wieku, i jeszcze to, że właśnie tego mu serdecznie życzyłem.

Na polecenie, a może grzeczną prośbę UOP-u, ów sędzia cudem uleczony wydał całkowicie bezpodstawny nakaz aresztowania mnie. Zamknęli także bez najmniejszego uzasadnienia na 48 godzin moją żonę. Odbyło się to w taki sposób, że pewnej nocy o godzinie 1.15 policjanci wdarli się do mojego domu z nakazem aresztowania. Było ich ze dwudziestu, każdy uzbrojony w długą broń. Nawet nie pozwolili mi się ubrać. W samych spodenkach wywlekli mnie do samochodu i zawieźli do aresztu na Białolekę.

Zarzut był taki, że nie stawiałem się na rozprawę. Sprawa dotyczyła zawalenia się muru na mojej budowie, wskutek czego ponieśli śmierć pracownicy. Chodziło więc o nieumyślne spowodowanie śmierci.

Był to jednak tylko pretekst. Już po kilku dniach postawiono mi kolejne zarzuty i przybywało ich jak grzybów po deszczu. Pierwszy dotyczył czynnej napaści na policjanta. Miała się ona zdarzyć w tym

czasie, kiedy wdarło się do mnie dwudziestu chłopów z kałaszami. Zarzut drugi – straszenie policji. Trzeci zaś to ublizanie tejże policji. W sumie groziło mi za to, że napadli na mnie w środku nocy w moim własnym domu, 12 lat więzienia. Po następnych kilku dniach pojawił się zarzut uczestniczenia w zorganizowanej grupie przestępczej. Tu już wchodziły w grę porwania, wymuszenia i temu podobne.

Trzymali mnie na Mokotowie przez dziesięć miesięcy. W tym czasie toczyły się moje rozmaite procesy, o czym skwapliwie i hałaśliwie rozpisywała się prasa i mówiła TV. Z tego pustego wrzasku niewiele wynikło.

Za nieumyślne spowodowanie śmierci na budowie sąd wymierzył mi karę w zawieszeniu. Od zarzutu spowodowania wypadku samochodowego zostałem uniewinniony. Za czynną napaść na oddział policji dostałem wyrok w zawieszeniu. Za porwania i wymuszenia nie dostałem niczego, ponieważ prokurator odstąpił od zarzutu. Zauważył po dziesięciu miesiącach, że sprawa nie nadaje się do sądu i postanowił mnie zwolnić z aresztu.

Dziennikarze zaczęli się wtedy rozpisywać na temat policji w Ząbkach, która wystawiła mi pozytywną opinię. Pytali publicznie jak to możliwe, że taki bandyta jak Dziad może mieć dobrą opinię. Jest dla mnie oczywiste, że to wszystko było robione na polecenie UOP-u i ministra spraw wewnętrznych. Czuję się w obowiązku uściślić, że nie chodzi w tym przypadku o pana Andrzeja Milczanowskiego, tylko tego samego Towarzysza, który pożyczył od Związku Sowieckiego siedem i pół miliona dolarów. Chyba z powodu wdzięczności dla Ruskich tak zaciekle prowadził wojnę, którą mi wypowiedział po przyjeździe do Wołomina.

Gdy w 1997 r. siedziałem nieszczęsnych dziesięć miesięcy na Mokotowie, trochę się nudziłem i napisałem do żony wiersz o owym Towarzyszu. Nosił tytuł „Nadzieja”.

*Jola, moja i twoja nadzieja  
to przegrane wybory Towarzysza Millera.  
Gdy Miller przyjechał do Wołomina*

*od razu skoczyła mi adrenalina  
Towarzysz Miller na sąd się oburza,  
a przecież ma rację, bo sądy to jego prywatne podwórza.  
Towarzysz Miller mówi Dziad,  
cóż to dla mnie Dziad!  
Dziad to nie żaden guru,  
skoro dał się zamknąć za kawałek muru  
Nie ma to jak ja, Miller nieustraszony!  
Ja nie kradnę, ja pożyczam od Ruskich miliony.*

## Niebezpieczny hazard

Z grabieży przemytników, którzy wozili spirytus, Pruszkowiaci zgromadzili ogromne pieniądze. Były to miliony dolarów, które podzielili między sobą. Ja sam w tym czasie byłem im winien ponad 100 tysięcy dolarów. Któregoś dnia jeden od nich przyszedł do mnie, żebym oddał te pieniądze. Dałem mu wtedy około 40 tysięcy dolarów. On jednak, zamiast te pieniądze zawieść do Pruszkowa, pojechał do kasyna aby je pomnożyć. Niestety, to się nie udało. Niewątpliwie to nie był jego dzień. Zaczął więc ukrywać się przed Pruszkowiakami.

W końcu kilku z nich przyjechało do mnie i zapytało, co się dzieje ze Zdziśkiem. Tak miał na imię ten nieszczęsny gracz, który wziął ode mnie część długu dla Pruszkowa. Powiedziałem im, jak było, że przyjechał do mnie i wziął 40 tysięcy dolarów, a potem przegrał je w kasynie. Na pewno też z tego właśnie powodu do nich już nie dojechał.

Chłopaki z Pruszkowa zdenerwowali się mocno i zaczęli się wyklinać. W końcu znalazł się między nimi jeden taki, który do mnie powiedział, że to nie jest ich sprawa, bo to ja mu dałem te pieniądze, więc ich to nie obchodzi.

W pierwszej chwili pomyślałem, że sobie żartuje. Reszta jednak, gdy to usłyszała, przytaknęła i przyznała mu rację. Powiedziałem im

wtedy, że przecież to oni sami go przysłali. Odpowiedzieli, że może i tak, ale skoro dobrze wiedziałem, że to jest hazardzista, to nie powinienem mu dawać pieniędzy.

Wtedy zrozumiałem, że to nie przelewki. Wyszedłem na chwilę do drugiego pokoju. Tam wziąłem do ręki coś, co mi dało nad nimi przewagę. Wróciłem i oznajmiłem, że mogli okradać frajerów, ale mnie nie okradną. A za samo to, że chcieli mnie jednak okraść, nie dostaną tej reszty, która im się należy. Niech się czują, że zostali okradzeni przeze mnie.

Oczywiście nie mówiłem tego grzecznie, tylko z pianą w pysku, a na koniec poprosiłem ich dość głośno, żeby wypierdalali. Dałem im na to minutę. Pruszkowiaki jak jeden mąż rzucili się do wyjścia, wsiedli do swoich dobrych samochodów i z piskiem opon odjechali.

Na drugi dzień przyjechał do mnie ich przedstawiciel i zaczął mi mówić, że mam rację, bo chłopaki rzeczywiście źle się zachowali. Powiedział, że nie ma co się kłócić. Poprosił, żebym oddał pozostałe 70 tysięcy dolarów.

Wtedy mu oznajmiłem, że szkoda jego gadki, bo i tak nie dostanie tych pieniędzy. Lepiej niech nie traci czasu. Kazałem mu odjechać i tak im powiedzieć.

Miałem powód, żeby tych pieniędzy nie dać, ale Pruszkowiaki nie mogli się pogodzić z tym, że znalazł się ktoś taki, który ich okradł i wyгнаł na zbity pysk. Od tego dnia zaczęli ostro pić i wachać prochy, oraz uzgadniać, co ze mną zrobić. W końcu zdecydowali, że Słowik pojedzie do mnie na podwórko i wystrzeli we mnie cały magazynek. Wiem o tym, ponieważ był przy tym niejaki Czarek Dresz, którego ojciec działał w grupie pruszkowskiej.

## **Zdechniesz jak pies!**

Czarek ledwo mnie znał. Na zawsze pozostało dla mnie zagadką, dlaczego Czarek, syn głośnego gangstera Jacka Dresza, przyszedł do mnie tej samej nocy i powtórzył to wszystko, co na mój temat mówiła

właśnie grupa z Pruszkowa. Na dowód tego, że mówi prawdę, zapytał mnie czy jeden z ludzi z Pruszkowa ma w mojej firmie zainwestowane 90 tysięcy dolarów. Kiedy potwierdziłem Czarek powiedział, że i o tym rozmawiali. Chodziło o to, żeby ta osoba przyszła do mnie i jak najszybciej wycofała swoje pieniądze. Zatem miałem być już tylko żywym trupem. Finisz miał być tylko kwestią czasu. Zapytałem Czarka, dlaczego mi to wszystko mówi. Odrzekł, że nie widzi innego wyjścia. Jego ojciec jest prawdziwym bandziorem którego wszyscy się boją i to właśnie on wydał polecenie, żeby Czarek mnie zabił.

Trochę mnie to zmroziło. Powiedziałem jednak Czarkowi, że z tego, iż wszyscy się jego ojca boją, on jako syn powinien być dumny. Wtedy chłopak opowiedział mi historię swego życia.

Rodzony ojciec przez całe życie katował swojego jedynego chłopca. Wyprowadzał go na spacer na smyczy, kazał mu czekać, zmuszał do spania pod stołem zamiast w łóżku. Za byle co kopał go i bił pejczem. W końcu zainteresował się tym rodzony brat ojca i zabrał Czarka do swojego domu. Dopiero wtedy Czarek odetchnął. Jego ojciec był zadowolony, że brat wziął go na wychowanie. Mimo tego przy każdym spotkaniu rodzinnym nadal traktował dziecko jak psa, ubliżając mu i kąpiąc bez powodu, gdy tylko znalazł się poblizu. W końcu ojciec zaproponował Czarkowi, żeby napadał razem z Pruszkowiakami na tiry i autobusy. Chłopak zgodził się i przez pewien czas robił to z tamtejszą grupą. Jak mówił, wszyscy zarobili bardzo dużo pieniędzy, według jego szacunków kilka milionów dolarów, które podzielili między sobą. Ojciec Czarka zabrał jednak część swoją i jego. On sam nigdy tych pieniędzy nie zobaczył. Ojciec uważał widocznie, że jego syn nadaje się tylko na bandziora, a nie na biznesmena.

Ja o Czarka ojcu mogę tylko tyle powiedzieć, że siedział kilka lat za jakieś starodruki, które ukradł z Wrocławia. W czasie odsiadki wyroku zabrał kucharzowi garnek z jedenastoma kotletami mielonymi, i wszystkie zjadł. Komuniści dołożyli mu za to dodatkowo 6 miesięcy. Tyle tylko słyszałem o tym człowieku.



Powiedziałem chłopcu, żeby się dłużej z tamtymi nie zadawał i zaczął działać na własną rękę. Zrezygnowany przyznał, że nie widzi takiej możliwości, gdyż wszyscy boją się jego ojca i on sam ciągle jeszcze też panicznie się go boi. Zapytał mnie jednak, czy ja bym go nie przyjął do siebie jako ochroniarza. Odpowiedziałem, że jeśli potwierdzą się jego słowa, to bardzo chętnie. Zgodziłem się też, żeby za tydzień przeprowadził się do mnie. Po tym wszystkim, co usłyszałem, poczułem się bowiem zagrożony. A zwłaszcza po tym, co Czarek powiedział mi na samym końcu rozmowy. Mianowicie wyznał, że ma pewien plan, który wykona za wszelką cenę. Musi zabić własnego ojca.

Spojrzałem na niego uważnie, chcąc się przekonać, czy nie nawał się narkotyków. Wygadywał przecież rzeczy, od których skóra mi cierpła. Wódki od niego nie wyczułem. Spytałem, czy się dobrze czuje i dlaczego wygaduje takie głupoty. Odrzekł, że to nie żarty. Nie ma innego wyjścia, ponieważ miesiąc temu pożyczył od ojca 20 tysięcy dolarów na kupno samochodu. Tego samego, którym do mnie przyjechał. Zbliży się termin spłaty, o czym ojciec mu przypomniał zaledwie przed dwiema godzinami. Groził też, że w razie czego Czarek zostanie wywieziony do lasu i zastrzelony jak pies. „Całe życie byłeś psem i zdechniesz jak pies!” – krzyczał. Wymachiwał przy tym pistoletem marki CZ, w którego magazynku, jak nie omieszkał podkreślić, mieści się 15 naboń. Czarek dobrze wiedział, że ojciec nigdy nie rozstaje się z bronią. Zawsze nosi odbezpieczoną. Widział przed sobą tylko jedno wyjście: albo ojciec załatwi jego, albo on ojca. Kto pierwszy, ten będzie żyć!

## Schwarzenegger z Pruszkowa

Zapytałem Czarka, dlaczego ojciec odebrał mu te pieniądze z napadów na tiry. Odpowiedział z żalem, że ojciec traktuje te pieniądze jako zapłatę za jego wychowanie i mękę, jaką z nim miał, póki syn nie

skończył ośmiu lat. Gdyby stryj nie zabrał go na wychowanie, ojciec policzył by mu jeszcze więcej.

Na koniec Czarek powiedział z wielką pewnością siebie, że oprócz swojego ojca nikogo więcej w mieście się nie boi. Nie miałem powodu, by mu nie wierzyć. Był naprawdę silnie zbudowany, aż do przesady. Wyglądał jak sam Schwarzenegger, więc trudno było mu nie wierzyć.

Wychodząc z mojego domu zapytał, czy nie jestem na niego zły i czy może przyjechać nazajutrz. Odpowiedziałem, że jeśli przyjedzie i potwierdzi co mówił dzisiaj, to go bardzo chętnie przyjmę. Ciągle jeszcze nie mogłem uwierzyć w to co usłyszałem. Nadal nie byłem pewien, czy chłopak nie bredził pod wpływem narkotyków.

Tej nocy już nie spałem, myśląc cały czas o wizycie Czarka. Nie wiedziałem co tu jest grane i czy to nie jest jakiś podstęp. Następnego dnia około godziny 13 Czarek przyjechał i znowu zaczął mnie przekonywać, że mówił prawdę. Powiedział, że jeśli mu nie wierzę, to mogę pojechać swojego do brata, który wszystko potwierdzi. Zacząłem mu wierzyć na 90 procent. Długo jednak nie trzeba było czekać, żebym mu uwierzył całkowicie.

Po jakichś dwóch godzinach przyszedł do mnie ten człowiek, który miał u mnie zainwestowane 90 tysięcy dolarów. Zaczął mi wyjaśniać, że kupuje mieszkanie i potrzebuje jak najszybciej zwrotu gotówki. Czarek wszystko to słyszał, ponieważ był w drugim pomieszczeniu. Kiedy tamten opuszczał mój dom Czarek wyszedł i powiedział do niego cześć. Gość natychmiast zmienił kolor twarzy. Zdziwił się cholernie, że chłopak jest u mnie w domu.

Gdy wyszedł, Czarek mnie zapytał, czy teraz mu wierzę. Od-rzekłem z przekonaniem, że teraz jestem go pewien. Bez chwili wahania zaproponowałem mu układ. Będzie moim ochroniarzem.

W tym samym momencie zdecydowałem również że ten, który chciał odebrać swoje 90 tysięcy dolarów, nie dostanie nawet centa. Postanowiłem 45 tysięcy dolarów dać Czarkowi, a sobie wziąć drugą połowę. Czarek przystał na to ochoczo.

## Cena wolności

Przez następne dni chłopak przyjeżdżał do mnie bardzo zadowolony. Nic dziwnego – na poczet obiecanej sumy wypłaciłem mu zaliczkę w wysokości pięciu tysięcy dolarów. Po pewnym czasie zaczął jednak narzekać, że jest nie wyspany. Nie wiedziałem, z jakiego powodu, czy ma jakąś dziewczynę i jak spędza czas. W końcu któregoś dnia przyjechał wcześniej, około dziewiątej rano. To mnie trochę zdziwiło. Poczujęm też od niego alkohol. Polecilem, żeby poszedł na górę i położył się spać, a później pogadamy.

Czarek spał dobrych kilka godzin. W tym czasie w radiu podali komunikat, że został zastrzelony jeden z ludzi Pruszkowiaków, niejaki Jacek Dresz. Wiadomość ta szybko rozeszła się po mieście, ponieważ zabójstwo było dla grupy pruszkowskiej zaskakującą niespodzianką. Wydawało się przecież, że nikt nie odważyłby się podnieść ręki na jednego z najgroźniejszych ludzi Pruszkowa.

Minęło kilka godzin, a Czarek nie wstawał. Wszedłem do jego pokoju i zacząłem go budzić, ale nie reagował. Dziwiłem się, że można tak długo spać. Dopiero wieczorem się ocknął i poprosił o jedzenie. Jadł z apetytem i ciągle powtarzał, że chciałby mieć takiego ojca jak ja. Wtedy go zapytałem czy wie o tym, że jego ojciec nie żyje.

Spytał, o którym ojcu mówię. Jak to? O Jacku Dreszu! I wtedy Czarek zaczął swojemu ojcu ubliżać. W końcu stwierdził spokojnie, że mu się należało i on wcale nie jest tym zdziwiony. Moje słowa nie zrobiły na nim większego wrażenia. Chciał tylko, żeby mu poleć wódki, wypije jeden kieliszek i jutro będzie już z nim wszystko w porządku.

Okazało się, że ani na drugi dzień, ani na trzeci w porządku nie było. Dzisiaj już wiem, dlaczego ten alkohol trzymał Czarka tyle dni. Trzymał go ciągle pomimo tego, że w przeciągu kilku dni sześciokrotnie przyjeżdżał do mnie lekarz, który podawał Czarkowi kroplówki. Chłopiec i tak nie mógł dojść do siebie. Przyczyną okazało się to, że Czarek przebywał w pokoju położonym blisko salonu, a w salonie znajdował się barek. W barku zaś stała bateria najprze-

różniejszych koniaków, winiaków, rozmaitych wódek oraz win. Właśnie to była główna przyczyna, że Czarek przez wiele dni nie mógł dojść do siebie.

Gdy zorientowałem się o co chodzi i zamknąłem drzwi do salonu na klucz, delikwent od razu zareagował. Powiedział, że natychmiast musi jechać do domu. Dałem mu dwa tysiące dolarów i zapowiedziałem, że póki się nie wykuruje, niech do mnie nie wraca. Przyznał mi rację i przyrzekł, że coś takiego nigdy więcej się nie powtórzy, gdyż od tej chwili jest wolnym człowiekiem.

Od razu zrozumiałem, o co mu chodzi.

Kiedy już sobie poszedł powiedziałem do żony, że jestem na 99 procent przekonany, iż to właśnie Czarek zastrzelił swojego ojca. Żona popatrzyła na mnie i powiedziała, że ja też powinienem odpocząć, bo wygaduję głupoty. Przecież to jest jego ojciec! Wyjaśniłem żonie, że nie jest, tylko był.

W tych dniach odbył się pogrzeb ojca Czarka. Pochowano go z największymi honorami, bardzo bogato i z wielkim rozmachem. Wśród wielkiego tłumu był Czarek, który moim zdaniem poszedł na pogrzeb ojca tylko dlatego, że inaczej nie wypadało. Poza tym zmarły pozostawił majątek. Na pewno też Czarek chciał się upewnić, czy to nie jest sen albo jakieś zwidy po ostatnim alkoholu, jaki wypił.

Po pogrzebie Czarek przyjechał do mnie i powiedział, że od tej chwili nie napije się alkoholu. Był zmartwiony, czy się na niego nie gniewam. Powiedziałem, że to jego zdrowie i jego sprawa. Dodałem jednak, że dla mnie człowiek, który jest słabszy od wódki, nie jest człowiekiem tylko świnią. Czarek przyznał mi rację i powtórzył, że na pewno już się to nie przydarzy. Powiedział też, że od dziś tylko Boga się boi, żonę szanuje, a mnie po prostu kocha. Sprostowałem, mówiąc że chyba się pomylił. Żonę kocha, a mnie szanuje. Odparł, że żonę oczywiście kocha, ale za nią życia by nie oddał, a za mnie tak. Szanuje mnie jak swoją matkę. Ojca mu wcale nie żal. Dobrze, że tak się stało, ale to już przeszłość. Od dziś jestem przy tobie!

Tak zakończyliśmy rozmowę, poczym udaliśmy się do mojego domu na obiad. Żonie oświadczyłem, żeby od dziś uważała Czarka za

trzeciego syna. Odpowiedziała, że nie widzi przeszkód i tak też zostało. Chłopak zamieszkał u mnie w domu z narzeczoną.

Wkrótce Czarkiem zaczęli się interesować dość widocznie Pruszkowiaci, którzy nawet spotkali się ze mną, żeby porozmawiać. W trakcie rozmowy były poruszane przede wszystkim kwestie pieniędzy, których nie chciałem oddać. Powiedziałem im, że wiem o tym, iż Słowik ma mnie zastrzelić. Oczywiście wypierali się wszystkiego, ale oświadczyłem, że im nie wierzę i niech na żadne pieniądze nie liczą. Tak się rozstaliśmy.

### **Mnie przy tym nie było**

Po kilku dniach w biały dzień Pruszkowiaki porwali Czarka. Wystawił go niejaki Zbynek. Ten sam, którego dzisiaj policja poszukuje za współudział w morderstwie mojego brata. Czarka wywieźli do lasu, ale obchodzili się z nim bardzo grzecznie. Porwali go na stacji benzynowej. Widocznie bali się kamer i dlatego postąpili z nim tak grzecznie. Mieli mu za złe, że jest ze mną, że mi powiedział co chcieli zrobić, i że teraz nie mogą odebrać swoich pieniędzy, których zebrało się już w sumie 150 tysięcy dolarów. Wypytywali również, co Czarek sądzi o zabójstwie ojca i kto jego zdaniem mógł go zastrzelić.

Gdy go wypuścili od razu przyjechał i wszystko mi opowiedział. Zagroził również, że nie podaruje Zbynkowi tej wystawki. Za kilka dni na mieście zrobiło się głośno o tym, że ktoś chciał zastrzelić Zbynka pod jego blokiem, ale niedoszłemu zabójcy zacięła się broń. Ze złości okropnie tylko Zbynka skopał. Myślę, że Zbynek dobrze wiedział, kto to był. Czarek założył wprawdzie kominiarkę, ale można go było rozpoznać po samej budowie. Zbynek dobrze znał się z Czarkiem, więc nie mógł mieć najmniejszej wątpliwości. Zbynek zresztą sam opowiedział wszystkim, że to Czarek chciał go zastrzelić. Za to, że wystawił go Pruszkowiakom.

Minął jeszcze jeden miesiąc i na mieście pojawiały się już takie

gadki, że Pruszkowiaki wiedzą dokładnie, iż to Czarek zabił swego ojca i że potem chciał zabić Zbynka. Któregoś dnia spotkał mnie znajomy policjant z Komendy Stołecznej i zapytał czy to prawda, że Czarek zastrzelił ojca. Zaczął mi też opowiadać, w jaki sposób stary Dresz zginął. Odpowiedziałem temu policjantowi tylko tyle, że chyba ma rację. Policjant na to, że on jest tego pewien, ale nie mają żadnych dowodów. Wtedy mu oświadczyłem, że ja sam jestem pewien tylko jednego. Tego, że mnie tam nie było.

## Rozstrzelanie bestii

Czarek nadal mieszkał u mnie z narzeczoną. W krótkim czasie wzięli ślub, po którym wyprowadzili się do jej matki. Czarek spędzał u mnie całe dnie, a wieczorem jechał do żony. Słuchał tylko mnie jednego i moich rad. Na mieście wszyscy panicznie bali się Czarka. Człowiek, który w powszechnej opinii był zabójcą własnego ojca, po prostu budził grozę. Gdzie by się nie pojawił, wszyscy mu ustępowali z drogi. Któregoś dnia pobił się nawet z samym Pershingiem. W takiej atmosferze nietrudno było się domyślić, że w powietrzu wisi coś niedobrego. I rzeczywiście, nadszedł w końcu ostatni dzień w życiu Czarka.

Wychodził wtedy z mojego domu. Jeden z naszych kolegów jakby wyczuł sprawę i powiedział Czarkowi, żeby na siebie uważał. On na to, że akurat dzisiaj nie musi się bać, gdyż właśnie kupił nowego passata, a tamci nawet nie wiedzą czym on jeździ i gdzie mieszka. Zawsze, gdy podjeżdża pod dom i jest już blisko, dzwoni do żony, a ona wtedy wygląda przez okno. Patrzy, czy nie kręci się w pobliżu ktoś podejrzanym. Dziś na pewno nic nie może mu grozić.

Niestety, tu się pomylił. Wszystko stało się właśnie tego dnia, kiedy Czarek jak zwykle podjechał pod dom swoim całkiem nowym samochodem. Zadzwonił do żony, która jak zwykle otworzyła okno. Gdy Czarek był już blisko, wyskoczyli napastnicy i zaczęli strzelać do



niego z broni maszynowej. Nie zważali na ludzi dookoła, ani na to, że jego żona stała w oknie. Dostał około dziesięciu kul. Próbował jeszcze uciekać, ale uderzył w filar, na którym samochód się zatrzymał. Zginął na miejscu. Wtedy bandyci zaczęli strzelać do jego żony, która ciągle jeszcze patrzyła na wszystko przez okno. Ranili ją w ramię.

Na pogrzeb Czarka nie przyszedł ani jeden Pruszkowiak. Z czasem jego żona wyszła ponownie za mąż za dobrego człowieka, z którym ma syna.

Tak się zakończyła historia ojca, który zrobił z syna psa obronnego, lecz nie przewidział tego, że to bestię tresuje przeciwko sobie.

## **Policja w obstawie Pershinga**

Po śmierci Czarka porwano Staśka z Targówka. Powodem było to, że miał pieniądze. Zbito go tak, że był cały czarny. Bili go kablem i bejsbolem. Trwało to dwa dni. W końcu zgodził się dać 50 tysięcy dolarów za to, że go wypuszczą.

O tym zdarzeniu dowiedział się mój brat, który był dobrym kolegą Staśka. Obejrzał ofiarę i przysiągł, że nie daruje tego Pruszkowiakom.

Brat nie znał Pruszkowiaków, ponieważ 11 lat przebywał za granicą. Jak pamiętacie, trafił tam prosto z więzienia dzięki zamięłowaniu pewnej sędziny do kwiatów. Dopiero niedawno wrócił z Niemiec, gdzie odsiadywał wyrok.

Brat nic jeszcze o Pruszkowie nie wiedział, znał za to wielu innych ludzi z miasta. Przy ich pomocy postanowił rozprawić się z Pruszkowem, a w pierwszej kolejności chciał się policzyć z Pershingiem. Ściągnął ludzi z Gdańska i zaczęli na Pershinga polować.

Z tego co wiem, mój brat pierwszy zaatakował, i to pod samym domem Pershinga. Jego cel opuszczał wtedy swój dom razem z żoną. Gdy wsiadali do samochodu, brat wyskoczył z ukrycia ze swoimi ludźmi i zaczęli wszyscy strzelać, a następnie wrzucili do auta granat,

który jednak nie wybuchł. Strzały okazały się celne, choć nie były śmiertelne.

Na drugi dzień okazało się jednak, że brat się pomylił. Postrzelonym okazał się nie Pershing, tylko jego ochroniarz. Był do Pershinga bardzo podobny. Ochroniarz przyjechał po jego żonę. W dodatku – samochodem Pershinga. Nie dziwię się więc bratu, że doszło do małej pomyłki.

Od razu po tym zdarzeniu Pruszków chciał zgody i zaproponował spotkanie. Pruszkowiaki uznali, że najlepiej będzie spotkać się u mnie w kantorze, ponieważ jest tam duży parking. Wtedy jeszcze nie wiedzieli, kto ich atakuje. Myślę, że dopiero chcieli wyczuć, z której strony czyha niebezpieczeństwo.

Będąc na ich miejscu zrobiłbym to samo. Było tylu, których w ostatnim czasie skrzywdzili, że mieli prawo nie wiedzieć, kto i za co do nich strzela. Chcieli spotkać się w małym gronie. Na takie spotkanie wyraziliśmy zgodę. Kilku chłopaków czekało na ich przyjazd. Zjawili się, wśród nich Pershing i kilku innych przedstawicieli. Ja postąpiłem ostrożnie, ukryłem się i obserwowałem przebieg wydarzeń z okna innego budynku. Za pomocą krótkofalówek, które sprowadziłem sobie legalnie z Cypru, podsłuchiwałem też rozmowę, którą prowadzili w moim kantorze. Słyszałem, że byli zdziwieni i zaniepokojeni moją nieobecnością.

Chodziło im głównie o to żeby wyczuć, czy to my do nich strzelamy. Zgodzili się nawet nie rościć do mnie pretensji o te pieniądze, których im nie oddałem. Przyznali też, że napadli i porwali Staśka niesłusznie. Tłumaczyli się, że to właściwie nie oni, tylko gówniarze od nich, którzy zostaną za to ukarani. Będą musieli zwrócić Staśkowi 50 tysięcy dolarów, które im wypłacił.

Potwierdziło się moje przypuszczenie. Badali grunt, kto i za co do nich strzela. Rozjechali się bardzo niezadowoleni, że nie było mnie na tym spotkaniu. Obserwując to spotkanie z sąsiedniego budynku naliczyłem 32 samochody, które wtedy krążyły wokół mojego kantoru. Na samym końcu jeździł za nimi polonez policyjny z Komendy Stołecznej, a w nim czterech policjantów po cywilnemu.

## Wojna z Pruszkowem

Minęło kilka dni. Brat dotrzymał słowa i nastąpił rozejm. Zapewne nadal powodziłoby mu się dobrze, gdyby nie kolejna pomyłka. Otóż chciał porwać dla okupu niejakiego Wańkę, o którym usłyszał, że ma ze złodziejstwa bardzo dużo pieniędzy. Znał go nawet przed kilkunastu laty. Dowiedział się, że Wańka codziennie przyjeżdża do hotelu „Praga”, bo miał tam płatny parking blisko domu.

Brat czekał na Wańkę w hotelu z odbezpieczoną bronią. Jak mi opowiadano, pistolet wyraźnie sterczał pod kurtką i trudno było z bliska tego nie spostrzec. Wańka jak zwykle podjechał samochodem na parking, po czym wszedł do hotelu.

Ponieważ brat nie widział Wańki od jedenastu lat, gdyż przebywał w Niemczech, nie rozpoznał go. Za to Wańka poznał brata i podszedł, żeby usiąść i porozmawiać. Brat nawet nie wiedział, że z kim rozmawia. Zbył go zatem mówiąc, że nie ma w tej chwili czasu, bo na kogoś czeka. Wańka zauważył, że brat ma pod kurtką broń i momentalnie się zmył. Na parkingu wsiadł w swój samochód, ale zamiast do domu popędził do hotelu „Polonia” w Śródmieściu. Tam zawsze przebywała grupa pruszkowska.

Brat czekał jeszcze chwilę, aż w końcu podeszli do niego chłopcy, którzy mieli mu pomóc w porwaniu. Dobrze znali Wańkę z widzenia, więc po jego odjeździe wbiegli do hotelu i zapytali brata, co się stało. Dlaczego go nie porwał? Kogo?! Przecież ten, który się z nim witał, to był właśnie Wańka! Brat zbaraniał. Myślał, że Wańka całkiem inaczej wygląda. Ruszyli w pościg.

Znaleźli go bez problemu koło hotelu „Polonia”. Niestety było już tam wielu Pruszkowiaków. Najwidoczniej Wańka coś im powiedział, może nawet że to mój brat do nich strzela, bo kiedy przejeżdżał z chłopakami obok hotelu, a jechali amerykańskim vanem z ciemnymi szybami, Wańka z Pruszkowiakami wskoczyli do samochodów i ruszyli za nimi. Po kilku minutach zaczęli doganiać w Alejach Jerozolimskich samochód brata. Ten chciał otworzyć okno z tyłu, ale automatyczna szyba zacięła się. Uniemożliwiło to bratu

manewrowanie pistoletem maszynowym, tak zwanym „Skorpionem”. Zaczął jednak strzelać w kierunku samochodów, które go ścigały. Kierowcy natychmiast zwolnili i wycofali się.

Następnego dnia na mieście huczało od plotek dotyczących tego wydarzenia. Mówiono, że mój brat przyjechał po jedenastu latach spragniony pieniędzy i chce zaprowadzić porządk, jakie panowały dawniej. Tym samym Pruszkowiaki dowiedzieli się jednak, kto do nich strzela. Oświadczyli oficjalnie, że rozpoczynają wojnę. Powiedzieli to konkretnie do mnie i mojego brata. Odgrazali się, że wojna nie będzie trwała dłużej niż miesiąc. Tyle czasu im wystarczy, aby wystrzelać kogo trzeba. Pershing zapowiadał, że sprowadzi tych samych Ruskich, którzy zabili Czarka.

W ten oto sposób rozpoczęła się trwająca kilka lat prawdziwa wojna, w której liczbę ofiar po obu stronach oceniam na około trzysetu zabitych i pięćdziesięciu rannych, którym udało się przeżyć.

## **Pistolet do wynajęcia**

Już kilka razy wcześniej wspomniałem o działalności Ruskich na mieście i nie tylko. Kiedy już się pojawili, zwykle zostawiali za sobą jakiegoś nieboszczyka. Oczywiście, media zaraz rozpisywały się o rosyjskiej mafii, a w rzeczywistości byli to najczęściej degeneraci, którzy za umiarkowaną cenę i bez najmniejszych skrupułów gotowi byli sprzątnąć każdego, na kogo otrzymali zlecenie. Po prostu mordercy do wynajęcia, psychopaci z Afganistanu albo z jakiejś syberyjskiej zony. Niekoniecznie zresztą Rosjanie – tak zwani Ruscy mogli być różnie dobrze Ukraińcami czy Białorusinami. Owszem, w Rosji z pewnością działa jakaś mafia, ale prędzej na Kremlu, niż w Lubercach. Ruskie grupy na naszym terenie próbowały rozmaitych interesów, wiele jednak od naszych chłopaków musiały się jeszcze nauczyć.

Był czas, kiedy Ruscy oferowali na każdym bazarze „czerwoną

rtęć”, zachwalając, jakie to można na niej zrobić przebicie. Do czego miała służyć owa mityczna „czerwona rtęć”, do dzisiaj swoim rozumem nie doszedłem. Jedni twierdzili, że pokrywa się tym samoloty i rakiety, aby były niewidoczne dla radarów, inni, że maluje w tym samym celu okręty podwodne, a pewien Walera utrzymywał, zwłaszcza po dobrej wódce, że Saddam Husajn robi sobie z „czerwonej rtęci” bombę atomową. Wystarczy mu jej trochę dostarczyć, żeby zostać milionerem. Słyszac taką reklamę, odesłałem go czym prędzej do Husajna, albo i jeszcze dalej, konkretnie na huj, a surowca na bombę, którego trochę mi po nim zostało, używałem w swoim warsztacie samochodowym jako farby podkładowej. Okazał się zwykłą minią.

Cała polska prasa rozpisywała się o „czerwonej rtęci”. Przekonałem się wtedy, że wystarczy aby jedna poważna gazeta zaczęła pleść androny, a zaraz jej śladem podążają owczym pędem wszystkie pozostałe. Żadna nie chce być gorsza, żadna nie chce czegoś przegapić. Dzielni reporterzy wylażą ze skóry i paluchy mają wysrane do białej kości, ale zawsze znajdą dla swojego naczelnego oczekiwaną rewelację o „czerwonej rtęci” na iracką bombę, o rosyjskiej mafii, albo mafii pruszkowskiej, albo wołomińskiej, albo jeszcze czeczeńskiej – do wyboru.

Kiedy dziennikarze masowo zaczęli pisać o „mafii pruszkowskiej”, a nawet, ku mojemu zdumieniu, o „mafii wołomińskiej”, zacząłem pilnie rozglądać się po okolicy, czy gdzieś nie zobaczę jakichś mafiozów. Jeździłem nawet w tym celu do Pruszkowa, ryzykując głową, tak mi to zagadnienie nie dawało spać. Wszędzie jednak widziałem tylko chłopaków z miasta, którzy główkowali o tym i owym, trochę kradli samochody, trochę szmuglowali spirytus, niektórzy akurat siedzieli, inni byli po wyroku – ale czy to już była owa niebezpieczna mafia z gazet?

Zacząłem interesować się tym zagadnieniem, obejrzałem na wideo film „Ojciec chrzestny”, który wydał mi się słaby w porównaniu z wyczynami Pershinga, przeczytałem chyba nawet jakąś książkę, chociaż jeśli chodzi o czytelność to jestem jeszcze w tej samej klasie

co pewien nasz były prezydent. Czego się dowiedziałem od mądrych ludzi?

Tego na przykład, że o mafii można mówić wtedy, kiedy gangsterzy żyjący z czarnego rynku i innych klasycznych prac sobie właściwych, jak porwania czy haracze, wchodzą w bliskie związki ze światem polityki. Kiedy mafijna sieć zaczyna opłacać struktury państwa niczym pajęczyna. Kiedy całe społeczeństwo zaczyna pracować na ukrytą w mroku niewielką liczebnie super-elitę, przechwytyjącą bezkarnie gigantyczne zyski pochodzące z grabieży finansów publicznych.

## **Mafia rosyjska...**

Specjaliści z całego świata bardzo interesują się mafią rosyjską. Zaczęło się to wtedy, gdy całe transporty rosyjskich żulików, podających się za Żydów, zaczęły się osiedlać w Stanach Zjednoczonych. W Ameryce podobno jest tak, że jeśli w jakiejś dzielnicy zaczynają masowo zamieszkiwać czarni, biali natychmiast szukają dla siebie znośniejszego miejsca. Otóż kiedy pojawiali się Rosjanie, z takich dzielnic w panice zaczęli uciekać czarni. Amerykanie zrozumieli, że nadciąga straszne niebezpieczeństwo.

Zbadali jak się sprawy mają i doszli do wniosku, że wśród wielu tysięcy rosyjskich gangsterów, żyjących z uprawiania bandytyzmu i złodziejstwa, kilkuset najwyżej postawionych ma ściśle związki z siłami bezpieczeństwa dawnego ZSSR, najczęściej oczywiście z KGB. Z drugiej strony nici powiązań prowadzą do elity politycznej dzisiejszej Rosji, która zresztą wywodzi się dokładnie z tego samego środowiska – KGB bądź rozmaitych wywiadów. W ostatnich latach przed upadkiem komuny te struktury rozpoczęły masową ewakuację kapitału na tajne zagraniczne konta, zwłaszcza na Cyprze i w Szwajcarii. Mafijny transfer szacuje się na 80 miliardów dolarów w złocie, platynie, diamentach i walucie. Droga przerzutu często wiodła przez Polskę, przez sowieckie garnizony wojskowe w Legnicy i pod Szczec-



cinem. Oto przyczyna tego, że działacze komunistyczni, nie posiadający do niedawna niczego oprócz drewnianej dachy pod Moskwą i służbowej wołgi, nagle stali się miliarderni. Skąd niejaki Bierozowski miałby dzisiaj trzy miliardy dolarów, gdyby ich nie ukradł Matuszce Rosji, albo były premier Czernomyrdin – dwa miliardy? Ręce sobie urobili po łokcie? Moi Ruscy znajomi mówią o tym ze zrozumieniem: *kto smieł, tot sjeł* – kto odważny, ten zjadł.

### ...mafia polska...

A teraz wracając na nasze podwórko: może jednak widzę gdzieś i naszą, polską mafię? W Wołominie jej nie znalazłem, jedynym podejrzanym politykiem, który tam zawitał, był towarzysz Miller, ale on właśnie wydał mafii wojnę. Szybko też zrozumiałem, że popełniam błąd. Nie trzeba węszyć, kto chodzi z pistoletem za paskiem, tylko zaglądnąć w konta bankowe. Mądrzy ludzie policzyli bowiem, ile kosztowały nas wszystkich kolejne afery, przeprowadzone przez polską mafię: rublowa – 30 bilionów zł, paliwowa – 2 biliony, papierosowa – 15 bilionów, alkoholowa – 10 bilionów, celna – 3 biliony, FOZZ – 10 bilionów złotych.

Wystarczy sprawdzić, kto za tymi wszystkimi gospodarczymi przekrętami stał i oto znajdziemy prawdziwą polską mafię. Gdyby tych ludzi spędzić wszystkich w jedno miejsce, na jakiś bankiet z ruską wódką i kawiozem, żeby im przypomnieć przez kogo zostali spłodzeni, znajdziemy tam w komplecie elitę komuny, służb specjalnych, esbeckiej agenty, UOP-u i połowę dzisiejszego Sejmu.

Oczywiście, takie towarzystwo bardzo potrzebuje czapki-niewidki, więc nigdy się na takiej uczcie razem nie zbierze. A na zasadzie „łapaj złodzieja” palcem pokazuje ogłupionemu społeczeństwu inną mafię: o, tamci to prawdziwi mafiozi! Wsadźmy za kraty Dziada, w Polsce znacznie się poprawi.

I nadal będą grabić.

Szukacie polskiej mafii? Rozglądnijcie się dookoła, popatrzcie na zamordowane fabryki i zakłady pracy, pozamykane kopalnie, huty i stocznie, leżącą odłogiem ziemię. Policzcie cukrownie i cementownie, które przejęli Niemcy, hipermarkety i montownie samochodów, które w komplecie należą do obcych. Zapytajcie każdego z pięciu milionów bezrobotnych, kogo uważa za złodzieja. Mafia to ci, którzy są odpowiedzialni za tę historyczną grabież naszego majątku. A jeśli chodzi o mnie, to wszystkie moje interesy kwitną, zatrudniam ludzi, wypłacam im pensje i tam, gdzie muszę, płacę podatki.

Tak więc z rosyjską mafią sprawa jest mniej więcej jasna: moim zdaniem trzeba jej szukać na Kremlu albo na Łubiance. Jeśli ktoś tam tworzył mafię, to tylko KGB. Inaczej skąd w państwie przodującego proletariatu, gdzie minister zarabiał miesięcznie równowartość kilkuset dolarów, nagle by się wzięli rosyjscy „bankierzy” w typie Davida Bogatina? Skądinąd bardzo ciekawe, że szefem warszawskiego oddziału Pierwszego Banku Komercyjnego w Lublinie, założonego przez KGB i Bogatina, został Wiesław Kaczmarek, późniejszy minister zniekształceń własnościowych i gospodarki, a dzisiaj skarbu. Równie ciekawe jest to, że współnikiem Bogatina w tym interesie był niejaki Antoni Pieniążek, dygnitarz w administracji Jaruzelskiego, a przy okazji – współwłaściciel słynnej spółki „Polisa”. Współwłaściciel – obok ślicznej pani prezydentowej Jolanty Kwaśniewskiej, żony biesiadnego premiera Józefa Oleksego, wicepremiera Manfreda Gorywody i paru innych tego typu „białych kołnierzyków”.

### **...a także inne mafie**

A jak się mają rzeczy z mafią czeczeńską, o której równie chętnie rozwodzą się pismacy, pożądamy tylko sensacji, afer i honorariów?

Poznałem kilku przedstawicieli tego dzielnego narodu, który z takim bohaterstwem walczy z rosyjską potęgą. Byli to prawi, inteligentni, bogobojni młodzi ludzie. Zarobione pieniądze wysyłali rodzinom

głodującym pod rosyjskimi bombami w Czeczenii. Ta wojna rosyjsko-czeczeńska miała też swój epizod w Polsce.

Otóż Ruscy dość mocno weszli w interes ze spirytusem Royal, zaczęli sprowadzać tirami duże transporty z Zachodu. Większość tego przemytu szła przez przejście graniczne w Świecku, dlatego importerzy musieli wejść układy z tamtejszą Strażą Graniczną, celnikami i policją. Mieli też w kieszeni kilku prokuratorów z tamtego terenu. Których? Wystarczy popatrzeć jak żyją, jakie mają samochody i gdzie spędzają wakacje. Wiem o tym od samych Rosjan, którym wystarczy połać trochę wódki – biorąc oczywiście pod uwagę, że dla nich trochę to jest litr na głowę – i opowiedzą wszystko, poczynając od wspomnień z komsomołu i na kochankach własnej żony kończąc.

Z czasem Ruscy dopatrzyli się, że na granicy jest do zrobienia jeszcze jeden dobry interes: przerzut ludzi do Niemiec. Bywały noce, że grupy chętnych do niemieckiego dobrobytu liczyły po kilkadziesiąt osób, a od każdej przewodnicy kasowali od tysiąca do półtora tysiąca dolarów. W Słubicach i Szczecinie trudniły się tym procederem grupy czeczeńskie, które jednak obsługiwały przede wszystkim własnych rodaków.

Rosjanie postanowili przejąć ten interes. Zaczęli przechwytywać całe rodziny Czeczenów już w Brześciu, po stronie białoruskiej, albo nawet na Dworcu Białoruskim w Moskwie, zawczasu kasowali pieniądze i samodzielnie prowadzili grupy aż do granicy. Tam znikali, zaś oszukane ofiary trafiały do polskich lub niemieckich aresztów.

Aby pozbyć się konkurencji ze strony Czeczeńców, Ruscy oskarżyli ich o... terroryzm. Nie wiadomo jak to się stało, że do akcji antyterrorystycznej gorliwie włączyła się nasza policja. Widocznie zadziałały stare układy z czasów spirytusowego Eldorado. Którejś nocy przeprowadzono naloty na dosłownie wszystkich Czeczeńców mieszkających w Polsce. Centralne Biuro Śledcze szukało materiałów wybuchowych, którymi rodacy Dżochara Dudajewa mieli wysadzać w powietrze domy mieszkalne w Moskwie. Grupę ze Słubic, zajmującą się przerzutem ludzi aresztowano, bo rzekomo znaleziono u niej parę kilo semtexu z zapalnikami.

Po długim śledztwie i procesie sądowym okazało się jednak, że materiał wybuchowy został im podrzucony, i sąd wszystkich uniewinnił. Już na wolności przywódca tej grupy został zabity, i znów nie była to sprawa jakiejś czeczeńskiej mafii, tylko paru polskich chuliganów, którym Czeczen poderwał dziewczynę na dyskotecę. Zastanawia mnie jednak, jak to jest, że Centralne Biuro Śledcze pozostaje na usługach rosyjskiego wywiadu, którego przedstawiciele przesłuchiwali aresztowanych Czeczeńców na terytorium naszego kraju. I to w czasie, kiedy ministrem sprawiedliwości był bardzo prawicowy polityk Lech Kaczyński, a ministrem spraw wewnętrznych i administracji – nie mniej prawiczkowaty Marek Biernacki. Czy po to pan Lech Kaczyński walczył w Polsce z komunizmem i po to pozbyliśmy się z kraju Armii Sowieckiej, żeby polscy ministrowie służyli jako psy gończe dla jakiejś kremlowskiej mafii?

## Rakieta Pershinga

Kiedy zaczęły się problemy z Pruszkowiakami, brat w tym czasie ze mną nie rozmawiał. Trzymał się na dystans. Powodem był żal, jaki mieliśmy do siebie nawzajem. Otóż gdy był on za granicą, gdzie się ukrywał, poprosił mnie, żebym wysłał mu jego złote monety. Był to prawdziwy skarb, wyceniony wtedy na dwieście tysięcy dolarów. Ulokowałem te monety dokładnie tam, gdzie miałem to uczynić. Niestety, nie dotarły do brata. W złości powiedział, że to ja go okradłem. Przez to się pogniewaliśmy i to bardzo mocno.

Brat przyjechał do mnie tego samego dnia, kiedy Pruszków ogłosił wojnę. Nie widziałem się z nim od dawna. Zapytał, co o tym wszystkim myślę. Powiedziałem mu, że bardzo źle zrobił, bo się odsłonił i jasno pokazał to, czego oni mogli się najwyżej domyślać. Prawdy nie znali, a teraz już wiedzą, kto do nich strzela. Dla niego będzie jeszcze gorzej. Będą się teraz na nim mścić.

Brat roześmiał się i powiedział, że on też ma dużo ludzi z dawnych lat, z Gdańska i ze Zgorzelca, a nawet z Rosji i Niemiec. Zna

takich, którym Pruszkowiaki zabrali wszystkie pieniądze, jakich dorobili się na przemyśle. Im też jest wszystko jedno i nie mają wiele do stracenia. W końcu zapytał mnie, czy pożyczę mu 60 tysięcy dolarów. Bez słowa wyjąłem pieniądze i dałem. Przynależ, że odda za miesiąc, i żeby się o nic nie martwił. Potem wyszedł.

Już po kilku dniach chcieli zabić mojego brata po raz pierwszy. Stało się to koło bloku jego teściowej na Pradze, niedaleko Dworca Wschodniego. Widocznie Pruszkowiaki dowiedzieli się, że ukrywa się u teściowej i urządzili tam na niego zasadzkę. Czekali naprzeciw klatki, do której brat miał wejść. Na jego szczęście o tej akcji dowiedziała się policja. Kiedy samochód Pershinga z dwoma Roskami ustawił się do strzelania, wkroczyła do akcji. Jednego Rosjanina z bronią aresztowano, drugi uciekł. Oczywiście Pershing swoim zwyczajem stał sobie z boku i też zdążył zwać. Ruski przesiedział tylko trzy miesiące za nielegalne posiadanie broni. Pershing zeznał, że pożyczył mu swój samochód, więc na niego nic nie mieli. Tak się zakończył pierwszy zamach na mojego brata.

Pershing po tym nieudanym zamachu ponoć okropnie się zdenerwował. Obiecał bowiem w całym mieście, że szybko zabije mojego brata i mnie przy okazji, a wtedy wszystko wróci do normy. Dalej będą zabierać tym co dużo mają i są porządni, to znaczy nie polecą donieść policji. Pruszkowiaki bowiem zawsze powtarzali, że frajera to nie ma co ruszać. Frajer to zaraz poleci i doniesie policji, że został okradziony. Pershing chwalił się tak i odgrażał na lewo i prawo, a tu nagle taka kaszanka... Poprzysiął sobie rozprawić się z bratem ostatecznie.

Kupił w tym celu ręczną wyrzutnię raketową, o której zaraz zrobiło się bardzo głośno na mieście. Zwykle ludziom wystarczał w takim celu pistolet, na oporniejszych kałasznikow, a tutaj taka ciężka artyleria! Sensacja na mieście! Pershing kupił sobie na Dziada i jego brata raketę, którą mógł walczyć z czołgami. To chyba wtedy Pershing został Pershingiem, chociaż dla ścisłości trzeba zaznaczyć, że jego rakietka miała trochę mniejszy zasięg niż amerykańskie. Może dlatego, że to była ruska rakietka.

Był to kolejny wielki błąd Pershinga. Nie to, że rakietą była ruska, bo Czeczeńcy nieźle takimi strącają ruskie samoloty, tylko że się nią wszędzie chwalił. Wszyscy na mieście wiedzieli o tej wyrzutni. Jeśli zaś wiedzieli wszyscy, to i policja się dowiedziała. Również i tym razem policja udaremniła Pershingowi zamach na mojego brata. Znalazła raketę w mieszkaniu na Woli u Małolata, prawej ręki Pershinga. Małolat siedział za tę wyrzutnię cztery lata.

## Firanka z granatów

Brat już przekonał się, że to nie żarty. Trzeba było kontratakować. Dowiedział się, że Pershing jest stałym bywalcem wyścigów konnych na Służewcu. Tam podłożył mu bombę. Samochód Pershinga został doszczętnie zniszczony, natomiast on sam wyszedł z tego z lekkimi obrażeniami.

Na tym wymiana ognia się zakończyła, a to dlatego, że Pershing został aresztowany za jakieś wymuszenia i skazany przez sąd na cztery lata więzienia. Brat uzyskał wtedy przewagę nad Pruszkowiakami. Postanowił wykorzystać sytuację i zastawił pułapkę na niejakiego Szwarca. Porwał go, ponieważ mu podpowiedziano, że Szwarz jest skarbnikiem Pruszkowiaków.

Porwanego przetrzymywano w jakimś opuszczonym domu w lesie. W dzień pilnowali go chłopcy z Gdańska, natomiast w nocy nikt go nie pilnował. Tyle że w oknie i w drzwiach chłopcy rozwieszali związane ze sobą zawleczkami granaty. Szwarz wiedział, że w razie jakiegoś ruchu granaty eksplodują. Nie próbował więc nawet się ruszać.

W dzień brat i jego ludzie przyjeżdżali i przesłuchiwali Szwarca. Trochę to bolało, więc szybko przyznał im rację. Bratu jednak nie chodziło o to, kto ma rację w wojnie, tylko kto zapłaci za niego okup, bo przecież wojna kosztuje.

Okup za Szwarca w wysokości 120 tysięcy dolarów zapłacił w końcu Lutek. Ponadto wdzięczny Szwarz oddał bratu swoją wytwórnię amfetaminy.



## Złodzieje w niebieskich mundurkach

Miesiąc później policja zatrzymała brata za nielegalne posiadanie broni. Zaraz po tym przyjechał do mnie znajomy policjant i zaproponował, żebym mu oddał kasetę wideo, którą nagrałem w czasie zjazdu Pruszkowiaków w moim kantorze. Chodziło mu głównie o to, żeby otrzymać ten fragment kiedy było widać polonez policyjny z Komendy Stołecznej. Policja wtedy jawnie ubezpieczała Pruszkowiaków. Teraz chcieli wymienić tę kasetę na wolność mojego brata.

Kategorycznie odrzuciłem tę ofertę, ponieważ wiedziałem, że brat i tak nie posiedzi dłużej niż trzy miesiące, co się zresztą sprawdziło. Po trzech miesiącach wyszedł i zajął się produkcją oraz dystrybucją amfetaminy. Szło mu to bardzo dobrze, aż do chwili, kiedy do jego wytwórni wkroczyła policja. Przypuszczalnie policję zawiadomił Szwarc. W każdym razie tak mi powiedzieli później sami policjanci. Ja osobiście trochę znałem Szwarca, więc nie wierzyłem, że sprzedał mojego brata.

Policja nie złapała wtedy nikogo. Zatrzymali jednak wszystkie aparaty i półprodukty do produkcji amfetaminy. Posiadłość zabezpieczono i opieczętowano. Dopiero potem aresztowali brata oraz właścicieli tej posiadłości w Woli Karczewskiej, którzy również byli zatrudnieni przy produkcji narkotyku. O tej akcji było głośno w mediach.

Po kilkunastu miesiącach zarówno brata jak i właścicieli posesji zwolniono z aresztu. Jakież było ich zdziwienie, gdy powrócili do domu, którego policja pilnowała w dzień i w nocy. Okazało się, że zostały tam tylko gołe mury. Właściciel owej posesji opowiadał mi później, że skradziono mu wszystkie rzeczy, które miały jakąkolwiek wartość. Wyparowała beczka spirytusu oraz 200 tysięcy dolarów, które były dobrze ukryte.

Policja wszczęła w tej sprawie śledztwo. Sprawcy kradzieży – policjanci – przyznali się do niektórych zarzutów, zwalając winę jeden na drugiego. Nadal jednak podejrzewam, że tych 200 tysięcy dolarów nie wzięli funkcjonariusze, którzy strzegli posesji, lecz zupełnie kto inny – wyżej.

Mój brat poniósł dużo większe straty. Tuż przed jego wyjściem z aresztu policja dowiedziała się, gdzie ma ukryty magazyn z półproduktami do produkcji amfetaminy. Ekipa, która wkroczyła na tę posesję, zabrała półprodukty o czarnorynkowej wartości około półtora miliona dolarów. Właściciela tej posesji tylko przesłuchali i wypuścili, natomiast towar tak zachachmęcili, że już po kilku dniach znalazł się w rękach Pruszkowiaków.

## **Policyjne brudy**

Ja osobiście nie dziwię się tym policjantom. Mieli się czym dzielić. Brata nawet na tę okoliczność nie przesłuchano i sprawa się rozmyła, chociaż niektórzy policjanci pisali do Komendy Głównej donosy na swoich kolegów. Sprawa ta jest w policji szeroko znana, ale nikt jakoś nie poniósł za ten skandal odpowiedzialności. Gangsterów można tropić tylko w Pruszkowie bądź Wołominie, ale nigdy w Komendzie Głównej.

Co do tych skarg policjantów na policjantów, to posiadam ciekawe dowody w postaci kserokopii ich pism. Najwidoczniej podrzucili mi je sami policjanci – spośród tych, którzy nie dostali działki za towar sprzedany Pruszkowiakom.

Oto na przykład „Notatka urzędowa” sporządzona w Warszawie dnia 25 listopada 1996 r. przez komisarza Andrzeja Fiuka z Komendy Stołecznej Policji. Podpisana i opieczetowana przez prokuratora Grzegorza Dałkowskiego z Prokuratury Wojewódzkiej w Warszawie. „Wykonując czynności służbowe ustaliłem, że jednym z dostawców broni i materiałów (tak pisze pan komisarz) wybuchowych na bazar Koło jest nadkom. Piotr MAJEWSKI, specjalista Biura do walki z Przestępczością Zorganizowaną Komendy Głównej Policji. Wymieniony uzyskuje broń i materiały wybuchowe ze spraw, które prowadzi lub były prowadzone przez jego kolegów. Uzyskane informacje wskazują, że poza Piotrem Majewskim w handlu tym biorą udział inni

policjanci z tego wydziału. Bliższych danych na ich temat w chwili obecnej nie ustaliłem. Notatkę sporządzono w celu wykorzystania w sprawie powiązań policji z mafią Pruszkowską”

Ciekaw jestem, czym też zajmuje się dzisiaj nadkomisarz Majewski, w jakiej willi mieszka, którym modelem jaguara jeździ – oraz czy komisarz Fiuk pracuje jeszcze w policji. A także ilu „innych” policjantów z Komendy Głównej, dostarczających Pruszkowiakom broni i plastiku, udało się temu dzielnemu wywiadowcy ustalić z nazwiska. Będę w związku z tym miał coś do powiedzenia również o losie pierwszego generała policji, a mojego sąsiada, Papyły – ale o tym później.

A na razie jeszcze jeden ciekawy, a dla niektórych być może wstrząsający dokument – „Notatka urzędowa”, której autorem jest podinspektor Jacek Kaczmarewicz, również ze Stołecznej. Sporządził ją i osobiście podpisał dnia 8 kwietnia 1997 r. „W dniu dzisiejszym w toku wykonywania czynności służbowych uzyskałem informację, że w ramach postępowania przygotowawczego prowadzonego za l.dz. VI Ds.-75/96 przeciwko Jerzemu Kucharskiemu i innym była wyjaśniana sprawa kradzieży 2 kg amfetaminy i matryc banknotów dolarowych USA, które ukradziono podczas przeszukania na działce letniskowej należącej do matki zatrzymanego Jerzego Kucharskiego – Aldony Winiarskiej w Barcicach gm. Chynów. W związku z powyższym nadkom. Danuta Sokołowska przesłuchała:

- a) podkom. *Bożenę Grudniewską*
- b) podinsp. *Aleksandra Dutkiewicza*
- c) podkom. *Krzysztofa Pawęzkę*
- d) st.post. *Sławomira Mazura.*

Według uzyskanych informacji nadkom. Danuta Sokołowska wyjaśniała określone kwestie w ten sposób, aby policjanci nie odpowiadali za kradzież. Odnaleziona amfetamina jest ujawniona jako „dwa papierki z białym proszkiem”, a matryce w ogóle nie zostały udokumentowane. Odnaleziono również farby drukarskie. W związ-

Warszawa, dnia 25.11.1996r.

Prokuręj Biuro  
w Warszawie

Notatka urzędowa

W toku czynności służbowe ustaliliśmy, że jednym z dostawców broni i materiałów wybuchowych na bazar Koło jest nadkom. Piotr MAJEWSKI spec. Biuro dw. z PE NBP. Wymieniony uzyskuje broń i materiały wybuchowe ze spraw prowadzonych, lub były prowadzone przez jego kolegów. Uzyskane informacje wskazują, że poza Piotrem Majewskim w handlu tym biorą udział inni policjanci z jego wydziału. Bliższych danych na ich temat w chwili obecnej nie ustaliliśmy. Notatkę sporządzono w celu wykorzystania w sprawie poszukiwania policjantów z mafią Pruszkowską.



PROKURATOR  
mgr Grzegorz Dulkoński



Warszawa dnia 8.04.1997 r. 16/1

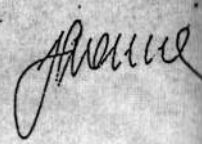
Podinsp. Jacek Kacmarewicz  
KSP Warszawa

Notatka urzędowa

W dniu dzisiejszym w toku wykonywania czynności służbowych urzędnicy KSP Warszawa otrzymali informację, że w ramach postępowania przygotowawczego prowadzonego na podstawie zarządzenia nr 1.02.VIDs-75/96 przeciwko Jerzemu Mucharskiemu i innym była wyjawiona sprawa kradzieży 2 kg amfetaminy i matryce banknotów dolarowych, które ukradziono podczas przeszukania na działce letniskowej należącej do matki zatrzymanego Jerzego Mucharskiego - Aldony WILHARSKIEJ w miejscowości Bercicach gm. Chynów. W związku z powyższym nadkom. Danuta Sokołowska przesłuchała:

- a. podkom. Bożenę Grudniewską
- b. podinsp. Aleksandra Dutkiewicza
- c. podkom. Krzysztofa Pąkę
- d. st. post. Szawomira Mazura

Według uzyskanych informacji nadkom. Danuta Sokołowska wyjaśniała następujące kwestie w ten sposób, aby policjanci nie odpowiadali za kradzież. Odnaleziona amfetamina jest ujawniona jako dwa papierki z białym proszkiem, a matryce nie zostały udokumentowane. Odnaleziono również fałszywe banknoty dolarowe. W związku z powyższym istnieje możliwość pogłębienia informacji o kradzieży amfetaminy i matryce zostały przekazane grupie Pruszyńskiej.





ku z powyższym istnieje możliwość pogłębienia informacji. Po kradzieży amfetamina i matryce zostały przekazane grupie Pruszkowskiej”.

Kserokopie obu dokumentów włączyłem do mojej książki jako załączniki. Mam tego więcej. Przed wszystkim jednak, całe stopy pism o podobnej treści spoczywają w przepastnej głębi licznych policyjnych i prokuratorskich biur. Nikt jakoś nie robi z nich użytku. Czyżby to właśnie do Dziada należał obowiązek ujawnienia ich społeczeństwu? A może skromny komplet policyjnych brudów życzy sobie otrzymać pan poseł Lepper albo sam minister od policji, towarzysz Janik?

## Najazd

Wracając do mojego brata, to kiedy się dowiedział, że policja zgarnęła cały jego towar i sprzęt do produkcji amfetaminy, który potem trafił jakoś do Pruszkowa – był oczywiście niepokieszony. Zaraz jednak na mieście rozpuszczono plotkę, że to nie policja, lecz ja ukradłem ten towar. Świnie podłożyli mi Pruszkowiaci w porozumieniu z policją. Słyszając takie nowości brat wpadł w szal i najechał mnie w moim domu.

Przyjechała grup około dwudziestu osób. Ochrona wyczuła, że koło domu coś się dzieje. Natychmiast mnie ostrzeżono. Zareagowałem i błyskawicznie zadzwoniłem po posiłki, które zdążyły przyjechać w ostatniej chwili. Ludzie, którzy byli z bratem i ci, którzy mnie ochraniali, znali się z widzenia. Zaczęli dyskutować, co tu jest grane. Ja to wszystko obserwowałem i przysłuchiwałem się zza płotu. Dopiero w tym momencie podjechał mój brat. Zaczął krzyczeć: „Kurwa, co tu się dzieje, gdzie Heniek?!”. Wtedy mu powiedziałem, żeby nie robił zbiegowiska, bo to jest w końcu mój dom i ludzie mnie tu znają. Jak chce ze mną rozmawiać, to niech się reszta rozjedzie.



On nie zważał co do niego mówię. Wykrzykiwał ciągle: „Gdzie jest mój towar, gdzie są moje miliony?!” Wtedy mu powiedziałem, żeby się ode mnie odpiardolił. Gdy to usłyszał, spróbował wdrzeć się za bramę, ale jeden z moich ochroniarzy zagroził mu drogę. Zaczęli się bić. Nikt inny się nie wtrącał. Doszło do mocnej wymiany ciosów. Brat szybko opadł z sił i walka zmieniła się w głośną przepychankę. Wtedy zdecydowałem się na interwencję. Jak to zrobiłem, nie będę opisywać. Jedno mogę powiedzieć: w ciągu dziesięciu sekund nie było już nikogo z ludzi, którzy przyjechali z bratem. Został tylko on sam. Był całkowicie wypompowany po walce z moim ochroniarzem.

Zrobiło mi się go żal. Brat to brat. Zaproponowałem, żeby wszedł do domu, to spokojnie porozmawiamy i wyjaśnimy nieporozumienie. Zgodził się. Usiedliśmy i zaczęliśmy rozmawiać. Przy tej rozmowie był tylko mój starszy syn Paweł, którego brat szanował bardziej niż własnego syna. Paweł bowiem sam doszedł do pieniędzy. Mając 23 lata posiadał majątek warty około miliona dolarów. A już na pewno brat bardziej wierzył Pawłowi, niż mnie.

Po dłuższej rozmowie brat całkowicie zmienił zdanie. Przyznał, że nieładnie postąpił. Całą winę zwałił na swoją żonę i kolegów, którzy go wprowadzili w błąd i podpuścili. Poprosił, żeby zawołać ochroniarza, z którym się bił. Wezwałem Darka. Brat spytał go, czy ma pretensje, że się pobili. Darek nie miał. On od tego jest i bierze za to pieniądze. To jest jego obowiązek, nawet jeśli dostanie po mordzie. Brat się roześmiał i podał Darkowi rękę na zgodę.

W końcu przyznał się, że jest teraz goły i wesoły. Był pewien, że półprodukty czekają na niego i po wyjściu na wolność szybko odrobi straty. Pewność dawało mu to, że policja w ogóle nie przychodziła do niego do aresztu i nie przesłuchali go w tej sprawie. Dlatego nawet przez myśl mu nie przeszło, że policja jednak odkryła ten towar, wart jako półprodukty półtora miliona dolarów, a po przerobieniu ponad trzy miliony.

Wzruszył się trochę nad swoim losem i nawet zapłakał, jak małe dziecko. Zrobiło mi się go naprawdę żal. Mojemu synowi także. Za-

proponowaliśmy wspólnie pożyczkę w wysokości 50 tysięcy dolarów. Brat przyjął ofertę i westchnął, że znowu musi zaczynać wszystko od początku.

## Bombardowanie

Po kilku dniach aresztowano mnie, całkowicie bezpodstawnie, z powodu zawalenia się muru na mojej budowie. W środku nocy wpadli do mojego domu policjanci i oskarżyli mnie o czynną napaść, o czym już wspominałem wyżej. Siedziałem dziesięć miesięcy, a w tym czasie mój brat nadal prowadził wojnę z Pruszkowem.

Zginęło trochę Pruszkowiaków, zginęli chłopcy z tej strony. Pruszkowiaki zastrzelili dwóch chłopaków z Gdańska, którzy byli z bratem. Bratu udało się oszukać jakiegoś Afgańczyka na heroinę wartą ponad milion dolarów. W ten sposób odbił się od dna. Nie będę szczegółowo opisywać, w jaki sposób mój brat odkuł się tak szybko. O jednym mogę zapewnić, że nie pracą rąk.

Pruszkowiacy jednak nie próżnowali. Strzelali do brata dwukrotnie. Policja dobrze wiedziała, kto strzela, ale się nie wtrącała. Po prostu spokojnie obserwowali tych, którzy na niego polują. Założyli im podsłuch telefoniczny. Cały czas, gdy Pruszkowiaki jeździli za bratem, za Pruszkowiakami podążała policja z tak zwanych Pezetów – Wydziału do Zwalczania Przystępczości Zorganizowanej.

Kiedy wyszedłem z aresztu, bratu podłożono bomby pod jego samochód i restaurację, która znajdowała się na Pradze na ul. Wileńskiej. Bomby zrobił jakiś fuszer, bo nie chciały zadziałać. Do mnie też strzelano, ale nie chciałem nawet powiadamiać o tym policji, bo uważałem, że i tak to nic nie da. Tylko raz musiałem zawiadomić, ponieważ bałem się zdejmować samodzielnie pięciokilową bombę, jaką dla mnie zmajstrowali Pruszkowiaki.

Pierwsza bomba, jaką mi podłożono, ważyła pięć kilo. Pruszkowiaki zapłacili i kazali umieścić ją obok śmietnika przy moim

domu. Pewien człowiek zrobił to za skromne dwa tysiące dolarów. Tego dnia jeden z Pruszkowiaków od rana obserwował mój dom. Nieopodal są dwa przystanki autobusowe, więc nikt nie zwrócił uwagi kto tam stoi. Muszę przyznać, że miałem tego dnia szczęście, a Pruszkowiaki pecha. Nie przewidzieli, że o szóstej rano śmietnik zostanie opróżniony przez właściwe służby. Zawsze byłem zdania, że powinni to robić o szarym świcie, zanim się zlecą muchy. Niczego nieświadomi robotnicy wrzucili śliczną pięciokilogramową pruszkowską bombę do śmieciary. To Pruszkowiaków musiało mocno zdenerwować, jak sądzę.

Nic dziwnego, że już na drugi dzień wydali zlecenie, aby ta sama osoba podłożyła jeszcze jedną, taką samą bombę, ale tym razem pod samochód stojący przed moją bramą. Tak też zostało zrobione. Ani ten, który podkładał, ani ja do dziś nie wiem, dlaczego bomba nie wybuchła. Pruszkowiaki zwrócili się więc do owego fachowca, żeby tę bombę usunął. Ten zastrzegł, że usunięcie kosztuje tyle samo co podłożenie. Obiecali, że zapłacą. On bombę zabrał, ale nie zapłacili. Tłumaczyli się, że nie mają pieniędzy.

Za kilka dni zaproponowali mi znowu, żeby podłożył tę właśnie bombę z odzysku. Zgodził się, ale zażądał tym razem pięć tysięcy dolarów, ponieważ poprzednia robota pozostawała nie opłacona i jego samopoczucie z tego powodu cierpiało. Pruszkowiaki na to przystali. On jednak, jak sam mi później opowiadał, pomyślał sobie, że skoro już dwa razy się nie udało, to i trzeci raz może coś nie wyjść. Przyszedł więc do mnie i zapytał ile dostanie, jeśli powie, gdzie umieszczona jest bomba, przeznaczona specjalnie dla mnie. Chciał 20 tysięcy dolarów. Dobiliśmy targu i przystał na 10 tysięcy. Tłumaczył się, że powiedział mi o tym, gdyż potrzebuje pieniędzy. Poza tym był przekonany, że Pruszkowiaki się nie domyślą, kto ich sprzedał. Na dowód, że mówi prawdę, przyznał się do bomby którą kiedyś podłożył Czarkowi, ale też nie wypaliła. Wypadła Czarkowi spod auta na ulicy Wincentego. Wtedy mu uwierzyłem, ponieważ taki fakt rzeczywiście zaistniał. Policja znalazła tę jego bombę, leżała sobie na środku ulicy Wincentego.

Pruszkowiacy wściekli się. Do tej pory nie wiedzą, kto mi powiedział o podłożeniu bomby. Postanowili tym razem, że zamiast bomby podłożą mi świnie.

## Nakarmić Dzika

Podłożenie przez Pruszkowiaków świni polegało na tym, że najpierw zabili niejakiego Tomka z Otwocka, za co, tego nie wiem. Zakopali go w Puszczy Kampinoskiej, w ładnej okolicy, a jego samochód postawili pod moją bramę. Stał tam przez trzy dni. Pytałem, czyj to samochód, ale nikt nie wiedział. Któregoś dnia przyjechali do mnie moi dawni koledzy i wyjaśnili całą sprawę. Byli z pewnym Rosjaninem, co zawsze ma swoją ważną przyczynę. Powiedzieli mi, że to jest samochód niejakiego Tomka, ich kolegi z Otwocka, którego zakopali Pruszkowiaki. Wiedzieli nawet, że mocno znęcali się nad nim przed śmiercią. Nie pytałem, skąd o tym wiedzieli. Chciałem jednak wiedzieć, co ja mam z tym wspólnego. Odpowiedzieli, że nic, ale ktoś im powiedział, że samochód Tomka stoi pod moim domem, więc przyjechali mnie uprzedzić. Są pewni, że nie mam nic wspólnego z tą sprawą, dobrze też wiedzą, kto ma. Zagwarantowali, że niejaki Dzik z Otwocka zginie za to co zrobił z Tomkiem. Wiedziałem, że Dzik był bardzo niebezpieczny. Należał do grupy pruszkowskiej.

Spytałem, co mam zrobić z samochodem. Poradzili, żebym poszedł na policję i zgłosił. Mówili, że oni by go zabrali i oddali żonie, ale podejrzewają, że tam może być ukryta bomba. Nie chcieli ryzykować.

Zrobiłem, jak mi radzili. Policja momentalnie przyjechała, obstaowała wszystkie ulice i w końcu po pięciu godzinach ustaliła, że w samochodzie nie ma żadnej bomby. Wtedy samochód zabrali.

Pruszkowiaki najwidoczniej chcieli, żeby policja przypisała mi zabójstwo Tomka z Otwocka. To im się jednak nie udało. W dodatku policja szybko złapała zabójców Tomka, którzy się przyznali. Przyznali się również do tego, że to oni podstawili samochód Tomka pod

mój dom. Samego Dzika natomiast nie udało się policji aresztować. Chłopcy, którzy byli u mnie i powiedzieli mi o tym zdarzeniu, wcześniej zdążyli wymierzyć mu sprawiedliwość. Zapakowali Dzikowi kilkanaście kul w trakcie śniadania, które spożywał w jednym z otwoczkich barów. Miał w sobie tyle ołowiu, że na śniadanie nie zostało już miejsca.

Zawsze byłem zdania, że jeść trzeba w miarę.

## **Egzekucja na oczach policji**

Jak już wcześniej wspominałem, mojemu bratu też podłożono bombę, która nie wybuchła. Pruszkowiaków pilnowała wtedy policja. Kiedy się przekonali, że ich bombowy plan nie wypalił, postanowili przystąpić do sprawy inaczej.

Któregoś dnia, gdy brat odjeżdżał samochodem spod swojej restauracji, ruszyli w ślad za nim Szwarz, Zbynek i niejaki Michał. Z nimi zielony polonez na kradzionych numerach rejestracyjnych, który ich ubezpieczał. Za tymi samochodami jechali policjanci z Pezetów. Policja ma w aktach operacyjnych sprawy nagrania rozmów telefonicznych, w czasie których Pruszkowiaki przekazywali sobie samochód brata, gdy tego dnia za nim jechali. Wszystko to wiem od dobrze zorientowanego w tej sprawie policjanta.

Samochód brata Pruszkowiaki nazwali Gena. Przekazywali go mówiąc: „Uwaga, Gena jedzie tu i tu, zatrzymał się, jedzie dalej, skręca...” Policjanci wszystko to słyszeli i nagrywali. Musieli zdawać sobie sprawę z tego, co Pruszkowiaki chcą zrobić, ale nie interweniowali. Dlaczego – dotąd nie wiem, ale przecież się domyślam. Skoro nie mogli bratu niczego zrobić, bo nic na niego nie mieli, zdali się na Pruszkowiaków. Niech się gangsterzy powystrzelają nawzajem.

Dojechali wszyscy na ulicę Płowiecką na Grochowie, jakieś dziesięć kilometrów od restauracji brata i około pięciu od jego miejsca zamieszkania. Brat zatrzymał się obok dość dużego sklepu, znajdu-

jącego się w budynku mieszkalnym. Wsiadł z samochodu i wszedł do środka. Zrobił zakupy i wrócił do swojego auta. Wtedy podjechał ten zielony polonez i przez otwarte okno zaczęli z niego strzelać, po czym szybko odjechał. Za nim popędził drugi samochód należący do Pruszkowiaków.

Policjanci dobrze widzieli, co się stało i kto to zrobił. Nie pojechali jednak za zabójcami, tylko zajęli się moim bratem, który już prawie nie żył. Po kilku minutach zmarł. Dostał tylko dwie kule – jedna była bardzo groźna, bo był to rykoszet, który zrobił w środku straszne spustoszenie. Policjanci dobrze zdawali sobie sprawę, że popełnili przestępstwo. Nie powinni dopuścić do tego morderstwa. Dlatego też nie zeznali dokładnie tak, jak naprawdę było. Poinformował mnie o tym pewien prokurator.

Inna ekipa policyjna doszła jednak do tego, kto strzelał do mojego brata. Są nawet świadkowie, którzy widzieli kto to był. Mają także nagranie, jak chwilę po tym zajściu Słowik, ten sam, który mnie chciał zastrzelić, gratuluje zabójcom.

Jednym z nich jest Zbynek z Pragi. Ukrywa się, a policjanci tak go gonią, żeby nie złapać. Drugi to Szwarc. Ten sam, którego brat porwał. Szwarc szybko wyszedł z więzienia na Mokotowie, gdzie przesiedział tylko pół roku. Zwolnili go z powodu choroby serca. Myślę, że duży wpływ na rozwój tej ciężkiej choroby miało porwanie go przez brata, który obwiązywał Szwarca na noc granatami, żeby nie chciał mu się biegać. Podejrzewam, że 120 tysięcy dolarów, które Szwarc zapłacił mojemu bratu za uwolnienie, też przyczyniło się do choroby serca, jakiej się dorobił za kratami na Mokotowie.

## Ostatnie tango

Trzeciego z nich, niejakiego Michała, wsadzili do więzienia. Z tego co mi wiadomo, Michał otrzymał za zastrzelenie mojego brata 70 tysięcy marek niemieckich, za które kupił sobie elegancki samochód. Resztę tej sumy przeznaczył na paczki dla siebie, przewidywał



bowiem, że długie lata spędzi w więzieniu. Tak przynajmniej mówili na mieście i policjanci.

Niestety, Michał, morderca mojego brata, po odsiedzeniu dwóch lat został przez sąd zwolniony z więzienia, a jego sprawa wróciła do ponownego rozpatrzenia. Z całą pewnością Michał był zadowolony z takiej decyzji sprawiedliwego sądu. Nie pomyślał jednak o tym, że na wolności z takiego obrotu rzeczy byli również bardzo zadowoleni przyjaciele mojego brata. Najpierw czekał na niego ich sprawiedliwy sąd.

Po wyjściu na wolność Michał postanowił przede wszystkim odwiedzić dyskotekę. W więzieniu nie miał okazji, żeby sobie potańczyć. Ten, kto na niego czekał, rozumiał to i nie przeszkadzał. Z dyskoteki wyszedł nasz tancerz dopiero nad ranem, bardzo rozbawiony. Zapomniał już najwidoczniej o winie za śmierć mego brata. A także o tym, że radość jest zjawiskiem dość ulotnym. Przypomniano mu serią z pistoletu maszynowego.

Tańce zakończyły się piruetem, po którym padł śmiertelnie ranny. Trafilo go aż siedemnaście kul. Dyskotekowa marynarka była całkiem posiekana. Wcale mnie nie zdziwiło, że ktoś tak pilnie popracował. Zresztą, nie było to zbyt trudne. Michał był potworem, miał co najmniej dwa metry wzrostu, a to z pewnością ułatwiło tym porządnym i sprawiedliwym ludziom umieszczenie w celu siedemnastu pocisków.

Gdyby mojego brata zabił jakiś godny niego przeciwnik, to z pewnością nie zginąłby w odwecie od siedemnastu kul, tylko od trzech, kulturalnie. Ponieważ jednak zabójstwa dokonał płatny morderca, to sam dostał tyle, na ile zasłużył. Tak się robi z najemnikami, którzy zabijają nie dla idei, lecz za pieniądze. Właśnie tak, jak narkoman Michał.

## Narkotyki

Czasy nastały takie, że strach wyjść na ulicę. Bandyci zaczęli strzelać niemal na oślep. Nie zwracają już uwagi na to, gdzie strzelają, jak i do kogo. Egzekucje odbywają się na ulicach wśród setek przechodniów, w restauracjach, na trasie wśród pędzących samochodów, na-

wet na plaży. Kiedyś ekipa grzecznie czekała na swój cel na jakimś odludziu, dzisiaj potrafi rozstrzelać gościa w najlepszym warszawskim hotelu. Dawniej wystarczył do tego pistolet o skromnym kalibrze .44 Magnum, teraz prują delikwentowi marynarkę z broni maszynowej. Wystarczyły trzy kule, po jednej w jakieś wrażliwe miejsce, dzisiaj cały magazynek do kałasznikowa to mało. Żeby jeszcze używali jakiejś delikatnej broni, jak Skorpion, UZI czy Glauberyt – to nie, konieczne Kałasznikow, do tego najchętniej z granatnikiem podwieszonym pod lufą. Zaczęli kupować od Ruskich jednorazowe granatniki przeciwpancerne, a nawet raketowe miotacze ognia. Taki miotacz wywraca ciężarówkę do góry kołami. Tam gdzie aż nadto wystarczyłaby kostka trotylu, pakują obowiązkowo pięć kilo – sam tego kilka razy doświadczyłem na własnej skórze. Jak czeski plastik – to od razu tyle, że gość wisi w kawałkach na wszystkich okolicznych drzewach. Dlaczego tak się dzieje?

Wypowiedzi na temat ostatnich zuchwałych morderstw świadczą o tym, że policja i politycy albo udają, że są nieświadomi, albo też rzeczywiście są aż tak zacofani. Robią wrażenie, jakby w ogóle nie zdawali sobie sprawy z najważniejszej przyczyny tego zjawiska, powoli stającego się codziennością. Zapominają o tym, że kiedyś nie było narkotyków i bandyta myślał co robi. Kalkulował, czy to mu się opłaca. Przeliczał zysk na lata ewentualnej odsiadki. Z zasady trzymał się daleko od „mokrej roboty”.

Dzisiaj nie myśli, tylko działa jak automat. Da sobie w żyłę, czy też poniucha, i w tym momencie przestaje myśleć o skutkach. Najczęściej ma w głowie tylko jedno – zabić, a potem jak najszybciej znowu dać sobie w żyłę. Oczywiście, że ktoś musi tym kierować. Nigdy nie uwierzę, że taki narkoman, który decyduje się na straszną zbrodnię w biały dzień i w miejscu publicznym, sam to zaplanował. Niestety, według mnie, taki narkoman to nie jest człowiek, tylko robot od takiej właśnie roboty. On po prostu do niczego innego się nie nadaje, poza tym, żeby kogoś pobić lub zabić – oczywiście tylko wtedy, gdy jest na haju. To zwykły kaleka umysłowy. I zawsze musi za takim stać ktoś, kto nim steruje.

Kiedyś rozmawiałem z takim jednym, który miał odwagę przyznać mi się do wszystkiego. Było to na kilka dni przed jego śmiercią. Wiedział, że umrze. Pytałem, jak mógł do tego dopuścić. Mówił mi wprost – narkotyki były silniejsze od niego. Gdy nie brał narkotyków, był nikim. Bał się własnego cienia. Nie miał siły. Gdy był dobrze nawąchany, działało się odwrotnie. Wtedy zdawało mu się, że jest najsilniejszy. Miał siłę na treningu. Nie było dla niego rzeczy niemożliwych. Gdy stanął przed lustrem, jego mięśnie wydawały mu się potężne. Sam nie mógł się nimi nadziwić. Z czasem jednak, gdy organizm zaczął odczuwać brak narkotyków, jego mięśnie nikły w oczach. Do oczu też zaczął strach zaglądać. Ten stan zmuszał go do wzięcia działki, po której ustępował strach, a mięśnie znów jakby odrastały.

Był jeszcze problem dziewczyn. Zabawa, picie, dyskoteka, łóżko – wszystko to było niemożliwe bez działki. Po prochach stawał się duszą towarzystwa, gigantem, pierwszym playboyem, dowcipnym i rozba-wionym. Wtedy dziewczyny lgnęły do niego, a on sobie z nimi nieźle radził. Na głodzie przestawał być mężczyzną.

## **Baronowie narkobiznesu**

Właśnie ten problem jest moim zdaniem główną przyczyną tej nieopisanej zuchwałości płatnych morderców, a nie zwykła bezczelność, której się doszukują głowy państwa. Moim zdaniem żadna kara i żadna siła nie jest w stanie powstrzymać tego, co się w tej sferze dzieje. Wszystkim na świecie rządzi pieniądź, a największymi pieniędzmi – narkobiznes. Tu nie ma litości. W tym interesie litość i ludzkie uczucia po prostu zostały wyeliminowane.

Znam takiego narkomana, który w ciągu jednej doby musi wydać co najmniej 300 dolarów, aby zaspokoić głód narkotykowy. Oczywiście, nigdzie nie pracuje. Ludzie, którzy się przy nim kręcą, potrzebują zapewne nie mniej na zaspokojenie swoich potrzeb. Do tego dochodzi wystawne życie, utrzymanie domu, oczywiście na odpowied-

nim poziomie, samochody najlepszych marek. Taki narkoman zamawia sobie w agencji towarzyskiej naraz trzy dziewczyny, a czasem pięć, gdyż zwłaszcza w tych sprawach musi szpanować i udowodniać wszystkim, jaki jest mocarz. Nie oznacza to oczywiście, że tacy jak on nadają się do czegokolwiek. Oni po prostu tylko bawią się z tymi dziewczynami, nic poza tym. Robią z nimi mniej więcej to samo, co pięcioletnie dziecko.

Kiedyś znalazłem się przypadkiem na takiej imprezie, zwabiony przez jednego z uczestników. Chciał pożyczyć ode mnie pieniędzy, których miało mu brakować do uregulowania rachunku za trzy dni tej balangi. Uwierzyłem w to, znając jego tryb życia. Zajechałem pod hotel, gdzie przyjęto mnie tak, jakbym był nie wiem kim, i wskazano mi jedno ze skrzydeł hotelu, gdzie oczekiwał mój znajomy. Poszedłem tam. Nie da się opisać, co tam zobaczyłem. Była tam cała śmietanka Pruszkowiaków, z którymi wtedy jeszcze żyłem w jak najlepszej zgodzie. To właśnie oni, jak się okazało, chcieli mnie ugościć.

Na przywitanie wyszedł ten, który mnie tam zwabił. Stał przede mną zupełnie nagi. Był oczywiście w stanie nieważkości i – jak to pijany – był dumny z siebie i z towarzystwa w jakim przebywał. Zaczął mi opowiadać kogo tylko tam nie ma, oraz że już trzeci dzień tak balują z trzydziestoma kurwami z agencji. Powiedziałem mu krótko, że o tym wiem, gdyż jego żona była u mnie i mówiła, że nie ma go już trzecią noc. Roześmiał się tylko. Zaczął mnie oprowadzać po pokojach i pokazywać, a raczej chwalić się kto tam jest, a i jakie są dziewczyny. Nie powiem, dziewczyny były i ładne i niezbyt piękne. Z prawdziwą zgrozą zobaczyłem w pewnej chwili, że była też między nimi moja młodziutka sąsiadka. Dziewczyna zaczerwieniła się na mój widok. Nigdy bym nie przypuszczał, że tak ładna i zgrabna dziewczyna, która w miejscu zamieszkania lśniła urodą i grzecznością, zajmuje się kurestwem. To mnie otrzeźwiło. Żeby z tym skończyć, zapytałem znajomego, ile potrzebuje pieniędzy. Roześmiany, bez końca mi dziękował. Chciałem jak najszybciej opuścić to miejsce, ale nie było to łatwe. Dziewczyny, które tam były, na siłę próbowały mnie

jedna przez drugą zaciągnąć do swojego pokoju. Z pewnością namówili je do tego Pruszkowiaci. Udało mi się jakoś ich oszukać. Powiedziałem, że za chwilę przyjdę, wybrałem nawet jedną z nich, żeby czekała na mnie w pokoju. Rzecz jasna, nie była to moja piękna sąsiadka. Wstydzilibym się. Mam bowiem swój wstyd i ambicję. Szybko zszedłem na dół do samochodu i odjechałem.

Po około trzech miesiącach ta sama sąsiadka niespodziewanie podeszła do mnie na ulicy. Nie była sama, lecz z przystojnym chłopakiem. Zapytali, czy nie zawiózłbym ich swoim samochodem do ślubu. A jeśli tak, ile by to kosztowało. Spojrzałem na nią i powiedziałem, że do ślubu mogę ich zawieźć. Nie spytałem, dlaczego wybrali właśnie mnie i mój samochód, bo dobrze wiedziałem, że mój mercedes 140 był w tamtych czasach jednym z najładniejszych samochodów w Polsce. Postawiłem jednak pewien warunek. Musieli zgodzić się na to, że za tę usługę nic mi nie zapłacą. Po krótkiej dyskusji ulegli. Z tego co wiem, do dziś są razem i mają dwoje małych dzieci, które chodzą już do szkoły. Zawsze mi się kłaniają.

Wracając do narkobiznesu, to jakby nie patrzeć, aby żyć na takim poziomie, do jakiego przywykło to środowisko, potrzeba przynajmniej kilkaset dolarów dziennie i to nie jest wcale przesada. Potrafią oni zajechać też do kasyna, gdzie zostawiają niemałe pieniądze. Dla takich tysiąc dolarów na dzień to normalka. Grupy narkobiznesowe za wszelką cenę eliminują przeciwników, posługując się narkomanami gorszego gatunku. Tymi, których nie stać jeszcze na zaspokojenie głodu. Żaden rząd tego nie zmieni, czego przykładem są inne państwa. Narkoman jest tylko narkomanem, a nie człowiekiem. Niczego się nie boi, gdy jest naszprycowany.

Zapewne pamiętacie jak pan poseł Janowski całował po rękach posła Oleksego. Z pewnością nie kierował się wtedy swoim własnym rozumem, bo to jest bardzo mądry i rozsądny człowiek, a poza tym Oleksy to nieapetyczny spierniczały komuch. Najprawdopodobniej postępował tak po zażyciu extasy, którą ktoś mu podrzucił. Coś niecoś wiem na ten temat. Ten, kto podrzucił posłowi Gabrielowi Janowskiemu tak silny środek halucynogeny, dobrze wiedział, że go

ośmiesz. Odmówiono wtedy wszczęcia dochodzenia w tej sprawie, a przecież przyczyna dziwnego zachowania posła Janowskiego była oczywista dla każdego, kto choć trochę wie o działaniu narkotyków. Policja na pewno powinna to wiedzieć. Jednak zamiast policji w Sejmie pojawiła się skądś telewizja, usłudni dziennikarze całe to żalosne zajście sfilmowali, a potem usłudnie pokazali całej Polsce. A wszystko dlatego, że poseł Janowski bardzo przeszkadza tym wszystkim, którym tak słodko jest Polskę rozkradać.

Podobnie zresztą środowiska złodziei w białych kołnierzykach, z lewa i z prawa bez różnicy, walczą z posłami Antonim Macierewiczem i Andrzejem Lepperem. Kolejne rządy próbują z pomocą sprzedajnych mediów robić z nich ludzi nieodpowiedzialnych. Pan Macierewicz bardzo dobrze sobie z tym radzi. Trochę gorzej pan Andrzej Lepper, z którego media na siłę robią człowieka niebezpiecznego, przyrównując go do Hitlera. Jak pokazały ostatnie wybory do Sejmu, ludzie nie dają się jednak przekonać do tych bredni.

Siedziałem ponad miesiąc z jednym z tych, co napadli na Kredyt Bank i zostawili po sobie cztery trupy. Nie pytałem go, jaki on miał w tym udział. Zapytałem tylko o to, czy byli pod wpływem narkotyków. Przyznał się, że tak. Nie próbuję go usprawiedliwiać, gdyż moim zdaniem to nie jest żadne tłumaczenie. Chcę tylko pokazać, że prawie wszyscy, którzy dopuszczają się tak rażących zbrodni, są pod wpływem narkotyków. To one są główną przyczyną tej bezgranicznej bezczelności, którą oburzają się tęgie głowy naszego państwa. A to wcale nie bezczelność, tylko amfetamina, marihuana, heroina, kokaina, extasy i LSD oraz inne świństwa, panowie o tęgich głowach!

## Aresztowanie

Nie spodziewałem się, że policja mogłaby mnie aresztować. A jednak, w dniu 26 maja 1999 r. dokładnie o godzinie szóstej rano usłyszałem, że pod mój dom w Ząbkach podjechało dużo samochodów. Najwięcej było tak zwanych transporterów, a w nich niezli-



czona ilość antyterrorystów z długą bronią. Od razu wyszedłem na balkon. Oczywiście, ja byłem bez broni. Samochody miały tablice rejestracyjne z terenu Białegostoku. Nie było to dla mnie zaskoczeniem, gdyż dwa miesiące wcześniej otrzymałem już wiadomość, że zostanę aresztowany właśnie przez białostocką prokuraturę. Nie chciałem w to wierzyć, ponieważ nigdy w Białymstoku nie byłem, ani też nikogo stamtąd nie znałem. Oprócz jednej osoby – dobrego kolegi mojego brata, niejakiego Boksera z Białegostoku, z którym jednak nigdy nie zamieniłem nawet jednego słowa, jeśli nie liczyć zwiężłego „cześć”.

Niemniej, w marcu 1999 r. zatrzymano w Białymstoku zorganizowaną grupę zbrojną, której rzekomo miałem przewodzić. Co prawda wszyscy zatrzymani twierdzili zgodnie, że mnie nie znają. Kilka osób zeznało, że ledwo znali mojego brata o pseudonimie Dziad oraz jego żonę, czyli Ewę N.

Można by w tym momencie zapytać, dlaczego policja z Białegostoku aresztowała mnie dopiero pod koniec maja, skoro wszystkich członków „mojej” zorganizowanej grupy zbrojnej zapuszkowała już dwa miesiące wcześniej. Odpowiedź jest prosta. Pan prokurator myślał sobie, że swoimi sposobami coś od nich wydusi. Tamci jednak nic na mnie powiedzieć nie mogli, skoro nigdy nawet nie widzieli mnie na oczy. Dokładnie tak samo, jak świadek koronny w tej sprawie.

Jak później dowiedziałem się od niejakiego Borsuka, pan prokurator Grzegorz Gedrys zaproponował mu układ, że jeśli na mnie zezna choć cokolwiek, co potwierdziłoby wcześniejsze rewelacje świadka koronnego, to natychmiast go wypuści. Borsuk nie przystał na tak haniebny układ z prokuratorem i dostał sześć lat odsiadki. Siedzi do dziś. Natomiast jego koledzy dostali wyroki w zawieszeniu.

Kiedy w dniu mojego aresztowania policja przystąpiła do akcji zauważyłem, że filmowano mój dom z zewnątrz, a następnie również pomieszczenia wewnątrz budynku. Zgodnie z art. 146 k.p.k. czynność taka powinna być zaprotokołowana. Z jakiegoś powodu tego faktu nie zaprotokołowano, poczym przystąpiono do szczegółowego przeszukania całej mojej posiadłości. Sprowadzono też psa policyjnego do wykrywania narkotyków. Jak się w końcu okazało, nie znaleziono

wówczas nic zabronionego, czy choćby podejrzanego. Jeśli oczywiście nie liczyć pieniędzy w kwocie 120 tysięcy zł., które leżały na wierzchu i dwóch tysięcy dolarów, leżących osobno. Te ostatnie były oszczędnościami mojego wnuczka. Zabrali i to. Nie robiłem wówczas o to szumu, gdyż miałem w tym momencie prawie na wierzchu jeszcze około 200 tysięcy dolarów, których nie znaleźli, gdyż siedzieli na nich pisząc protokół.

Prokurator miał jednak w zanadru zapasowy wariant. Postawił mi zarzuty zlecenia zabicia osoby o pseudonimie Wańka, zlecenia napadu z bronią w rękę oraz kierowania zorganizowaną grupą zbrojną. Zawieziono mnie do prokuratury w Białymstoku, gdzie odmówiłem składania wyjaśnień. Naprawdę nie wiedziałem o co w ogóle chodzi. Następnego dnia, czyli 27 maja 1999 r. zawieziono mnie do białostockiego Sądu Rejonowego. Tam przedstawiono mi te same zarzuty, o których wcześniej wspominałem. Nie wyjaśniono mi bliżej, czym owe podejrzenia są uzasadnione, bo przecież w tym czasie akta były jeszcze ściśle tajne. Oczywiście – tylko dla mnie. Skoro jednak nie znałem akt, nie mogłem się przecież tłumaczyć. Zostałem aresztowany i osadzony w więzieniu w Hajnówce, 70 kilometrów od Białegostoku.

Po niespełna czterech miesiącach przewieziono mnie do więzienia do Białegostoku. Tu zaliczono mnie do tak zwanej grupy szczególnie niebezpiecznych. Osadzony zaliczony do takiej grupy N pozbawiony jest dosłownie wszystkiego, począwszy od skarpetek do czapki. Nie może też posiadać swetra, nawet gdy mrozy przekraczają 20 stopni. Krótko mówiąc jest to taki trochę ucywilizowany obóz koncentracyjny.

## Dwie wizje

W listopadzie 1999 r. zawieziono mnie do prokuratury w Białymstoku na czytanie akt sprawy. Na ten dzień czekałem sześć miesięcy. Przeglądając akta zwróciłem uwagę na to, że nie ma w nich śladu

kasety wideo nagrywanej w dniu mojego aresztowania. Okazało się, że ten fakt nabrał z czasem bardzo poważnego znaczenia. Miał też bezpośredni związek z pewną wizją lokalną, która odbyła się trzy miesiące wcześniej, 24 lutego 1999 r.

Otóż tego właśnie dnia pojawia się na scenie świadek koronny w mojej sprawie. Zjawia się, niczym Filip z konopi, tuż obok mojego domu. Razem z nim marznie w ten lutowy dzionek, w butach na cienkiej zelówce, prokurator rejonowy z Białegostoku Grzegorz Gedrys.

Wizja lokalna rozpoczyna się. Świadek koronny z panem prokuratorem przejeżdżają koło mojego domu. Są oddaleni o dwadzieścia metrów, a mój dom jest widoczny jak na dłoni. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu w protokole z wizji nie ma jednak o tym ani słowa. Przejeżdżają tuż obok i jadą dalej.

Ta bardzo ciekawa wizja lokalna rozpoczęła się obok przejazdu kolejowego i tablicy informującej o tym, że wjeżdżają do miasta Ząbki. Już po tym zorientowałem się, że pan prokurator i świadek koronny popełniają zasadniczy błąd. Polegał on na tym, że obaj nie wiedzieli, gdzie ja naprawdę mieszkam. Nie wiedzieli też tego, że Ząbki zaczynają się właśnie od mojej ulicy Klamrowej – niestety, tablica ustawiona jest od razu za przejazdem kolejowym, od którego swoją wizję lokalną rozpoczęli. Była to stara tablica, nieaktualna, no ale nowej jakoś nikt nie postawił. Ulica Klamrowa należy zaś w połowie do Ząbek, a w połowie do Warszawy. Tylko skąd taki biedak jak pan prokurator Gedrys oraz świadek koronny mogli wiedzieć o tej pułapce, skoro nigdy wcześniej w Ząbkach nie byli. Obojętnie, czy posługiwaliby się mapą Ząbek, czy też mapą Warszawy, to i tak musieli popełnić ten błąd.

W końcu jednak dojechali jakoś pod mój dom na ulicy Klamrowej. Świadek koronny wskazał moją posesję panu prokuratorowi i powiedział, że oto jest właśnie dom Lechoszesta. To ważne – właśnie niejakiego Lechoszesta, a nie jakiegoś Dziada. Pan prokurator zrobił zdjęcia mojej posesji, które dołączył do protokołu wizji. Tu znów

VI Ds 9/99/s

PROTOKÓŁ  
wizji lokalnej

Grzegorz Giedrys, prokurator Prokuratury Rejonowej delegowany do Prokuratury Okręgowej w Białymstoku, z udziałem nadkomisarza Mirosława Pogorzelskiego, funkcjonariuszy Wydziału Ochrony Świadców Koronnych, poruszając się samochodem służbowym, przeprowadził wizję lokalną na terenie Warszawy i okolic, której celem było wskazanie przez świadka koronnego Dariusza Ireneusza Jakubczaka miejsc dokonywanych przez niego przestępstw oraz adresów osób, zlecających dokonanie tychże przestępstw. Świadka przez przestąpieniem do wizji pouczono o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań (art. 233 § 1 kk) oraz o treści i konsekwencjach art. 2, 8, 9, 10, 11, 12 i 13 ustawy z 25 czerwca 1997 r. o świadku koronnym, co świadek potwierdza własnoręcznym podpisem.

*Dariusz Jakubczak*  
.....

Wizję lokalną rozpoczęto w miejscowości Ząbki dnia 24.02.1999 r. o godzinie 10.40. Świadek Dariusz Ireneusz Jakubczak zeznał, że w tej miejscowości zamieszkuje Heniek Lechoszest. Świadek zeznał, że był u w/w 3 razy w mieszkaniu i 1 raz przed domem. Dom Lechoszesta położony jest w pobliżu należącego doń półokrągłego blaszaka. Jadąc od Warszawy uczestnicy wizji wjeżdżają do Ząbek, przejeżdżają przez przejazd kolejowy. Koło kościoła Dariusz Jakubczak nakazuje skrócić w lewo na światłach. Na kolejnym skrzyżowaniu ponownie świadek nakazuje skrócić w lewo, na ul. Piłsudskiego. Ponownie świadek nakazuje skrócić w lewo, po przejechaniu przejazdu kolejowego, tuż za tym przejazdem ponownie świadek nakazuje skrócić w lewo. Uczestnicy wizji znaleźli się na ul. Jana Pawła II. Dariusz Ireneusz Jakubczak wskazuje metalowy półokrągły hangar mówiąc, że należy on do Lechoszesta. Hangar znajduje się na rogu ul. Jana Pawła II i ulicy odchodzącej w lewo. Świadek nakazuje skrócić w tą ulicę, mówiąc, że po lewej stronie tej ulicy znajduje się dom Lechoszesta. Dariusz Jakubczak wskazał na dom oznaczony tablicą "Klamerna 4" mówiąc, że zamieszkuje tam Heniek Lechoszest. Dariusz Jakubczak zeznaje, że przy furtce domu Lechoszesta jest wideofon. Następnie Dariusz Jakub-

*Dariusz Jakubczak*



popęłnił błąd, gdyż na moim domu nigdy nie było tablicy z napisem ul. Klamrowa. Ten błąd potwierdziły zdjęcia zrobione później, w czasie kolejnej wizji lokalnej.

Następnie prokurator ze świadkiem koronnym udali się na wizję lokalną do miejsca zamieszkania Ewy N., żony mojego nieżyjącego już brata. Świadek koronny rzekomo miał również bywać u Ewy N., co jest zupełnie nieprawdopodobne. Pan prokurator zrobił zdjęcia domu Ewy N. Zapisał wówczas w protokole z wizji lokalnej, iż zdjęcia robił z samochodu, będącego w ruchu.

Tylko że z oczywistych powodów to nie mogło być prawdą! Dom Ewy N. jest tak usytuowany, że nie dość, iż znajduje się w lesie, to jeszcze ulica dojazdowa do niego jest ślepa. No, ale wtedy jeszcze ani pan prokurator, ani też świadek koronny nie wiedzieli, gdzie moja bratowa naprawdę mieszka.

Ja natomiast dobrze zdawałem sobie sprawę, że domu Ewy N. nie sposób sfotografować z samochodu będącego w ruchu, więc ten zapis w protokole mnie zastanowił. Zajrzałem zatem do zdjęć z wizji lokalnej – i wtedy po prostu mnie zamurowało. Zamiast domu bratowej zobaczyłem zdjęcia okazałej willi jej sąsiada. Ten dom rzeczywiście można było sfotografować z jadącego samochodu. Gdy obaj panowie wjechali w ślepią uliczkę koło domu Ewy N., na wprost tej ulicy zobaczyli naprawdę okazałą willę jedyne go sąsiada mojej szwagierki. Nic dziwnego, że nie zwrócili uwagi na niepozorny domek, kryjący się obok w lesie. Na tym polegał błąd – i tak się wydało prostackie oszustwo.

Wyobrażam sobie, jak zbaraniał pan prokurator 26 maja 1999 r., kiedy pojechał aresztować Ewę N. Okazało się, że podejrzana wcale nie mieszka w pięknej willi, której zrobił zdjęcia w lutym. Naprawiając swój błąd zrobił zatem w dniu aresztowania zdjęcia właściwego budynku. Dołączając je do akt sprawy, myślał sobie zapewne, że nikt tej jego znamiennej pomyłki nie zauważy. Zapewne tamtych zdjęć zrobionych w dniu pierwszej wizji lokalnej nie mógł już usunąć z akt.



W sądzie podniosłem o to szum. Sąd zapytał pana prokuratora, jak to się stało. Prokurator udzielił takiej mądrej odpowiedzi, że w dniu wizji lokalnej zepsuł się jego aparat fotograficzny. Na tym sąd zaprzestał dalszych wyjaśnień co do tej kwestii, a ja nie miałem przecież prawa zadawać pytań takiej osobie jak pan prokurator. Krótko mówiąc, prokurator już na wstępie poniósł druzgocącą klęskę, a ja i tak siedziałem dalej.

## Znikająca kasetka

Już w czasie czytania akt zauważyłem, że świadek koronny nawet jednym słowem nie zeznał, iż kiedykolwiek kierowałem zorganizowaną grupą zbrojną. Oznaczało to, że decyzja o moim aresztowaniu, wydana 27 maja 1999 r. przez panią sędzię Beatę Olifieruk z Sądu Rejonowego w Białymstoku, była bezpodstawna. Aresztowany zostałem przecież właśnie z tego powodu – za kierowanie zorganizowaną grupą zbrojną. Zapewne pani sędzia myślała sobie, że nie zwrócę uwagi na to, iż w dniu wydania nakazu aresztowania użyła pewnego podstępu, sprytnie uzasadniając swoją decyzję. Numery kart w aktach, które przywołała, dawały bardzo nikłe podstawy do aresztowania. Moim zdaniem, tak na pięć procent. Natomiast karty, które perfidnie wówczas pominęła (130-131-161-162 i 193) wykluczały moje aresztowanie. Po prostu zeznania świadka koronnego na tych kartach dotyczyły nie mnie, lecz mojego brata i jakiegoś Lechoszesta.

Na marginesie tylko trzeba zauważyć, iż zaraz po tym bezpodstawnym aresztowaniu pani Beata Olifieruk otrzymała awans do sądu okręgowego. Temat awansów i karier jeszcze rozwinę.

Dalej zwróciłem uwagę na to, że aż do dnia mojego aresztowania świadek koronny nigdy nie opisał wnętrza mojego domu, w którym rzekomo miał być cztery razy. Opisał dom dopiero w dniu 6 lipca 1999 r. Zastanowiło mnie, skąd ten mitoman i kłamca mógł

w ogóle znać czy opisać wnętrze mojego mieszkania. Wtedy skojarzyłem fakty. Przypomniałem sobie kasety wideo nagrywaną przez prokuratora z Białegostoku w dniu mojego aresztowania, czyli 26 maja 1999 r., która nie znalazła się w aktach sprawy. Dlatego podczas rozprawy bardzo delikatnie zapytałem, czy świadek posiada telewizor. On zaprzeczył. Później jednak tak go zakreśliłem, że w końcu dość opornie przyznał się do obejrzenia w telewizji owej kasety wideo z dnia mojego aresztowania. Policja nagrała ją wtedy właśnie po to, żeby świadek koronny, mitoman, mógł w końcu opisać moje mieszkanie, w którym nigdy nie był. I z tego też prokurator nie wspominał nawet o tej kasecie w protokole wizji lokalnej.

Sąd mimo tej wpadki nie chciał nawet słyszeć o moim zwolnieniu. Poprosiłem więc, żeby sąd zwrócił się do którejś ze stacji telewizyjnych o dostarczenie kasety, na podstawie której świadek koronny 6 lipca 1999 r. opisał wnętrze mojego mieszkania. Kasecja była przecież stuprocentowym dowodem na to, że świadek koronny to mitoman sterowany przez białostocką prokuraturę. Niestety – „niezawisły” sąd nie dość, że nie zwrócił się do nikogo o dostarczenie tej kasety, to jeszcze tak manipulował, że dopiero na ostatniej rozprawie odczytał pismo z Centralnego Biura Śledczego na ten temat. Policja poinformowała zwięźle, że kasecja wideo z dnia mojego aresztowania została zniszczona. Po odczytaniu tego świstka sędzia z ulgą się rozśmiał. Oto ważny dowód mojej niewinności przestał istnieć. Można było skazywać.

Na marginesie trzeba zauważyć, że treść pisma Centralnego Biura Śledczego nie była do końca zgodna z prawdą, gdyż dokładnie w dniu ogłoszenia wyroku w mojej sprawie „Teleekspres” pokazał materiał filmowy z tej właśnie kasety. Dnia 15 maja 2001 r. to samo nagranie pokazała telewizja TVN. Zatem policyjna kasecja nadal istnieje i ciągle żyje swoim życiem, tylko sądu jakoś ta sprawa nie zainteresowała. Krótko mówiąc, sądy w Polsce to tylko spółdzielnie sądowo-prokuratorsko-policyjne dla karierowiczów z dyplomami prawa. Ja im w twarz pułem, a oni mówili, że deszcz pada.

## Subtelne przekręty

W pierwszym dniu przewodu sąd przesłuchiwał świadka koronnego. Początkowo odniosłem wrażenie, jakby zaczęto wreszcie poważnie podchodzić do tej całej farsy. Sąd zaczął zadawać świadkowi koronnemu konkretne pytania, a ja nie wierzyłem własnym uszom. Natychmiast poprosiłem swojego obrońcę, aby niezwłocznie dostarczył mi protokół zeznań świadka koronnego, złożonych w pierwszym dniu rozprawy. Obrońca dostarczył mi ksero tych zeznań. Dopiero po długim i żmudnym smakowaniu tych rarytasów zrozumiałem, jaki numer zrobił Sąd Okręgowy. A wybieg okazał się bardzo prosty. Sąd ponumerował te pierwsze zeznania świadka w taki sposób, że po kilka stron nosiło ten sam numer. Na przykład karta numer 3917 powtarzała się dokładnie trzykrotnie. Czy człowiek logicznie myślący uwierzy w to, że osoba pracująca na co dzień w sądzie mogłaby się tak przypadkiem pomylić? No, gdyby numer karty powtórzył się dajmy na to dwa razy, to jeszcze można byłoby to zakwalifikować jako pomyłkę. Ale trzy razy – to już nie mogła być żadna pomyłka, lecz celowe działanie z premedytacją. Po to, żeby z trzech kart o takim samym numerze wybrać później tę jedną, która sądowi przypadnie do gustu. Moim zdaniem Sąd Okręgowy nie przypuszczał, że już na drugi dzień rozszyfruję ten wybieg. Tak naprawdę, jest dla tego tylko jedno wytłumaczenie. Takie mianowicie, że to chyba Pan Bóg czuwał wtedy nade mną.

Oczywiście, na drugi dzień uprzejmie i z niejakim zażenowaniem napisałem sądowi o tym przekręcie. Sąd mi odpisał, że mnie bardzo przeprasza za zaistniałą pomyłkę. No tak, tylko że po tym kopniaku w dupę Sąd Okręgowy jakoś stracił wigor. Już nie zadawał świadkowi koronnemu takich wnikliwych pytań, jak na samym początku.

Później działania Sądu Okręgowego stały się już bardziej subtelne. Niejaka Małgorzata O., współoskarżona, od samego początku do końca twierdziła zgodnie z prawdą, że mnie nie zna i nigdy mnie nie widziała na oczy. To samo ja zeznałem. W protokole jednak znalazł się zapis, że ja znam Małgorzatę O. Wiele innych kwestii nie

zostało zapisanych słowo w słowo, zwłaszcza z tego, co mówił świadek koronny. Co ciekawe, wszystko było przekręcane na korzyść sądu, czyli na moją niekorzyść. Nigdy na odwrót. Sędzia bardzo przytomnie dyktował protokół.

Zapewniam i ręczę, że to nie są moje wymysły. Wszystko znajduje odzwierciedlenie w aktach sprawy. Już stamtąd nie zniknie. Prędzej znikną akta, co się czasem przydarza niewygodnym dokumentom, jak o tym wszyscy dobrze wiemy. Założę się, że kiedyś przypadną, w drodze między jednym sądem a drugim, albo którąś prokuraturą w zapadłym powiecie. Na przykład Sokółką pod ruską granicą. Wyparują, łącznie z informacjami od jakiegoś świra Bogdana G. – tego samego osobnika, który przekazał panu posłowi Andrzejowi Lepperowi rozmaite pierdoły na temat talibów w jakimś pegeerze. Rozwinięcie tego tematu nastąpi w drugiej części mojej książki, na razie powiem tylko tyle, że pan Lepper dał się wpuścić w maliny jak dziecko. Całe miasto wie, że dwóch magików z prestiżowej warszawskiej kancelarii, a jeden z nich to znana postać w świecie bokserkim, bo lubił trenować na swojej żonie, pięknej dziennikarce – sprowadziło z Afganistanu na Okęcie siedemnaście kontenerów z „kamieniami półszlachetnymi”. Oczywiście, że dostarczyli je talibowie, bo oni wtedy sprawowali tam rządy. Zdaje się, że afgańskie kamienie nazywały się jakoś tak: granaty, kałasze, onyksy... Kiedy transport zaczął mocno śmierdzieć, trzeba było podrzucić komuś temat zastępczy. Wypadło na pana Leppera i al-Kaidę w PGR.

## Plama na dupie

W końcu świadka koronnego dopadłem. W żaden sposób nie potrafił odpowiedzieć, dlaczego podczas wizji lokalnej nie poinformował prokuratora o tym, że przejeżdżali obok mojego domu.

Kiedy go troszkę podręczyłem, świadek się zdenerwował i powiedział: „A co?! Niech prokurator sam powie dlaczego, przecież

nagrywał wizję lokalną na kasety”. Dopiero wtedy prokurator przyznał się do tego, iż rzeczywiście nagrywał tę czynność na kasetę, której również nie zaprotokołował. Zaczął tłumaczyć się tym, że to była w końcu jego prywatna kasetka, której on zresztą też już nie ma. Myślę, że tych bredni nie trzeba komentować.

Najpierw jednak prokurator próbował się wypierać tych nagrań. W protokole rozprawy wygląda to tak:

„Na pytanie przewodniczącego: *dlaczego świadek wskazuje w czasie wizji dom Lechoszesta i nie wymienia przy tym żadnego pseudonimu, skoro wcześniej wskazał imię i nazwisko oskarżonego Henryka Niewiadomskiego pseudonim Dziad?*

Świadek zeznaje: *Odpowiadam tak od siebie. W tej sytuacji jest to dla mnie zrozumiałe, a nie zawsze zrozumiałe dla osób, które nie wiedzą na ten temat tyle co ja. Jeżeli ja przez pewien czas znam jedno nazwisko i drugie, to w pewnym momencie używam obu. Z przyzwyczajenia mogłem wskazać nazwisko Lechoszest. W czasie wizji słowa, które mówiłem, prokurator nagrywał na magnetofon.*

W tym miejscu prokurator oświadcza, że nie nagrywał wizji lokalnej na magnetofon. Miałem swój dyktafon, na który nagrywałem. Chcę dodać, że była to moja pierwsza czynność w tej sprawie. Nie jestem pewny, czy mam taśmy do dyktafonu, bo to były moje prywatne taśmy, a nagranie nie było czynnością procesową.

W tym miejscu adwokat W. Rozwens oświadcza, że zgodnie z zasadami procedury o ile taśma stanowi podstawę do jakiegokolwiek czynności śledczej, a zwłaszcza do sporządzenia protokołu, to stanowi integralną część tego protokołu i winna być załączona do tego protokołu. Są to elementarne zasady, których uczy się prawników na pierwszym roku studiów.

W tym miejscu Henryk Niewiadomski prosi o zaprotokołowanie słów prokuratora Gedrysa, który powiedział że od stycznia 1999 r. zapoznał się z dwudziestoma tomami sprawy Kucharczyka, jak również z nieszczęsnym protokołem z dnia 10 listopada 1998 r. dotyczącym Henryka Niewiadomskiego”.

Sędzia w tym momencie przerwał proces. Nie ze względu na

późną porę, ani też z innego ważnego powodu, na przykład aby uzupełnić materiały śledztwa o owe sfabrykowane przez prokuratora i policję kasety i nagrania. Uczynił tak dlatego, że podniosłem szum na sali sądowej. Zwróciłem sądowi uwagę na to, że świadkowi koronnemu najwyraźniej brakuje psychotropów, co było po nim coraz bardziej widać. Ponadto popuścił w majtki i narobił straszego smrodu, którego chyba tylko Sąd nie poczuł. Najwidoczniej świadek nie miał jeszcze wtedy założonych pampersów, co naprawiono dopiero później. Wszyscy na sali widzieli mokrą plamę na spodniach jego dresu.

Po przerwie wszyscy adwokaci oczywiście złożyli wniosek, aby świadka koronnego przebadano w związku z zażywaniem przed przesłuchaniem środków psychotropowych. Nie był to bynajmniej mój wymysł. Zażądano też, aby na rozprawie był obecny biegły psycholog, motywując to tym, że według wszystkich adwokatów świadek koronny wygląda raczej na członka gangu Olsena, niż poważnej grupy gangsterskiej. Sąd nie przychylił się jednak do wniosku adwokatów. Świadek koronny stanął przed sądem już czystutki, wymyty i w pampersach, nafaszerowany psychotropami i uśmiechnięty. Żeby znowu nie popuścić w majtki, poprosił sprawiedliwy sąd o pozwolenie składania zeznań już na siedząco, tłumacząc się bólem kręgosłupa. Znowu przeszedł do szturmu, który trwał do chwili, kiedy w organizmie zabrakło psychotropów. Wtedy ponownie przerwano proces na jeden dzień.

Następnego dnia jednak świadka koronnego nie dowieziono, ani też nawet nie usprawiedliwiono tego faktu.

Na trzeci dzień przywieźli jednakowoż wybrakowany towar, który stanął przed sądem i zaczął żalić się na bóle brzucha. Oczywiście sprawę odroczone. W międzyczasie dowieziono konkubinę świadka koronnego, która też była objęta programem dla świadków inco gnito.

Ta pani stanęła dumnie przed sądem i odwołała wszystkie wcześniej złożone w śledztwie zeznania. A zeznała między innymi, że była pod moim domem ze świadkiem koronnym po pieniądze za pobicie



Łapki. Natomiast przed sądem dosłownie nic nie potrafiła sobie przypomnieć odnośnie tego dnia, kiedy to mieli razem u mnie być. Nie potrafiła nawet powiedzieć po której stronie są Ząbki, jadąc od strony Białegostoku. W śledztwie zeznała, że była na wizji lokalnej w Ząbkach, ale dowody z tej wizji zostały w jakiś sposób usunięte z akt sprawy. Powiedziała też, że ja oraz Ewa N. rzekomo zleciliśmy świadkowi koronnemu zabicie Wańki. Przed sądem wyparła się tych wcześniejszych bredni.

Spragniony kobiety spojrzałem na nią wtedy jak mężczyzna. Ktoś inny zadawał jej w tym momencie pytania, miałem więc czas dokładnie obejrzeć jej wdzięki. O dziwo, zauważyłem, że ma ona identyczny dres, jak wcześniej świadek koronny. Spojrzałem na jej suchą dupę i zobaczyłem na niej tę samą plamę, która powstała gdy zeznawał świadek koronny. Powstała zaś na skutek popuszczenia przez świadka koronnego w majtki. Jeżeli ktoś mi nie wierzy to niech zadzwoni do mojego adwokata Kudryckiego, pod numer telefonu komórkowego 0602 340 625. On również przyjrzał się temu szczegółowi. Ta plama na dupie konkubiny świadka koronnego dała mi wiele do myślenia. Skojarzyłem, że przecież świadek koronny zeznał, iż nie widuje się ze swoją konkubiną od listopada 1998 r.

Po tym wszystkim przyjechałem pod celę i zacząłem wertować protokoły przesłuchań świadka koronnego i jego konkubiny. Owa plama na dupie pozwoliła mi stwierdzić, że zarówno protokół przesłuchania świadka koronnego jak i protokół przesłuchania jego konkubiny zostały spisane tego samego dnia 9 marca 1999 r. Protokoły podpisane były przez tego samego prokuratora, który prowadził wcześniej wizję lokalną, czyli przez pana prokuratora Gedrysa. Oboje świadkowie zostali zatem przesłuchani tego samego dnia, przez tego samego prokuratora. Przesłuchanie świadka koronnego odbyło się chyba od godziny 10.30 i trwało do 11.47 Przesłuchanie jego konkubiny Anny O. miało miejsce w tym samym dniu od godziny 12.00 do 13.10. Następnie znowu przesłuchano świadka koronnego, między godziną 13.15 a 13.20. A potem o godzinie 13.23 wznowiono przesłuchiwanie Anny O., którą zdradziła w czasie roz-

prawy stara plama na dupie. Oboje zatem działali w porozumieniu ze sobą nawzajem!

Oczywiście zaraz podniosłem w sądzie szum i złożyłem wniosek o zwolnienie mnie z udziału w tej farsie. Sąd okazał się nieugięty, choć przyznał mi rację. Pan prokurator Gedrys zmieniał kolory jak kameleon.

Wkrótce, jak mi wiadomo, zaczęto zgłaszać pretensje do mojego obrońcy o to, że to z mojej inspiracji wytyka na sali sądowej te haniebne potknięcia, ale w końcu dali mu spokój. Oni wszyscy po prostu nie mogli uwierzyć, że taki Dziad po siedmiu klasach podstawówki rozprawia się z nimi na każdym kroku. Po prostu leje ich po pysku, jak chce, jeśli można się tak obrazowo wyrazić.

## **Czy Dziad to Lechoszest?**

Wracając do owej wizji lokalnej w lutym, to rzekomo świadek koronny miał wówczas rozpoznać dom na ulicy Klamrowej numer 4 jako dom niejakiego Henryka Lechoszesta. I, według niego, miał to być właśnie mój dom. Załóżmy, że tak było. Świadek mógł przecież nie znać mojego prawdziwego nazwiska. Tylko że mówiąc o Lechoszście z całą pewnością powinien użyć pseudonimu Dziad. Dlaczego?

Otóż w tym samym dniu o godzinie 17.10 sporządzono drugi protokół i okazano świadkowi koronnemu zdjęcia. On rozpoznał na jednym ze zdjęć żołnierza Henryka Niewiadomskiego o pseudonimie Dziad. Dalej ten człowiek rozpoznał na zdjęciu numer 10 samego Henryka Niewiadomskiego – czyli, według niego, właśnie Dziada. Jak zatem trzy godziny wcześniej mógł wskazać na ulicy Klamrowej w Ząbkach mój dom – jako dom Lechoszesta, a nie Dziada? Tego świadek nie potrafił przed sądem w żaden sposób wytłumaczyć. Po prostu stwierdził krótko: „Nie odpowiem na to pytanie i już!”. Sąd sprawiedliwy oczywiście nie nakazał świadkowi koronnemu odpo-

wiedzieć na tak postawione przeze mnie pytanie. Świadek wybrał z opałów.

Zadałem mu też pytanie czy poznał kiedykolwiek człowieka, który rzeczywiście nazywa się Lechoszest? Dobrze wiedziałem, że w aktach pod numerem 7 było również zdjęcie owego Lechoszesta. Wtedy świadek odpowiedział bez wahania, że rozpoznał zdjęcie tego człowieka i dodał, że to na pewno musi być zapisane w protokole. Tylko skąd w ogóle mógł wiedzieć o prawdziwym Lechoszeście, skoro według niego Lechoszestem miałem być ja?

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że jedynym protokołem, o którym mógł wspomnieć świadek koronny, był ten z dnia 24 lutego 1999 roku. Musiało to nastąpić właśnie wtedy, właśnie w tym i tylko w tym protokole, gdyż innego nigdy nie było. To, że pan prokurator wówczas nic na ten temat w owym protokole nie zapisał, nie może oznaczać, iż świadek koronny nie rozpoznał wówczas prawdziwego Lechoszesta. Tym bardziej, że świadek koronny żalił się przed sądem na prokuratora, gdyż nie pozwalał mu przeczytać protokołów. Jak powiedział, z tego powodu jest w nich tyle pomyłek, że on sam dzisiaj nie może w to uwierzyć.

To wszystko jest zapisane słowo w słowo. Oto najprawdziwsza prawda z sali sądowej.

„Pytanie: *Dlaczego nie wspomniał świadek w pierwszych protokołach, że spotkał się z Henrykiem Niewiadomskim?*

Świadek odpowiada: *Ja chyba wspomniałem. Gdybym mógł przeżyć swoje zeznania, to mógłbym poprawić.*

Pytanie: *Od kiedy świadek kojarzył Henryka Lechoszesta z pseudonimem Dziad?*

Świadek zeznaje: *Od pierwszego wyjazdu z Rutkowskim do Warszawy. Pokazywał mi gdzie mieszka Dziad.*

Ale, co najciekawsze, świadek koronny zeznając w protokole z dnia 10 listopada 1998 r. na temat Lechoszesta pomawia go o zlecenie zabicia Wańki oraz o to, że zlecił on również napad na Łapkę. Ani razu nie użył w tym protokole słowa „Dziad”, chociaż wcześniej, w dniu 21 października 1998 roku określa już moją osobę Heńkiem

zwanym Dziadem. Podczas kolejnego przesłuchania w dniu 27 listopada 1998 r. nie tylko określa moją osobę pseudonimem Dziad, lecz mówi, że ten Heniek Niewiadomski pseudonim Dziad jest bratem Wiesława Niewiadomskiego pseudonim Wariat. Gdybym zatem to ja był Lechoszestem z protokołu z dnia 10 listopada 1998 r. i zlecał świadkowi koronnemu popełnienie przestępstw, to nie zeznał by on niewiele później, iż Henryk Niewiadomski pseudonim Dziad to brat Wiesława Niewiadomskiego pseudonim Wariat. Musiałby po prostu zeznać, bo taki wniosek wynika logicznie z zawartości kolejnych protokołów, że bratem Wiesława Niewiadomskiego o pseudonimie Wariat jest Lechoszest, który mu zlecił napad na Łapkę i zabicie Wańki.

Rzecz jasna poprosiłem świadka koronnego o wyjaśnienie tej zasadniczej sprzeczności w zeznaniach. On, jak nigdy, bez wahania wtedy wykrzyknął: „Nie wiem, po prostu nie wiem jak to się mogło stać! Widocznie musiałem być zdenerwowany i dlatego tak powiedziałem”.

Teraz już chyba zrozumieliście, dlaczego wszyscy adwokaci wystąpili z wnioskiem o udział w rozprawie biegłego psychologa, i nazwali świadka koronnego członkiem gangu Olsena, oraz żeby sąd zgodził się zbadać go na obecność w organizmie środków psychotropowych. Tak dosłownie wszystko jest zapisane w protokole rozprawy.

„Świadek zeznaje: *W tym protokole jest szereg pomyłek i przejęzyczeń. Potwierdzam ten protokół. Staralem się wszystko powiedzieć. Nie wiem, dlaczego w tym protokole określiłem Wiesława Niewiadomskiego pseudonimem Dziad. Nie potrafię tego wyjaśnić, to było z mojej strony przejęzyczenie, nerwy, no nie wiem. Nazywanie Henryka Niewiadomskiego Henrykiem Lechoszestem to według mnie czysty przypadek, podobnie jak to, że Dziadem nazywam Wiesława Niewiadomskiego i jednocześnie mieszkańca Ząbek nazwiskiem Lechoszest. Gdybym mógł przygotować się do tego przesłuchania tak na spokojnie, to by może do takich pomyłek nie doszło. Teraz wydaje mi się to niemożliwe, że robiłem takie błędy.*

Na pytanie przewodniczącego: *Skąd i dlaczego w tym fragmencie wyjaśnień wskazał pan Henryka Niewiadomskiego jako osobę o pseudonimie Dziad i jako brata Wiesława Niewiadomskiego, skoro na wcześniejszych przesłuchaniach na rozprawie kilka razy pan potwierdził, że do lutego lub marca 1999 r. był przekonany, że osoba o pseudonimie Dziad ma nazwisko Lechoszest?*

Świadek zeznaje (dosłownie): *Twierdząc, że w marcu prawdopodobnie się dowiedziałem, to wtedy wyjaśniałem w związku z nazwiskiem Lechoszest. Z tego co pamiętam to myślałem, że wówczas się dowiedziałem tego co wcześniej się dowiedziałem. To nie wyjaśniałem”*

O!

## Naciągany wyrok

Świadek koronny zeznał w śledztwie, że w dniu napadu na Łapkę Lechoszest był w domu. Wcześniej rozmawiał o napadzie na Łapkę tylko w barze „Stop”, gdzie Ewa N. miała dawać wskazówki jak to wszystko ma przebiegać i gdzie Łapka ukrywa złoto. Potem od razu świadek udał się wraz z Ewą N. do Lechoszesta do Ząbek, aby zdobyć adres Łapki. Natomiast w sądzie pojawiła się całkiem nowa wersja: że ja, tym razem już jako Henryk Niewiadomski pseudonim Dziad również byłem w barze „Stop” podczas tej rozmowy o planowanym napadzie na Łapkę. I działo się to zanim świadek koronny pojechał z Ewą N. i ze mną do Lechoszesta po adres Łapki.

W protokole wygląda to tak:

„Na pytanie przewodniczącego: *Dlaczego są takie różnice w szczegółach dotyczących motywów napadu na Łapkę, który miała zlecić raz Ewa Niewiadomska, a drugi raz Henryk Niewiadomski?*

Świadek zeznaje: *Ja miałem sobie pouklądać co i kiedy widziałem i wiem. Trochę inaczej było wówczas mówione przez Rutkowskiego, co mi przekazywał. Trudno mi to było wszystko złożyć i pouklądać w jednym dniu. Wtedy wydawało mi się to proste. Ja nie byłem przygotowany.*

Na pytanie przewodniczącego: *Jak faktycznie wyglądało zlecenie napadu na Łapkę i kto dał to zlecenie?*

Świadek zeznaje: *Odmienna wersja tego zdarzenia nastąpiła dlatego, że były nerwy i jeszcze raz nerwy. Gdybym mógł przeczytać te zeznania to wiedziałbym, gdzie się pomyliłem, ale nie mogłem czytać swoich zeznań”.*

Logicznie rzecz biorąc nie mogłem być jednocześnie, dokładnie w tym samym czasie, Heńkiem Niewiadomskim pseudonim Dziad, siedzącym nad drinkiem w barze „Stop” – i Lechoszestem, do którego ekipa pojechała przed samym napadem po adres Łapki. Na marginesie – czy to nie dziwne, że Ewa N. wiedziała, gdzie Łapka trzyma ukryte złoto, a nie знаła miejsca jego zamieszkania? Sąd jednak nie chciał logicznie myśleć i uznał mnie jednocześnie i za Dziada, i za Lechoszesta. Sprawiedliwie muszę dodać, że świadka koronnego uznał przy tym za mitomana i kłamcę, wskazując jednak ze zrozumieniem, że ten kłamał, gdyż chciał w ten sposób dopomóc wymiarowi sprawiedliwości. Tak oto sąd tłumaczył świadka koronnego przed światem.

Zostałem w końcu skazany na pięć lat za zlecenie napadu na Łapkę, cztery lata za zlecenie zabicia Wańki i w sumie na 50 tysięcy złotych grzywny oraz cztery lata pozbawienia praw publicznych. Łącznie sąd skazał mnie na siedem lat więzienia.

## **Billingi mówią prawdę**

Sąd pierwszej instancji w ogóle nie wziął pod uwagę tego, co na temat Wańki świadek koronny zeznał w śledztwie. Powiedział on, że w sprawie zamordowania Wańki miał dzwonić do Ewy N. z budki telefonicznej z Białegostoku, która znajduje się przy Hotelu Gołębiowski, a także z kawiarni „Cezar”. Miało to być dokładnie przed samymi świętami Wielkanocnymi 1998 roku. Potem świadek miał przyjechać z Ewą N. do mojego domu w Ząbkach, gdzie rzekomo odbyła się nasza rozmowa na temat zlecenia zabójstwa Wańki.



Dowodem na poparcie tych oskarżeń powinny być billingi telefoniczne. Niestety, zamiast je ujawnić jeszcze przed przesłuchaniem świadka koronnego, sąd pierwszej instancji przetrzymał je w ukryciu aż do zamknięcia przewodu sądowego. Ukradkiem i po cichu odczytał tylko niektóre z nich – ale dosłownie tak, żeby nikt nie mógł zorientować się co z nich wynika. Sąd widocznie myślał sobie, że taki numer przejdzie. Dopiero w uzasadnieniu wyroku napisano, zapominając najwyraźniej o konsekwencjach takiego faktu, iż rzeczywiście billingi telefoniczne nie potwierdziły, że świadek koronny dzwonił do Ewy N. z budki telefonicznej przy Hotelu Gołębiowski i z kawiarni „Cezar”. Ale, jak błyskotliwie stwierdził sąd, musiał zatem dzwonić z jakichś innych pobliskich budek. Z jakiegoś powodu sąd nie potrafił jednak nawet podać daty, kiedy to do Ewy N. dzwoniło z owych innych budek. Tak oto rozwiął się bez śladu dowód na to, że świadek koronny mówi prawdę o zleceniu zabicia Wańki.

Byłem już gotów w to uwierzyć, no bo czyż można dopuścić myśl, że jakiś człowiek na tak poważnym stanowisku mógłby się zdobyć na takie bezczelne rozminięcie z prawdą? I gdyby Ewa N. nie przysięgła mi na swoje dzieci, że świadek nigdy do niej nie dzwonił, byłem gotowy w słowa sędziego Mariusza Pankowca uwierzyć. Ponieważ jednak kobieta przysięgła, poprosiłem adwokata aby sam sprawdził billingi telefoniczne, których sąd nigdy dotąd nie ujawnił. Okazało się, że takich billingów nie ma.

Od razu złożyłem do prokuratora okręgowego stosowne doniesienie na sędziego Mariusza Pankowca. Z góry wiadomo, że z tego nic nie będzie. Kruk krukowi oka nie wydziobie.

Tak więc świadek koronny-mitoman kłamał co do tego, że dzwonił do Ewy N. przed samymi świętami Wielkanocnymi w 1998 roku w sprawie zabicia Wańki. Co więcej, świadek koronny kłamał po raz kolejny zeznając, że Ewa N. dzwoniła do niego do Białegostoku dokładnie dwa dni po świętach Wielkanocnych w 1998 roku, aby odwołać zlecenie zabicia Wańki. Otóż, jak wykazał billing, Ewa N. nie dzwoniła do niego ani dwa, ani też dwadzieścia dwa dni po świętach. Zadzwoiła rzeczywiście dopiero miesiąc później, w dniach 11 oraz

15 maja 1998 r. Natomiast święta Wielkanocne były tego roku 12-13 kwietnia. Jak zeznał świadek koronny, Ewa N. dzwoniła do niego w sprawie zlecenia pobicia jakiegoś prawnika z Warszawy, za co zresztą miała w swoim czasie postawiony zarzut. Sędzia Mariusz Pankowiec zapomniał o tym fakcie i napisał w uzasadnieniu wyroku, że skoro nie ma billingów telefonicznych z kwietnia 1998 roku, są natomiast z maja tego roku, to z pewnością świadek koronny musiał się pomylić. No, mógł... Tylko że świadek koronny upierał się, że przyjechał do Ewy N. osobiście dwa dni po świętach. Mogli sobie zatem do woli pogadać o pobiciach i zabijaniu, wcale nie trzeba było dzwonić. Otóż sąd jakoś nie zwrócił na to uwagi. Sędzia Pankowiec nie wyjaśnił tej kwestii, tak bardzo chciał skazać Dziada.

Ewa N. również została oskarżona wyłącznie na podstawie zeznań świadka koronnego, między innymi o wspólne ze mną zlecenie zabicia Wańki, jak i o kierowanie grupą zorganizowaną, posiadanie półproduktów do wytwarzania amfetaminy, handel fałszywymi banknotami, za zlecenie pobicia jakiegoś prawnika oraz zlecenie pobicia Łapki. Jak wynikało z akt sprawy i z billingów telefonicznych, Ewa N. musiała znać świadka koronnego, gdyż dzwoniła do niego w maju 1998 r. Natomiast jaki był charakter tej znajomości – tego nie wiem. Osobiście nie znośmę tej kobiety, chociaż była siostrą mojej żony jak i żoną mojego brata.

Ewę N. osądzono w Warszawie tylko dlatego, że nie wytrzymała do końca ciśnienia. Ja się temu wcale nie dziwię. Trzymała się dzielnie aż do ostatniej rozprawy, która odbyła się już bez jej udziału. Z tego co mi wiadomo, przeszła bardzo poważną operację serca. Krótko mówiąc, ledwo przeżyła. Oczywiście, taką osobę powinno się zwolnić z więzienia. Ewie N. nigdy jednak nie pozwolono na leczenie. Oni mają nie tylko swoich sędziów, mają też swoich lekarzy, którzy napiszą to, co pasuje panom prokuratorowi. Tak było również w moim przypadku.

Sprawę Ewy N. rozpoznaje teraz sąd w Warszawie. Ciekawe, czy sędziowie wezmą pod uwagę to, co napisałem w tej książce, czy też podążą ścieżką wydeptaną przez sędziów z Białegostoku.

## Sąd blisko Białorusi

Moim zdaniem adwokaci słusznie zauważyli, że świadek korony wyglądał na faceta z gangu Olsena. To żadne pomówienie – świadek rzeczywiście tak wyglądał. Nic nie poradzę na to, że takie mi się nasunęły skojarzenia. Te słowa zapisane są w aktach sprawy i niech w końcu społeczeństwo dowie się o tym, jak blisko Białorusi znalazła się dzisiaj Temida w Białymstoku.

Miesiąc przed moją sprawą sędzono tam grupę niejakiego Kucharza i innych. Pani sędzia Rybska w dniu ogłoszenia wyroku sypała wyrokami jak z rękawa. Za byle co piętnaście lat, trzynaście, dwanaście i tak dalej. Tylko na podstawie zeznań tego samego świadka koronnego. Dawała dokładnie tak, jak od niej chciał pan prokurator Nowak. Tu należy dodać, że Sąd Apelacyjny pozbył te horrendalne wyroki pani sędzi Rybskiej, wzięte z sufitu, przeciętnie o sześć lat dla każdego skazanego.

Jak słyszałem, jeszcze podczas procesu wyszło na jaw, że właśnie panią sędzię Rybską widziano jak wysiadała z samochodu należącego do prokuratora Nowaka. A przecież to nie jest zgodne z przepisami. Oczywiście, pan prokurator Nowak to człowiek bardzo porządny. Panią sędzię tylko podrzucił do pracy, broń Boże nigdzie nie wozil.

Niestety, w ostatnim czasie dotknęło go wielkie nieszczęście. Jego żona, której ulubionym zajęciem było ujeżdżanie samochodu po kielichu, zeszła z tego świata. Społeczeństwu Białegostoku bardzo się nie spodobało, że pan prokurator pozwalał żonie jeździć po pijanemu, chociaż miała odebrane – z tego właśnie powodu – prawo jazdy. Jako przedstawiciel prawa miał może nawet obowiązek umieszczenia żony w szpitalu odwykowym, żeby nie zagrażała innym ludziom, sobie samej, no i jego karierze wreszcie. Być może wtedy kobiecina nie zginęłaby w wypadku samochodowym. Skoro tego nie zrobił, nasuwa się brzydkie przypuszczenie, że być może godził się na to, że jego żona prędzej czy później wjedzie na drzewo? A kiedy się tego wreszcie doczekał, zaś biednej kobiecie nawet tyłek nie zdążył dobrze

ostygnąć, już go widywano z panią sędzią Rybską. Widywali się, ale chyba nie po to, aby konsultować ze sobą wyroki na domniemaną grupę Kucharza, bo to byłoby niezgodne z prawem.

Dowiedziałem się czegoś więcej o mechanizmach działania białostockiej Temidy. Otóż tak się składa, że pewien znany mi osobiście pan prokurator oskarżał kiedyś równie dobrze znanego mi osobiście sędziego o spowodowanie wypadku samochodowego. Nie wiem tylko tego, czy sędzia był wtedy pijany, czy też zabił jakąś osobę. Wiadomo jaki był wyrok, co już pozostawiam inteligencji czytelników tej książki, podobnie jak odgadnięcie nazwisk sędziego i prokuratora. Jeden drugiemu krzywdy nie zrobi. Co więcej, potrafi się odwzajemnić.

Na przykład, może w zamian skazać na siedem lat niewinną osobę. Na przykład klienta pana prokuratora, takiego jak ja.

## Uzasadnienie bezprawia

„Miał to być proces bez precedensu w historii polskiego wymiaru sprawiedliwości. Przed sądem stanął domniemany szef jednej z największych organizacji przestępczych” – zagaił uzasadnienie wyroku sąd pierwszej instancji.

Z tego najważniejszego zarzutu – kierowania „mafią wołomińską” – zostałem uniewinniony. Sądowi zostały tylko śmieci z worka pana prokuratora.

Ciężko im było z tym się pogodzić. Jakież rozczarowanie bije z każdego zdania w uzasadnieniu: „Większość wyjaśnień i zeznań świadka koronnego zasługuje na uwzględnienie z powodu ich logiki, stanowczości i konsekwencji, a także potwierdzenia ich innymi wiarygodnymi dowodami. Tak jednak nie jest w przypadku zarzutu kierowania zorganizowaną grupą przestępczą o charakterze zbrojnym. Zdaniem sądu treść i waga tego zarzutu po prostu przerosły świadka koronnego.

Jest też w tej sprawie część zeznań świadka koronnego, którym sąd odmówił wiary.

Mamy tu do czynienia z tak olbrzymimi sprzecznościami, że nie sposób przejść nad tym do porządku dziennego, zwłaszcza że tłumaczenie tych sprzeczności przez świadka koronnego jest wybitnie nieprzekonujące”.

„Wypytywany szczegółowo Dariusz Jakubczak twierdził, że od samego początku wiedział, że oskarżony Henryk Niewiadomski ma pseudonim Dziad. Nie znał tylko jego prawdziwego nazwiska, omyłkowo myśląc, że brzmi ono Lechoszest. Zdaniem Sądu stwierdzenie to po analizie materiału dowodowego ostać się nie może. Skoro wiedział o tym pseudonimie, to dlaczego w ogóle go nie użył? Czy można nazwać zbiegiem okoliczności fakt, że w protokole z dnia 10 listopada 1998 r. trzynastokrotnie wskazuje na Wiesława Niewiadomskiego jako osobę o pseudonimie Dziad, jednocześnie określając mieszkańca Ząbek jako Lechoszesta?”

W trzy godziny po zakończeniu wizji lokalnej świadek koronny został przesłuchany przez tego samego prokuratora, który uczestniczył w wizji. Treść tego protokołu jest co najmniej zaskakująca. Mianowicie wskazując na okazane mu zdjęcie świadek koronny stwierdza, że rozpoznaje na nim Dziada czyli Henryka Niewiadomskiego, brata nieżyjącego Wiesława Niewiadomskiego. Jeszcze raz należy tu przypomnieć, iż kilka godzin wcześniej tego samego dnia pokazując dom Henryka Niewiadomskiego podał on, że jest to dom Henryka Lechoszesta i przy tej okazji nie pojawia się w ogóle Dziad. Skąd taka metamorfoza u świadka koronnego?

Z tych wszystkich względów zdaniem Sądu nie sposób obdarzyć wiarą twierdzeń świadka koronnego, iż wskazał jako Dziada osobę Wiesława Niewiadomskiego jedynie przez pomyłkę wynikającą ze zmęczenia czy zdenerwowania”.

A jednak, sąd skazał mnie opierając się tylko na tym właśnie protokole z dnia 10 listopada 1998 r., który sam poddał w wątpliwość, i który prokurator w przypiływie rozpaczy nazwał na sali

sądowej „nieszczęsnym”. Co nakazałem sądowi dokładnie zaprotokołować.

Im dalej w las, tym więcej takich purchasek.

## Hieny i szakale

W uzasadnieniu wyroku sąd pierwszej instancji uznał, że świadek koronny kłamał. Nie potrafił logicznie wytłumaczyć, dlaczego w dniu wizji lokalnej przejechał obok mojego domu i nie wskazał go. Sąd podkreślił, że nie sposób przejechać ulicą Łodygową, która bezpośrednio krzyżuje się z trasą białostocką, i nie zauważyć domu Henryka Niewiadomskiego.

Skoro tak, to powinien konsekwentnie przyjąć, że efekt wizji jest tylko manipulacją prokuratora. Prokurator bowiem, jak zeznał świadek koronny przed sądem, w dniu wizji lokalnej powiedział mu wyraźnie, że jadą na wizję lokalną do Ząbek, do Henryka Niewiadomskiego pseudonim Dziad. Mimo tego w tym właśnie dniu, czyli 24 lutego 1999 roku, świadek koronny wskazał na mój dom i powiedział, że to jest dom Lechoszesta.

Sąd pierwszej instancji zapomniał o tym i w uzasadnieniu naiwnie tłumaczył świadka koronnego, że najwidoczniej w dniu wizji lokalnej nie trafił on pod dom Henryka Niewiadomskiego. I z pewnością jeszcze wtedy nie wiedział, że bywał cztery razy u słynnego na całą Polskę Dziada. Gdyby wiedział, że jest gościem samego Dziada, to z pewnością lepiej zapamiętałby drogę do jego domu. A tak – na pewno po prostu nie zwrócił uwagi.

Cytuję: „Gdyby Jakubczak wiedział, że to Henryk Lechoszest z Ząbek jest szefem grupy przestępczej i nosi pseudonim Dziad, to prawdopodobnie lepiej też zapamiętałby drogę do jego domu. Dom Henryka Niewiadomskiego znajduje się bowiem w najbliższej odległości od ulicy Łodygowej, będącej łącznikiem Ząbek z drogą głów-



na Warszawa – Białystok. W czasie wizji lokalnej w dniu 24 lutego 1999 r. osoby biorące w niej udział przejechały w pobliżu domu przy ulicy Klamrowej 4 po to, by krążyć po Ząbkach i wielokrotnie skręcając w lewo znaleźć się na ulicy przy której mieszka Henryk Niewiadomski. Świadek koronny stwierdził, że uczynił tak celowo, by nikt ich nie zauważył. Lecz tłumaczenie takie wydaje się nielogiczne. Wydaje się, że świadek koronny nie traktował priorytetowo miejsca zamieszkania Henryka Lechoszesta i dlatego tak właśnie prowadził uczestników wizji lokalnej do miejsca jego zamieszkania”.

Wszyscy pewnie znają stary dowcip o tym, jak pewien pijak nasrał pod drzwiami, zapukał i poprosił o papier. Miał to być szczyt bezczelności. Jak zatem można określić postępowanie sądu, który wypisuje coś takiego?

Sąd, który wszelkie wątpliwe kwestie powinien wyjaśnić na rozprawie, tłumaczy w uzasadnieniu wyroku kręactwa świadka koronnego – oszusta i mitomana! Pomimo tych wszystkich sprzeczności, które wykazałem sądowi czarno na białym, i pomimo tego, że proponowałem kaucję dwóch milionów dolarów, aresztu mi nie uchylono. Mimo tego, że udowodniłem sądowi pierwszej instancji, iż świadek koronny znał moje mieszkanie tylko z nagrania wideo, które mu pokazał prokurator, o tym fakcie też „zapomniano”. Sąd napisał w uzasadnieniu wyroku: „Jak świadek koronny mógłby opisać dom Henryka Niewiadomskiego, gdyby nie był w nim cztery razy?”. Odpowiedź jest prosta. Najpierw obejrzał w dniu 27 maja 1999 roku nagranie wideo, a moje mieszkanie opisał dopiero 6 lipca. A więc – dokładnie 41 dni przed tym, jak złożył zeznanie na ten temat, obejrzał sobie w telewizji jak wygląda wnętrze mojego domu. Przyznał się do tego przed panem, panie „niezawisły” sędzio i przed całym „niezawisłym” składem sędziowskim. Dlaczego więc całkowicie pominięto ten fakt w uzasadnieniu?

A przecież wszystko stoi czarno na białym w protokole z rozprawy:

„Na pytanie: *Czy świadek widział nagranie z wizji lokalnej odnośnie domu Henryka Niewiadomskiego?*

Świadek odpowiada: *Widziałem w telewizji.*

Na moje pytanie: *Dlaczego świadek w pierwszym protokole przesłuchania nie opisał mojego domu?*

Świadek odpowiada: *Ja powiedziałem, że mogę to zaraz zrobić, ale policja przełożyła to na inny termin, bo mieli co innego do załatwienia. To nie moja wina”.*

Dziennikarze dobrze rozeznali się w tej farsie. Niestety, nigdy żaden z nich nawet jednym słowem o tym nie napisał. Kiedy prokurator mnie oskarżał, wszyscy słuchali jak baranki. Gdy ja przemawiałem, coś zawsze wymiało ich z sali. Takie zjawisko, moim zdaniem, nazywa się solidarnością zawziętego sądu i zawziętych dziennikarzy, których określiłbym sępami. Chociaż, z racji tego, że lubię ptaki, być może właściwsze byłoby nazwanie ich hienami. Albo szakalami, do wyboru.

Był kiedyś w drugim programie telewizji reportaż o mnie. Wypowiadała się tam pewna czarna owca, dziennikarz z pisma „Polityka”, który to wiele lat temu rzekomo był u mnie w domu i podobno widział tam moich żołnierzy, jak czyszczą broń. Zapomniał tylko od razu zawiadomić policję. Przez całe lata ukrywał w swoim sumiennym dziennikarskim serduszkach tak makabryczny widok, jakiego wówczas miał doświadczyć. W końcu wydusił to z siebie. A przecież ten mitoman był w tamtym czasie dziennikarzem śledczym.

Może gdyby moi rzekomi żołnierze przeczyścili temu dziennikarzowi dupę albo kłamliwy dziób, tylko nie wyciorami, od razu donieśliby policji że w moim domu jest tyle zardzewiałej broni, a nie czekałby z tym siedem lat.

Tak oto rodziły się mity. Tak pojawił się Dziad – wymyślony przez dziennikarzy kit. Przecież w końcu musieli kogoś wykreować na wroga publicznego numer jeden, z którym dzielnie walczy cała polska policja. Wykreowali Pershinga, Dziada, jeszcze paru innych. Przez głupią wpadkę dziennikarza nie dość że zostałem bandziorem, to jeszcze i Dziadem. Potem nie wypadało im już tłumaczyć się z tego, że Dziadem nie jest Henryk Niewiadomski, tylko jego brat Wiesław. Wymyślili zatem mojemu bratu intrygujący pseudonim Wariat.

## Sprzeczności

Sąd pierwszej instancji w uzasadnieniu wyroku sam siebie zapytuje o to, dlaczego świadek koronny przyjechał po pieniądze za pobicie właśnie do mnie, a nie do Ewy N. Dlaczego więc nie wyjaśnił tej kwestii, kiedy przed sądem stał świadek koronny-mitoman? Po prostu nie wyjaśnił i już. Czy tak postępuje niezawisły sąd? Z pewnością nie. Tak postępuje tylko sędzia, który domniemywa, a nie wyjaśnia. Tym bardziej, że świadek koronny nigdy nie zeznał, że ze mną rozmawiał na temat zlecenia pobicia Łapki, ani też o pieniądzach za tę usługę.

Powstaje wreszcie pytanie, skąd świadek koronny w ogóle wiedział o tym, że ma być jakiś odwet na mężczyźnie o pseudonimie Wańka. Otóż jak zeznał on w śledztwie i przed sądem – dowiedział się od niejakiego Mirosława Rutkowskiego, że Ewa N. w dniu pogrzebu swego męża miała powiedzieć, że za jego śmierć wini Wańkę, że będzie na nim odwet i że ona tego tak nie zostawi. Świadek koronny powiedział, że zabicie Wańki miało się odbyć przed szkołą jego syna, dokładnie dwa dni przed świętami Wielkanocnymi 1998 roku. Dokładnie taki właśnie zarzut – zlecenia zabicia Wańki przed szkołą jego syna – prokurator postawił mi w dniu 10 listopada 1998 roku.

Pan prokurator powinien jednak najpierw sprawdzić, czy dwa dni przed feriami syn Wańki był w szkole. Niestety, nie sprawdził, ani on, ani sąd. Okazało się, że pan prokurator nie sprawdził nawet tego, czy Wańka w ogóle ma syna, który chodzi do szkoły.

Świadek koronny zeznał wyraźnie, że nigdy Wańki nie widział, nawet na zdjęciu. Nigdy nie był pod szkołą, gdzie miało dojść do egzekucji. Nigdy też nie podał najmniejszego szczegółu dotyczącego sposobu jej wykonania, ani też ucieczki z miejsca zbrodni, gdyby sam przeżył. Zeznał natomiast, że zabicie Wańki miało się odbyć dokładnie w tym samym dniu, kiedy jego dziecko przypadkiem nie zostało dowieziona do szkoły. Nie doszło do zabójstwa, bo Wańka z uwagi na zbliżające się ferie nie przywiózł dziecka do szkoły. Jak

powiedział w śledztwie, ja miałem się tym rzekomo zdenerwować. Natomiast przed sądem zeznał, że to on denerwował się tego dnia, gdyż dotąd nie wiedział, że chodzi o morderstwo. Zaczął więc wtedy krzyzczeć, że nie zna się na broni i nie umie strzelać. Ja miałem krzyknąć, że to ja jestem od rządu, a on od roboty. Miałem mu też rzekomo powiedzieć, że dostanie broń gładkolufową i z niej na pewno trafi. Tak właśnie wyglądają zeznania świadka koronnego, mitomana i prostytutki w jednej osobie. prostytutkę, którą jak się później okazało, kilka dni przed tą hecą z Wańką niejaki Myszkowski wywiózł, podobno za moją zgodą, do lasu i tam strzelał sobie obok niego, wymuszając na nim 20 tysięcy złotych. Czy to była prawda, tego nie wiem, ale dokładnie tak zeznała ta prostytutka. A przecież w tym samym czasie to właśnie ja osobiście miałem zlecić tej ryjoświni napad na Łapkę, za który rzekomo nie wypłaciłem mu pieniędzy. Czy ktoś widzi choć trochę logiki w tych bredniach?

Co ciekawe – świadek koronny zeznał, że zaraz po napadzie na Łapkę Mirosław Rutkowski przywiózł go do mnie pociągiem. Miałem mu wtedy na osobności zlecić zabicie kogoś. Chodziło o utrzymanie tego w tajemnicy przed Rutkowskim. A przecież sam później zeznał, że właśnie Rutkowski miał gwarantować za niego w sprawie zabicia Wańki. I miał się bardzo zdenerwować gdy usłyszał, że chodzi tu o zabójstwo. Ja też się miałem denerwować.

Otóż oświadczam, że to nieprawda, że ja się kiedykolwiek z powodu tej ryjoświni zdenerwowałem. Ja się dopiero na prokuratora i na sąd zdenerwowałem z tego powodu, że uwierzyli w te kosmiczne brednie, w które nie sposób uwierzyć. Uwierzyli, bo bardzo chcieli.

Przeczytajcie te fragmenty protokołu rozprawy, może ktoś z was też uwierzy:

„Na pytanie prokuratora: *Czy w rozmowach na temat zabójstwa Wańki jednocześnie brali udział Ewa Niewiadomska i pan Henryk pseudonim Dziad?*

Świadek odpowiada: *Nie jestem pewny czy wtedy z nim rozmawiałem, czy przy rozmowie byli oboje oskarżeni i czy jednocześnie rozmawiałem z nimi na ten temat. Dokładnie już nie pamiętam. Gdy do-*

wiedziałem się, że mam dokonać morderstwa, to powiedziałem czy nie lepiej podłożyć tam jakieś tam ten, wysadzić, bo się bałem, a pan Heniek powiedział, że od myślenia to są oni, a ja mam wykonać. Nie chcąc wykonać tego zlecenia mówiłem, że nie znam się na broni, że nie wiem, jak się strzela, że muszę mieć czas. Rozmowa się skończyła jak pan Henryk powiedział, że dostanę broń gladkolufową i z niej na pewno trafię.

Pytanie: Czy może pan określić szczegółowo, co przy rozmowie o zabójstwie Wańka mówiła Ewa Niewiadomska, a co pan Henryk?

Świadek odpowiada: Z tego co pamiętam to rozmowę prowadziłem z panem Henrykiem pseudonim Dziad. Dokładnie rozmowy nie pamiętam. Bałem się, myślałem że chodzi o pobicie czy ściągnięcie pieniędzy.

Pytanie: Czy pani Ewa Niewiadomska wydała polecenie zabicia Wańki?

Świadek odpowiada: Gdy jechaliśmy do pana Henryka to była taka rozmowa, że mam wykonać jakieś zlecenie, że dostanę pieniądze. Z tego co na dzień dzisiejszy pamiętam, to raczej pani Ewa poleciła mi to zlecenie.

Pytanie: Dlaczego tak doświadczony człowiek jak Henryk Niewiadomski zlecił zabójstwo „żółtodziobowi”?

Świadek odpowiada: Zaproponował to Mirosław Rutkowski, który był znany Henrykowi i Ewie, jak również znana im była Małgorzata O. Powiedzieli oni, że za mnie ręcą, iż wykonam to zadanie. Kiedy Ewa zaproponowała mi to zlecenie zdziwiłem się tym, bo nie dokonywałem podobnych czynów. Może dla tych osób takie zlecenie jest proste, ale ja nie umiem czegoś takiego wykonać.

Na pytanie oskarżonego: Dlaczego świadek był zdenerwowany?

Świadek odpowiada: Od pana Henryka dowiedziałem się co to ma być za robota. Każdy by się zdenerwował. Myślałem, że chodzi o zwrot pieniędzy albo co, ale nie o zabójstwo.

Pytanie: Czy miał pan zamiar to wykonać?

Świadek odpowiada: Nie. Ja wiedziałem, że gdy powiem, że nie wykonam tego zlecenia, to zostaną odstrzelony, bo znam zlecenie i stanowię zagrożenie.

Pytanie: *Co pan zamierzał w związku z tym zrobić?*

Świadek odpowiada: *Gdyby była możliwość uciec, to bym to zrobił. Zostałem postawiony przed faktem dokonanym i nie miałem wyboru. Miałem możliwość albo za to zapłacić albo uciec.*

W tym miejscu Henryk Niewiadomski oświadcza, że świadkowi brakuje psychotropów”.

Ale, już dość tych bzdur!

Jak się domyślacie, ani Mirosławowi Rutkowskiemu, ani też Małgorzacie O. prokurator nie postawił zarzutu udziału w planowanym zabójstwie Wańki.

Co jednak najciekawsze, w mojej farsie świadek koronny nie miał w ogóle statusu świadka koronnego! Prokurator celowo podłożył do akt sprawy dokument potwierdzający status świadka koronnego, lecz w innej sprawie. Ja to odkryłem, niestety dopiero w dniu zamknięcia przewodu sądowego, i postawiłem wniosek o wyjaśnienie tej kwestii. Sąd pierwszej instancji nigdy tej kwestii nie wyjaśnił.

W ostatnim czasie ten sam sędzia białostocki, który skazał mnie na cztery lata za rzekome zlecenie zabicia Wańki, uniewinnił inną osobę, pomawianą przez tego samego świadka koronnego o zlecenie dwóch morderstw. Osoba ta odpowiadała z wolności. Moim zdaniem, w sprawie tej osoby nie było zapewne żadnych nacisków z zewnątrz, jak w moim przypadku. Dlatego też zapadł sprawiedliwy wyrok.

## **Sąd na mieliźnie**

Sąd pierwszej instancji napisał w uzasadnieniu wyroku, że świadek koronny kłamał dla dobra wymiaru sprawiedliwości. Co oczywiście jest bzdurą, bo gdyby tak rzeczywiście było to z pewnością nie przyznał by się do obejrzenia nagrania wideo z dnia 26 maja 1999 r. i nie wydałby prokuratora, że nagrywał wizję lokalną na kasetę. Nie powiedziałby także tego, że rozpoznał w dniu 24 lutego 1999 r. prawdziwego Lechoszesta i jeszcze wielu innych kwestii.



Krótko mówiąc to właśnie dzięki obywatelskiej postawie świadka koronnego wyszło na jaw tyle manipulacji. Czy tak zeznaje osoba, która chciała zrobić dobrze wymiarowi sprawiedliwości, a zwłaszcza prokuratorowi? Moim zdaniem, gdyby świadek mógł mówić, to powiedziałby znacznie więcej. Przecież ujawnił na przykład, że w dniu wizji lokalnej prokurator mu powiedział, że jadą do Henryka Niewiadomskiego pseudonim Dziad – czyli do osoby, na którą świadek koronny nigdy nic nie zeznał. Natomiast świadek mówił dotychczas wyłącznie o Lechoszeście. Od samego początku to właśnie jego pomawiał o zlecenie napadu na Łapkę i o zlecenie zabicia Wańki. Jakim więc cudem prokurator Gedrys mógł określić osobę, do której jechał ze świadkiem na wizję lokalną, jako Henryka Niewiadomskiego?

Zrobił to, ponieważ to on sam obmyślił już od samego początku, aby wszystko, co zeznał świadek koronny na prawdziwego Lechoszesta, przetrzucić na głowę Henryka Niewiadomskiego. To dlatego w dniu wizji lokalnej powiedział do świadka koronnego, że jadą do Niewiadomskiego-Dziada. Potem świadek zeznał o tym fakcie zgodnie z prawdą. Natomiast to, że świadek koronny był nierozgarnięty, to już inna sprawa. Kiedy w śledztwie powoływał się na telefoniczne budki stacjonarne, z których rzekomo dzwonił do Ewy N., to na pewno sobie wtedy myślał, że takie aparaty nie posiadają billingów. Dlatego tak głupio palnął. Zapewne nie zdawał sobie też sprawy z tego, jaki kłopot sprawi tym sędziemu Mariuszowi Pankowcowi, który potem będzie musiał przecież wytlumaczyć ten fakt w uzasadnieniu wyroku. Oczywiście prokurator nie garnął się do ujawnienia tych bilingów i nie zrobił tego nigdy. To nikt inny, jak właśnie ja natarczywie zasypywałem sąd wnioskami, aby zdobył te billingi i je w końcu ujawnił. Nie zrobiono tego, bo po co? Przecież nie było w nich nic do ujawnienia, oprócz tego, że świadek koronny to mitoman.

Z tych właśnie powodów już po zapadnięciu wyroku oskarżyłem o łamanie prawa nie tylko sędziego Mariusza Pankowca, ale też panią sędzię Beatę Olifieruk oraz wybitnego twórcę tego spektaklu, proku-

ratora Grzegorza Gedrysa. Przy okazji także jego ofiarę, czyli świadka koronnego. Tęgo ostatniego o to, że nakłaniał do złożenia fałszywych zeznań swoją konkubinę Annę O. – zgodnie z tym, co sąd pierwszej instancji napisał w uzasadnieniu wyroku.

W tym wiekopomnym pomniku myśli prawniczej sędziego Mariusza Pankowiec pisze tak: „Mamy tu do czynienia z tak olbrzymimi sprzecznościami, że nie sposób przejść nad tym do porządku dziennego. Zwłaszcza, że tłumaczenie tych sprzeczności przez świadka koronnego jest wybitnie nieprzekonywujące. Tak więc, w jednej i tej samej sprawie w znacznej części należy przyjąć, że obdarzyć ich wiarą nie sposób. Zdaniem Sądu w takim stanowisku nie ma wewnętrznej sprzeczności, albowiem dana osoba składając zeznania – zwłaszcza tak obszernie – może część faktów przedstawić zgodnie z zaistniałym stanem faktycznym, a część faktów stworzyć, bądź odmiennie przedstawić ich przebieg”.

Oto, jak odważne i nowatorskie stanowisko zaprezentował sędzia Mariusz Pankowiec, który wtedy, gdy to pisał, jeszcze nie mógł przypuszczać, że tak szybko wyjdą na jaw wszystkie mielizny jego wyroku, choćby te z billingami telefonicznymi.

Pani sędzia Beata Olifieruk zaraz po moim aresztowaniu stanęła dumna jak paw i udzielając wywiadu jednej z gazet zapewniła, że ona już teraz jest na sto procent przekonana o winie Dziada i może spać spokojnie. Ciekawe, jak taka postawa ma się do zasad etyki sędziowskiej, nie mówiąc już o przepisach kodeksu karnego, który zakłada domniemanie niewinności, póki nie udowodni się winy?

Ciekawe też jak będzie się spało tej pani, kiedy publicznie zostały ujawnione kręfactwa z akt sprawy. Przecież o zlecenie napadu na Łapkę, za co zostałem skazany, świadek koronny pomówił nie mnie, lecz mojego brata Wiesława Niewiadomskiego, określając go wówczas pseudonimem Dziad. Zeznał wtedy stanowczo, że Dziad nie żyje. Być może tylko dlatego zdecydował się świadczyć przeciwko niemu. Jakże więc pani sędzia mogła być przekonana o winie Dziada – skoro Dziad, który według świadka koronnego zlecił napad na Łapkę, już w owym czasie nie żył?

Nie da się tutaj nic zmanipulować, bo wszystko stoi jak byk w protokole rozprawy:

„Pytanie: *Dlaczego świadek zeznał, że Dziad został zastrzelony?*

Świadek zeznaje: *Miałem na myśli Wiesława i to było w formie przejęzyczenia. Pana Wiesława nigdy nie kojarzyłem z panem Henrykiem pseudonim Dziad. Mówiąc o panu Wiesławie myślałem o masie spraw, by ich nie pominąć. Mogły mi się trafić przejęzyczenia.*

Pytanie: *Dlaczego świadek zeznał 10 listopada 1998 roku, że Dziad został zastrzelony?*

Świadek zeznaje: *Ja nigdy nie twierdziłem, że Dziada zastrzelono, może zaszło to na skutek mojej pomyłki. Nigdy nie utożsamiałem pana Henryka z nieżyjącym.*

Pytanie: *Czy w listopadzie 1998 roku był świadek przekonany o tym, że osoba określana pseudonimem Dziad to nieżyjący już Wiesław Niewiadomski?*

Świadek odpowiada: *Nie, nie. Na pewno nie.*

Pytanie: *Czy jest to pana zdaniem zbieg okoliczności, że w początkowych zeznaniach wskazuje pan jako osobę o pseudonimie Dziad Wiesława Niewiadomskiego, jednocześnie określając mieszkańca Ząbek z ulicy Klamrowej jako Lechoszesta?*

Świadek odpowiada: *Byłem wtedy zdenerwowany. Myśląc o Henryku, użyłem innego pseudonimu. Ponadto w czasie przesłuchania bałem się tej grupy, do tej pory się boję. Nerwy dały znać o sobie”.*

Napisał o tym tygodnik „Polityka” z dnia 28 kwietnia 2001 r.: „Nawet Wysoki Sąd uznał i w końcu orzeczono, że świadek koronny donosząc na Dziada miał na myśli nieżyjącego już Wiesława N. brata Henryka Niewiadomskiego”.

Tak oto, według domniemań najpierw prokuratora., a później „niezawisłych” sędziów, jako Henryk Niewiadomski o pseudonimie Dziad miałem jednocześnie być Wiesławem N. i Lechoszestem. To jednak prokurator wymyślił, żeby zrobić ze mnie Lechoszesta, a stu-procentowym na to dowodem jest fakt, że świadek koronny pomówił prawdziwego Lechoszesta o popełnienie zarzucanych mi przestępstw. Dlaczego więc prokurator w śledztwie nigdy nawet nie przesłuchał

owego Lechoszesta, a przynajmniej nie powołał go na świadka? Dopiero ja sam prywatnie ustaliłem kto jest tym Lechoszestem i powołałem go na świadka. Pan prokurator po prostu ukrywał tego człowieka, którego jednak, na moje szczęście, nie mógł całkiem usunąć z akt sprawy. Zapewne miał nadzieję, że nigdy nie potrafię ustalić, kto to jest prawdziwy Lechoszest. Jeszcze nawet na rozprawie próbował to uniemożliwić:

„Pytanie przewodniczącego składu: *Dlaczego w czasie pierwszego przesłuchania nazwał świadek Henryka Niewiadomskiego Lechoszestem, a Ewę Niewiadomską żoną Dziada?*

Świadek zeznaje: *To było pierwszego dnia, musiałem sobie poukladać, przypomnieć wszystko co na tamten dzień pamiętałem. Po prostu się przejęczyłem, myśląc o niektórych osobach.*

Pytanie przewodniczącego składu: *Czy mężczyzna przedstawiony świadkowi jako Lechoszest miał pseudonim?*

(Tu proszę zwrócić uwagę na to, że sędzia dopuścił się manipulacji. Świadek koronny nigdy nie zeznał, że kiedykolwiek poznał Lechoszesta).

Świadek zeznaje: *Nikt mi nie przedstawił, że to jest Lechoszest. Była rozmowa, że to jest willa Lechoszesta, że skoro tu mieszka, to ma nazwisko Lechoszest. Lecz to był mój domysł.*

Pytanie: *Czy świadek poznał mężczyznę o nazwisku Lechoszest?*

Prokurator: *wnosi o uchylenie pytania*”.

Tego chyba nie trzeba komentować.

Najwyraźniej zapomniała również pani sędzia Olifieruk o tym, że jej świadek 13 stycznia 1999 r. zeznawał przed Sądem Okręgowym w sprawie uzyskania statusu świadka koronnego. Ani jednym słowem nie wspomniał wtedy o mnie, ani też o Henryku Lechoszeście. Nie padło żadne stwierdzenie, że takie osoby należały do zorganizowanej grupy zbrojnej. Świadek przypomniał sobie o tym dopiero 6 lipca 1999 r. Na jakiej zatem podstawie zostałem aresztowany właśnie pod zarzutem udziału w takiej zorganizowanej grupie zbrojnej?

Krótko mówiąc, myślę że ta sędziowska kariera zakończy się po ujawnieniu tych skandalicznych faktów społeczeństwu i organom

ścigania. Zapewniam też panią sędzię, że z chęcią spotkam się z nią przed sądem, jeśli oczywiście odważy się mnie oskarżyć o pomówienie. Piszę to wszystko właśnie z tą myślą, nie zapominając bynajmniej o innych sędziach, którzy ferowali wyroki w mojej farsie.

## Apelacja

Sąd pierwszej instancji z wzruszającą szczerością wyznał w uzasadnieniu wyroku, że bardzo długo zastanawiał się czy można mi przypisać zlecenie napadu z bronią na Łapkę. W końcu uznał, że tak. Tyle cennego czasu sąd stracił nad bzdurą, która nawet w scenariuszu najgłupszej komedii nie miałaby racji bytu. Moim zdaniem, to najpewniej sąd pierwszej instancji długo myślał raczej nad tym, czy się za bardzo nie ośmieszy. Jak widać z efektów, nic nie wymyślił.

Sąd Apelacyjny uznał taki werdykt za absurd, nie uwierzył w te wszystkie brednie, po czym i tak skazał mnie na pięć lat za zlecenie pobicia Łapki i na cztery lata za zlecenie zabicia Wańki. Nie pomyliłem się: na pięć lat za udzielenie pomocy w pobiciu Łapki, który nawet nie miał obdukcji lekarskiej – a nie jak sąd pierwszej instancji na te same pięć lat więzienia za zlecenie napadu z bronią w rękę na Łapkę. Sąd Apelacyjny nakazał też zwrócić sto tysięcy złotych zagrabionej gotówki oraz uchylił cztery lata pozbawienia praw publicznych.

Tak więc zostałem skazany na pięć lat za to, że ktoś potrząsnął Łapką. Gdyby rzeczywiście chodziło o napad z bronią w rękę, jak chciał sąd pierwszej instancji, to bym się z takim wyrokiem pogodził. Sąd Apelacyjny zmienił jednak kwalifikację na udzielenie pomocy w pobiciu. I... też wsadził mnie za to do więzienia na pięć lat! Natomiast inną osobę ten sam Sąd Apelacyjny skazał za to samo na rok więzienia. Czyż to nie jest niesprawiedliwość wołająca o pomstę do nieba?!

Przy czym Sąd Apelacyjny oparł się na tych samych nieistniejących dowodach, co sąd pierwszej instancji: billingach telefo-

nicznych. Sędziowie dobrze wiedzieli, że ich po prostu nie ma. A jednak bezkrytycznie przyjęli, że sąd pierwszej instancji szczegółowo i drobiazgowo wszystko przeanalizował. W tym również kwestię kontaktów telefonicznych Ewy N. ze świadkiem koronnym. I już choćby ten fakt stanowi stuprocentowy dowód na nadużycie popełnione przez Sąd Apelacyjny. Jestem to w stanie udowodnić. Tu nie jest potrzebne moje słowo na to, że piszę prawdę.

Na początku kwietnia 2002 r. otrzymałem wreszcie z Sądu Apelacyjnego w Białymstoku uzasadnienie wyroku. Podpisała je pani sędzia Żywolewska-Ławniczek, którą pieszczotliwie nazwałem Czarną Owieczką Dolly. To z racji jej uroczych kędziorków. Resztę, zwłaszcza w kwestii tych kędziorków, pozostawiam waszej wyobraźni.

W uzasadnieniu wyroku Czarna Owieczka Dolly pisze: „Prawdą jest, że prokurator z wnioskiem o dopuszczenie świadka koronnego do składania zeznań wystąpił tylko raz w innej sprawie przeciwko Leszkowi Kucharczykowi”. Zatem nie kłamałem, że prokuratura białostocka przyszła do mojej farsy świadka koronnego ustanowionego w innej sprawie. Człowieka, który według polskiego prawa nie mógł wystąpić jako świadek koronny w mojej sprawie. Podstawiony świadek koronny to nie żaden świadek, lecz zwykły oszust współpracujący z prokuratorem i sądem. Oczywiście, nie dotyczy to ustroju prawnego polskich spółdzielni sądowych.

W dalszej części nasza Owieczka sama sobie przeczy. Najpierw pisze, że: „W polskim procesie karnym nie istnieje żadna reguła dowodowa, która uzasadniałaby pogląd, że zeznania jednego świadka są niewystarczającą podstawą do skazania”. A kawałek dalej: „Sąd uznał, że w wypadkach, w których świadek koronny relacjonował zdarzenia słyszane od innych osób, niezbędne było potwierdzenie jego wypowiedzi innymi dowodami”. Mimo tych zastrzeżeń, brednie świadka koronnego zostały przełknięte i skonsumowane. Z jakiegoś powodu Dolly w końcu zapomniała, że nie ma do czynienia ze zwykłym bezstronnym świadkiem, tylko z pospolitym bandziorem, który stał się świadkiem nie przez przypadek.



Sędzia Mariusz Pankowicz w uzasadnieniu swojego wyroku napisał, że w sprawie zabójstwa Wańki świadek koronny dzwonił do Ewy N. z Białegostoku. Przyznał jednocześnie, że nie dzwonił jednak z tych budek telefonicznych, na które powoływał się zarówno w śledztwie, jak i przed sądem. Dlatego nie odnaleziono billingów, które słowa świadka mogłyby potwierdzić. O tej zasadniczej sprzeczności powiadomiłem oczywiście Sąd Apelacyjny, czyli Owieczkę Dolly. Ona jednak zapomniała o tym fakcie, a przecież miał on kluczowe znaczenie.

Ponieważ jednak jej się zapomniało, toteż napisała w uzasadnieniu: „Potwierdzają się też inne okoliczności, szczegółowo i obszernie omawiane przez sąd pierwszej instancji, w tym kwestia kontaktów telefonicznych Ewy N. ze świadkiem koronnym”.

Dalej nasza Owieczka stwierdza: „W barze „Stop” świadek koronny otrzymał od Ewy Niewiadomskiej 500 dolarów za wyrażenie zgody na zabicie Wańki i bycie w gotowości bojowej, aby to zrobić”. Teraz zapomina o tym, że świadek koronny nigdy nie widział Wańki. Nigdy nie był pod szkołą syna Wańki. Krótko mówiąc, nie wiedział nic. Jak więc mógł pozostawać w gotowości bojowej? A poza tym, od czego należy zacząć – nie miał broni.

Czy facet który nie ma broni, nie zna ofiary ani miejsca akcji, jest mimo tego w gotowości bojowej, nawet jeśli wziął już pięćset dolarów?

Tylko że w kwestii owych pięciuset dolarów wręczonych mu rzekomo przez Ewę N. pod barem „Stop” świadek koronny zeznał przed sądem zupełnie co innego. Mianowicie powiedział, że pod barem „Stop” nie otrzymał wtedy od Ewy N. żadnych pieniędzy.

Poza tym Owieczka Dolly zupełnie pominęła to, że świadek koronny będąc rzekomo wcześniej cztery razy pod moim domem, nie trafił tam w dniu wizji lokalnej.

Nie wyjaśniła, w jaki sposób świadek koronny uzyskał wiedzę, która pozwoliła mu opisać moje mieszkanie.

Krótko mówiąc, w swoim uzasadnieniu zupełnie nie odniosła się do bredni spłodzonej przez sąd pierwszej instancji.

W tej sytuacji poczułem się zmuszony do złożenia stosownym organom doniesień o popełnieniu przestępstw. Figurują w nich, oprócz przewodniczącego składu w pierwszej instancji Mariusza Pan-  
kowca, również pozostali sędziowie i ławnicy: sędzia Sądu Okrę-  
gowego Marek Zaniewski, Edward Pietrowcew, Józef Nowak oraz  
Kazimierz Rogaczewski. Dalej oskarżyłem Czarną Owieczkę Dolly  
i jej współników, sędziów Andrzeja Uliłko oraz Eugeniusza Wildo-  
wicza. Nie zapomniałem też o wybitnym inaczej prokuratorze Grze-  
gorzu Gedrysie. Jeśli o niego chodzi, to wniosłem o natychmiastowe  
aresztowanie tej ponadwybitnej postaci.

W tym miejscu nie mogę się powstrzymać, aby nie zacytowałem  
wypowiedzi tego ponadwybitnego prawnika, który składając apelację  
w taki oto sposób zżyma się na zbyt niski, jego zdaniem, wyrok:  
„Błędu sądu należy szukać gdzie indziej. Należy zacząć od tego, że  
zorganizowana grupa o charakterze zbrojnym mająca na celu popeł-  
nianie przestępstw jest pojęciem czysto prawniczym, stworzonym na  
użytek unormowań kodeksowych. W języku potocznym takie pojęcie  
nie występuje. Z kolei prawnicze znaczenie tego zlepku słów nie dla  
każdego jest zrozumiałe”.

Tłumacząc na polski, moim zdaniem pan prokurator ubole-  
wa tu krwawo nad tym, że ten fenomen jest niezrozumiały w Polsce.  
Natomiast na Białorusi z pewnością tak. Nie mógł więc po-  
godzić się z tym, że sprzymierzony sąd nie chciał się podłożyć  
zgodnie z jego życzeniem. Cóż, jeśli o mnie chodzi, to rozumiem, że  
nie każdy jest gotów przyjąć brednie za dobrą monetę. Moim  
zdaniem, gdyby oba sądy wiedziały, że ja odkryję prawdę o billin-  
gach telefonicznych, na które się powołały wydając wyrok, a których  
nigdy nie było – to z pewnością i w tym punkcie nie zechciałyby się  
podłożyć.

Opisałem ten skandal w pismach do Trybunału Praw Człowieka  
w Strassburgu. Odpisali mi stamtąd, że są zainteresowani moją spra-  
wą. Nadali jej nawet numer, chociaż w obecnej chwili nie spełniam  
warunków przepisu 35, czyli nie mam jeszcze rozstrzygnięcia sądu  
kasacyjnego, na które z niecierpliwością oczekuję.

## Świadek – zbrodniarz

Jednemu tylko tygodnikowi „Newsweek” z dnia 2 maja 2001 r. zdarzyło się kiedyś napisać prawdę: „Przestępca, któremu władze gwarantują darowanie kary za złożenie zeznań, nie wyręczy organów ścigania w rzetelnym zebraniu materiału oskarżającego. W Polsce zdarza się, że je zastępuje. Mało tego, są przypadki, że naprowadza na fałszywy trop, tak było w głośnym procesie białostockim, gdzie na ławie oskarżonych zasiadł między innym Henryk Niewiadomski, uznawany za szefa gangu, a świadkiem koronnym miał być członek gangu. Jego zeznania jednak sąd uznał za niewiarygodne. Klęska była druzgocąca, nie dość, że zbrakło dowodów, że oskarżony nosił pseudonim Dziad, to nawet zabrakło potwierdzenia jego roli w Wołominie. Tego nie potrafili ustalić ani policjanci, ani prokurator. Pamiętajmy, że świadkami koronnymi są ludzie, którzy mają powody, aby kłamać”.

Natomiast w listopadzie 2001 r. „Newsweek” zamieścił wywiad z amerykańskim prokuratorem Stivem Baczyńskim, współtwórcą ustawy o świadku koronnym. Powiedział on, że: „Świadkowie koronni są przestępcami, którzy gotowi są złożyć przed sądem fałszywe zeznania w zamian za darowanie kary. Świadek koronny to raczej koło ratunkowe”. Moim zdaniem z takiego koła ratunkowego, o którym mówił amerykański prokurator Baczyński, skorzystał sąd w Białymstoku.

To, że świadek koronny nie był pospolitym przestępcą, wiedziało kilka osób. Wiedziały one również o tym, że ten człowiek dopuścił się kilku morderstw. Oczywiście nie wspomniały o tym przed sądem.

W końcu i ja siedząc w Hajnówce dowiedziałem się, że świadek koronny zastrzelił młodą dziewczynę. Natychmiast zgłosiłem to do prokuratury okręgowej w Białymstoku. Nie przesłuchano mnie w tej kwestii przez dwa lata. Kiedy wreszcie do tego doszło, nie posiadałem już grypsu, którym chciałem się podzielić z Prokuratorem Okręgowym w Białymstoku.

Policjanci z Centralnego Biura Śledczego nie bez powodu ukrywali zbrodnię świadka koronnego. Gdyby prawda ujrzała światło

dzienne, ten człowiek nie mógłby być świadkiem koronnym i na przykład Dziada trzeba byłoby zwolnić do domu, do dzieci, do wnuczka i do gołębi. Dlatego też nie przesłuchano mnie przez dwa lata, a świadków, którzy coś wiedzieli, po prostu zastraszone. Tak przynajmniej jeden z nich oświadczył mi na piśmie. Nadal mnie pyta, czy chcę, aby zeznawał w tej sprawie.

Dziś już wiem dokładnie, jakich to morderstw dopuścił się świadek koronny Dariusz Jakubczak pseudonim Żaba. W dniu 4 marca 2002 r. powiadomiłem o tym panią minister sprawiedliwości z prośbą, aby przysłała do mnie z Warszawy prokuratora, któremu przedstawiłbym dowody w sprawie tych zbrodni. Miejscowym prokuratorem z Białegostoku nie mogłem ufać. Za tę przysługę zażądałem od pani minister tylko tego, aby moja sprawa kasacyjna odbyła się do końca maja 2002 r.

Gdybym doniósł pani minister na jakąś zwykłą, przypadkową osobę, to już na drugi dzień przysłano by prokuratora z Warszawy, aby te trzy morderstwa wyjaśnić. Niestety, człowiek, na którego złożyłem doniesienie, był świadkiem koronnym w mojej sprawie. Pani minister dobrze zdawała sobie sprawę, że kiedy wyjdzie na jaw zbrodnicza przeszłość tej osoby, to automatycznie taki świadek koronny upada, a ja wychodzę na wolność. Dlatego też pani minister zlekceważyła moje pismo.

Ministerstwo przysłało do mnie prokuratora nie z Warszawy, jak się domagałem, tylko z Sokółki, która właściwie nie wiadomo – leży jeszcze w Polsce, czy już na Białorusi. Czy kiedykolwiek kto słyszał, aby sprawą trzech morderstw zajmowała się prokuratura rejonowa, a do tego jeszcze z jakiejś Sokółki, gdzie psy dupami szczekają? Po prostu nie znaleźli żadnej innej prokuratury na większym zadupiu. Przy czym delegowali do sprawy tego samego typu, co do którego już wcześniej zastrzegłem, aby mi się na oczy nie pokazywał. Odmówiłem mu złożenia zeznań, o czym powiadomiłem ministerstwo, rzecznika praw obywatelskich oraz posłów Lecha Kaczyńskiego, Andrzeja Lepera i Antoniego Macierewicza.

Wszystkie trzy zabójstwa są potwierdzone. W pierwszym zleceniu

zamordowania kolegi czy też współpracownika kantoru na ulicy Lipowej w Białymstoku, świadek koronny nie brał bezpośrednio udziału, lecz załatwił do tego napadu broń. Wiem to, bo są świadkowie, którym Żaba, czyli świadek koronny w innej sprawie, nagrywał wcześniej ten napad. Oni wiedzą, komu w końcu Żaba napad zlecił. Znają szczegóły tego napadu jak i nazwiska sprawców, którzy zrabowali wtedy 150 tysięcy dolarów.

Inna osoba, która może potwierdzić rolę w tym napadzie mojego świadka koronnego, to Mirosław Rutkowski – jego rzekomy szef. Już wcześniej zeznawał przed sądem w czasie procesu. Świadek koronny chwalił mu się po paru kieliszkach, że kantor na ulicy Lipowej w Białymstoku to jego sprawa. Opowiedział mu wówczas kilka szczegółów tego napadu jak i późniejszego zamachu bombowego. Świadek koronny chciał dać nauczkę właścicielowi kantoru, który ogłosił nagrodę za wskazanie zabójców, lecz przez pomyłkę wysadził w powietrze samochód marki Honda Civic zamiast samochodu marki Porsche. Wszystko to Rutkowski powiedział przed sądem. No, ale na jego słowa nie było dowodów i na tym się skończyło.

Teraz jednak potwierdzają to dwaj inni świadkowie.

Kiedy przywieziono mnie do Białegostoku na sprawę apelacyjną, ci dwaj napisali do mnie bardzo obszerny gryps, w którym wszystko opisali. Wymienili nazwiska morderców, współników świadka koronnego. Dokładnie wyjaśnili, jak doszło do pomyłki z wysadzeniem samochodu. Podali też przyczynę, dlaczego wcześniej tego nie zeznali, chociaż chcieli wszystko ujawnić już na samym początku. Kilku łobuzów z Centralnego Biura Śledczego w Białymstoku wiedziało o tym, że oni znają tę sprawę i morderców, lecz zastraszyło ich i nakazało milczenie. Nie będą dłużej milczeć. Teraz, po upływie dwóch i pół roku, chcą zeznawać.

Ja tych osób nigdy nie widziałem na oczy, lecz podali mi oni swoje adresy i nazwiska na wypadek gdyby ich albo mnie przewieziono w inne miejsce. Nie wiem też, dlaczego mi to ujawnili. Mam nadzieję, że to się wyjaśni.

Kiedy zgłaszałem panie minister Piwnik o zamordowaniu przez



świadka koronnego młodej dziewczyny, wtedy jeszcze nie wiedziałem, że chodziło o kobietę zastrzeloną w kantorze w Łomży. Dopiero w otrzymanym grypsie obaj świadkowie przyznali się, że dokładnie znają szczegóły tego morderstwa. Są z tej samej branży i siedzą właśnie za to, że napadali na kantory. Stąd to wszystko znają z detalami. Dziś ja także już wiem, ale jeszcze nie na sto procent, że to właśnie świadek koronny zastrzelił tę dziewczynę. Nie mam jeszcze na to ostatecznego potwierdzenia. Być może niedługo będę miał.

Mój adwokat był nawet bardzo zaskoczony, skąd ja to wszystko wiem. Powiedział, że jeden z tych, którzy napisali gryps, dawno temu zadzwonił do niego i chciał mu coś przekazać. Adwokat pojechał do niego do Hajnówki. Nic wtedy jednak nie uzyskał. Nie wiedział, co nagle świadka powstrzymało. Dzisiaj już można się domyślić, że bał się powiedzieć prawdę, gdyż maczała w tym palce policja z CBS. Być może mecenas zbyt długo zwlekał wtedy z przyjazdem, a tymczasem u świadka pojawili się policjanci z CBS. Są to co prawda tylko moje domysły, myślę jednak, że logiczne.

Adwokat potwierdził, że obaj świadkowie mają wiedzę również na temat jeszcze jednej zbrodni, jakiej dopuścił się świadek koronny. Chodzi mianowicie o zabicie i zakopanie przez świadka koronnego niejakiego Osmulskiego z Białegostoku. Akurat tak się złożyło, że Osmulski był klientem mojego adwokata, pana Kudryckiego.

Najdziwniejsze jest to, że również obecny minister sprawiedliwości wydaje się mało zainteresowany tym tematem. 8 lipca 2002 r. powiadomiłem go o wszystkim, co już bardzo dokładnie opisałem wcześniej. A więc o tym, że resort kierowany przez pannę minister sprawiedliwości Barbarę Piwnik ukrywał trzy okrutne zbrodnie. Niestety, od nowego ministra otrzymałem tylko informację, że sprawą zajmuje się już prokuratura rejonowa w Sokółce. Zaraz popatrzyłem na mapę, ale była taka niedokładna, że do dzisiaj nie wiem czy Sokółka leży jeszcze na terytorium Rzeczypospolitej. Może zlecili zbadanie sprawy chłopcom Łukaszenki. Byłem w stu procentach pewny takiej reakcji. Moim zdaniem komuś na bardzo wysokim stanowisku zależy na tym, aby tych zbrodni nie ujawniać.



## Masa gówna

Resort boi się tej sprawy nie tylko dlatego, że człowiek, który dopuścił się zbrodni, nie może być świadkiem koronnym, a więc oskarżenie i wyroki oparte na jego zeznaniach upadają. O wiele groźniejsze skutki miałby ten skandal dla samej ustawy o świadku koronnym. Kiedy sprawa trzech zbrodni ujrzy światło dzienne, z pewnością podniesie się ogromny szum, który wykorzystają obrońcy tak zwanego Pruszkowa. Przecież Masa, świadek koronny w tej sprawie, również pomawiany jest o zlecenie zabicia swojego najlepszego przyjaciela, Wojtka Kielbasy.

Jak wielkie zagrożenie stanowi to dla aktu oskarżenia w sprawie Pruszkowiaków dowodzi choćby fakt, że policja i prokuratura na wyścigi tłumaczy Masę z jego brzydkich postępów, niczym jakieś bezpłatne kancelarie adwokackie dla gangsterów. W jednej z gazet któryś z tych domorosłych papug oświadczył z powagą, że Masa na pewno nie jest zamieszany w morderstwo Kielbasy, ponieważ pomyślnie przeszedł test na wykrywaczu kłamstw. Jak wiadomo nawet takim hodowcom gołębi jak ja, którzy kryminalistykę studiowali tylko na podstawie amerykańskich filmów gangsterskich, wynik badania na wykrywaczu kłamstw nie jest żadnym dowodem. Tej maszynki można używać najwyżej do tego, żeby wy badać niewierną żonę, czy daje tyłka listonoszowi, albo sekretarkę w biurze, czy daje jeszcze komuś oprócz prezesa. Wystarczy pierdnąć od czasu do czasu, aby wynik badania diabli wzięli.

Jestem przekonany, że prokuratura przeprowadziła taki sam test na wariografie dla pięciu świadków koronnych w jednej z najgłośniejszych ostatnio spraw narkotykowych. Z pomocą owych świadków prokurator na siłę dorzucił do sprawy Wańki, jeszcze jednego medialnego szefa mafii pruszkowskiej.

Proces trwał osiem miesięcy. Ile kosztował, tego nie wiem, ale z pewnością majątek. Tak się składa, że przez kraty okienne w mojej celi niemal każdego ranka oglądałem, jak na teren więzienia wjeżdża jedenaście policyjnych suk, a w każdej siedzi kilku funkcjonariuszy.

Myślę że to samo działo się w innych więzieniach. Krótko mówiąc, była to bardzo kosztowna reklama organów ścigania robiona na użytek oglupionego społeczeństwa, które za to wszystko zapłaciło.

Niestety, sąd nie dał wiary zeznaniom tych pięciu świadków koronnych, ani też wynikom testów na wykrywaczu kłamstw. W sierpniu 2002 r. Wańkę osądzono sprawiedliwie, co oznaczało uniewinnienie. Ciekaw jestem jak spało się po tym wyroku panu prokuratorowi. Pewnie myślał o swoich dętych świadkach koronnych, których społeczeństwo będzie musiało teraz utrzymywać do końca życia. Krótko mówiąc, kariera kosztuje, szkoda tylko że tych kosztów nie pokrywa z własnej kieszeni prokurator, który się tak skompromitował.

Od razu po farsie medialnego szefa mafii pruszkowskiej obrońcy Wańki udzielili wywiadu, w którym podnosili praworządność wydanego wyroku. Ich klient został uniewinniony mimo zeznań pięciu świadków koronnych, ponieważ nie było żadnych innych niezależnych dowodów, potwierdzających te zeznania, a polskie prawo tego wymaga.

Prokurator po ogłoszeniu wyroku nie był rozmowny. Dopiero po kilku dniach zaczął się w Radiu „Zet” odgrażać, że złoży apelację, po czym zaczął krytykować niezawisły sąd powołując się na ustne uzasadnienie wyroku.

A teraz małe ćwiczenie z logiki: skoro sąd w Warszawie uniewinnił Wańkę mimo obciążających zeznań pięciu świadków koronnych, jak sąd w Białymstoku mógł skazać mnie, kiedy posiadał tylko zeznanie jednego świadka koronnego i nic więcej? Zarówno sąd pierwszej instancji jak i apelacyjny przyznały w uzasadnieniu wyroku, że jedynym dowodem w mojej sprawie są zeznania świadka koronnego. Dokładnie tak jest zapisane w sentencji wyroku.

Wyobrażam sobie, jak po wyroku uniewinniającym medialnego szefa mafii pruszkowskiej Masa srał w gacie ze strachu. Musiał przecież wkrótce stanąć przed sądem i wytłumaczyć się z bredni, jakich nagadał prokuratorowi w czasie śledztwa. Nie chciałbym być dzisiaj w skórze tego gwałciciela. Prokuratorowi też nie będzie łatwo. Radziłbym, aby tej tłustej świni Masie założył pampersy już w pierwszym

dniu rozprawy, bo może mu się przydarzyć to samo, co w białostockim sądzie świadkowi koronnemu w mojej sprawie. Mój pseudo-świadek Żaba zaniedbał zabezpieczenia się pieluchą i po prostu popuścił w portki.

Wiem co nieco o tym, jak prokuratorzy dla kariery próbują ślizgać się po mieliznach, albo nawet preparować dowody. Kiedy byłem przesłuchiwany w sprawie zamachu na mojego brata, zeznałem, że kiedy strzelano do niego koło domu, brat dogonił jednego z bandytów i rozpoznał w nim Słowika. W tym samym czasie niejaki Poldek ścigał samochód, który uciekał z miejsca strzelaniny. W nim też siedział nie kto inny, jak Słowik. Zapytałem wtedy prokuratora, jak mój brat mógł rozpoznać Słowika, skoro go w ogóle nie znał, co sam mi powiedział. Słowika nie znał także Poldek, więc i on nie mógł go rozpoznać. Wtedy prokurator odpowiedział mi: „Panie Henryku, tym to już niech się sąd martwi”. Ja właśnie to powtórzę przed sądem, niech pan się nie martwi, panie prokuratorze.

Dla mnie jest szczególnie bolesne, a to z racji moich przekonań i sympatii politycznych, że sygnalizowanymi przeze mnie zbrodniami nie zajęli się do tej pory były minister sprawiedliwości Lech Kaczyński, oraz panowie posłowie Andrzej Lepper i Antoni Macierewicz, do których napisałem za pośrednictwem rzecznika praw obywatelskich już w maju bieżącego roku. Opisałem im to wszystko dokładnie, jak w tej książce. Wygląda na to, że nie obchodzą ich takie drobnostki.

Ujawniam te fakty dlatego, żeby wyborcy ocenili postawę liderów politycznych, którzy szermują hasłami sprawiedliwości i samego rzecznika praw obywatelskich, który, moim zdaniem, też powinien domagać się wyjaśnienia sprawy owych trzech zbrodni. Powinien zapytać, czy mordercy są na wolności i o to, którego kantorowca zastrzelą teraz mordercy chronieni przez resort nowego ministra sprawiedliwości Grzegorza Kurczuka. Minister w tygodniku „Newsweek” z dnia 14 lipca 2002 r. przechwalał się: „Nowy minister sprawiedliwości obiecuje, że symbolem jego resortu nie będzie ślimak, ani żółw. Zadba o przyspieszenie procedur i skuteczną walkę z aferzystami. Nie będzie pobłażliwy dla nieuczciwych sędziów i prokuratorów.

Będzie rządzić twardą ręką”. Gdzie są jakiegokolwiek efekty tej walki z korupcją i skandalami w wymiarze sprawiedliwości? Co z oświadczeniami majątkowymi dla sędziów i prokuratorów? Co z kontrolą orzecznictwa?

Moim zdaniem pan Grzegorz Kurczuk będzie kolejną ofiarą rządów SLD. To samo przewidywałem dla byłej minister sprawiedliwości, panny Barbary Piwnik. Jak widać, moje przewidywania okazały się słuszne.

Wystarczy teraz pomyśleć co będzie się działo, kiedy wyjdzie na jaw, że świadek koronny jest mordercą. To pójdzie w świat. Pójdzie też w świat również to, że zarówno policja z CBS jak i dwaj ministrowie sprawiedliwości ukrywali wspólnymi siłami morderstwa świadka koronnego. Tylko dlatego, żeby nie wypuścić z więzienia skazanych na podstawie kłamliwych zeznań tego człowieka. Mordercy, który dla ratowania swojej dupy pomówił niewinnych ludzi. Tych których znał i tych których nawet nie znał. Przysięgam, że to co piszę jest prawdą. Przysięgam na wszystkie swoje gołębie. Jeżeli jest w tym choć trochę nieprawdy, to niech mi one wszystkie zdechną.

## Biznes za kratami

Jak już wcześniej wspominałem, świadek koronny w żadnym protokole śledztwa niczego nie zeznał na Henryka Niewiadomskiego pseudonim Dziad, poza tym, że jestem bratem Wiesława Niewiadomskiego pseudonim Wariat. Dopiero w ostatnim zeznaniu z dnia 6 lipca 1999 r., czyli już po moim aresztowaniu, przypomniał sobie, że Henryk Niewiadomski pseudonim Dziad handlował amfetaminą, zbierał haracze z kantorów w lewobrzeżnej Warszawie, handlował kradzionymi samochodami i posiadał zorganizowaną grupę zbrojną w ilości osiemdziesięciu osób. Jego zdaniem ta grupa jest mniejsza od pruszkowskiej. Rzekomo osobiście widział, jak odbierałem pieniądze za amfetaminę.

Co jednak dziwne, nie przekonał sądu tymi bredniami. Tu należy się wyjaśnienie, że na samym początku śledztwa świadek koronny mówił o moim bracie, nie o mnie. Z pewnością nie on sam to wymyślił, tylko osoba, która go wówczas przesłuchiwała. Powstało pytanie: po co i dlaczego? Odpowiedź jest prosta. Gdyby nie wypalił numer z przerzucenia na moją głowę uczynków mojego brata, a nie wypalił, to był w zanadru Lechoszest, na którego świadek też nagałdał głupot. Jak nie wypali przypisanie mi wyczynów Lechoszesta, to trzeba się i tutaj asekurować. Na wszelki wypadek zabezpieczyli się więc owym zeznaniem, że Dziad posiadał grupę złożoną z osiemdziesięciu ludzi, handlował kradzionymi samochodami, amfetaminą i tak dalej. Czyli, krótko mówiąc, obstawili wszystkie możliwości. Być może wówczas jeszcze nie mieli sędziego na układach i woleli dmuchać na zimne. Tak to wyglądało z tego powodu, że – jak mi wiadomo – żaden z sędziów nie chciał podjąć się prowadzenia tej farsy.

W pewnym momencie znalazł się jednak odważny, który wziął sprawę w swoje łapki – właśnie sędzia Mariusz Pankowiec. Dotąd był sędzią penitencjarnym, ale zaraz po przyjęciu mojej sprawy otrzymał awans na szefa wydziału penitencjarnego. Nie moja wina, że wygląda to tak, jak gdyby został ubity interes.

Dowiedziałem się swoimi kanałami kim jest sędzia Mariusz Pankowiec. Wygląda na to, że głupi nie jest, gdyż prawdopodobnie buduje okazałą willę w Suwałkach, o czym od razu powiadomiłem prokuraturę. Trzeba tu bowiem wyjaśnić, kto to w ogóle jest sędzia penitencjarny i dlaczego w przypadku takich osób wskazana jest czujność.

Otóż sędzia penitencjarny jest to krótko mówiąc pan i władca w więzieniu. Po prostu decyduje o wszystkim, a przede wszystkim o tym czy skazanemu dać przepustkę albo zwolnienie warunkowe. Ostatnio ktoś mi opowiadał, że taki sędzia penitencjarny za każdy rok więzienia, skreślony z wyroku, życzy sobie od przeciętnego obywatela tysiąc dolarów. Natomiast już od takiej osoby powiedzmy jak ja stawkę się dwoi, a nawet troi. Ja oczywiście nie twierdzę tego, że na

przykład sędzieja penitencjarny Mariusz Pankowiec brał z tego tytułu jakiegokolwiek pieniądze, lecz zastanawia mnie, jak taki sędzia może z gołej pensji budować okazałą willę.

Tu pomyślałem o sobie: ileż to musiałbym zapłacić takiemu sędziemu, żeby przychylił się do moich starań o wcześniejsze wyjście na wolność. Jeśli dostałem siedem lat, to po trzech i pół roku mógłbym się ubiegać o warunkowe zwolnienie, czyli musiałbym zapłacić trzy tysiące dolarów za każdy rok. Trzy tysiące razy trzy i pół roku równa się dziesięć tysięcy pięćset dolarów. Zatem, logicznie myśląc, taki sędzia ma kławe życie. Stąd niejednego takiego sędziego stać na budownictwo willowe w pięknej okolicy i dobre samochody. Zapewne też niejeden kalkuluje sobie, że warto skazać kogoś na siedem lat więzienia, nawet za niewinność. Jak to mówią, o klienta trzeba samemu zabiegać. Oczywiście nie twierdzę, że być może tak robi również sędzia Mariusz Pankowiec z Białegostoku. Chciałbym tylko, aby kompetentne organa to sprawdziły.

No, ale z kompetentnych organów nic mi nie odpisali.

## Tematy tabu

Czy w ogóle kiedykolwiek i ktokolwiek poruszył taki temat: jak i skąd sędziowie, którzy tak marnie zarabiają, biorą pieniądze na przykład na kształcenie dzieci, na mieszkania, samochody, wystawne życie? Czy kiedykolwiek ktoś poruszył taki temat odnośnie prokuratorów? Z pewnością nikt tego tematu tabu nie poruszył i nie poruszy. Dlaczego, to niech już każdy sobie na to pytanie sam odpowie. W pewnym sensie ujawnił coś w swojej książce Słowik. Napisał w niej, że za swoje ułaskawienie przez pana prezydenta Lecha Wałęsę zapłacił pieniądze. Co ciekawe, prokurator nikogo w tej sprawie nawet nie przesłuchał, a przecież tu już nie chodzi o to, czy Słowikowi wierzyć czy nie, tylko o to, że fakt jest autentyczny i wcale nie jedyny. Tylko że nikt nie chce tych kolejnych podejrzanych ułaskawień ujawnić.



nić. Tam z pewnością znaleziono by całą masę takich ułaskawień, podobnych do przypadku Słowika. Następca prezydenta Lecha Wałęsy też ułaskawia morderców, o czym ostatnio było dość głośno. Nikt jednak nie wyjaśnił dlaczego się tak dzieje, albo też za ile.

Poruszyłem w tej książce temat pospolitych przestępstw, jakich dopuszcza się Temida w Polsce. To jednak tylko wierzchołek góry lodowej, którą teraz dostrzegł między innymi tygodnik „Newsweek”. W dniu 11 lutego 2001 r. pismo przytacza jako przykład moją sprawę: „Dwa poprzednie procesy ośmieszyły tylko i tak już po wielokroć skompromitowane organy ścigania, a ilu jest prokuratorów i policjantów, którzy na takich osobach chcą zrobić szybką karierę”.

Następny cytat pochodzi z gazety „Metropol” z dnia 10 stycznia 2002 r. „Inaczej jednak odbiera się wyrok wynikający – aż głupio mi użyć stosownego sformułowania, ale też nie łatwo znaleźć odpowiedni synonim – z niechlujstwa, kiedy to sąd dysponuje wieloma dowodami, ale w uzasadnieniu wyroku pomija pewną ich część. Akurat tę część, która w przypadku wzięcia jej pod uwagę spowodowałaby wydanie odmiennego wyroku. Nieodparcie nasuwa się wtedy podejrzenie, że jak nie wiadomo o co chodzi, to wiadomo, że chodzi itd. Pociuszający w tym wszystkim jest fakt, że wyrokowanie jest jawne i dziennikarz może sobie zajrzeć do akt sprawy, jeżeli ma na to ochotę”. Niestety, jak wcześniej wspomniałem, w mojej farsie dziennikarzy nie interesowało, co wyczyniały sądy. Nie interesowały ich też akta sprawy. Ich interesował tylko wyrok, jakiego domagał się prokurator. A trzeba przypomnieć, że domagał się dla mnie jeszcze przed sprawą, za pośrednictwem tych właśnie dziennikarzy, dożywocia lub 25 lat więzienia. Dopiero przed sądem oprzytomniał i spuścił z tonu; teraz żądał „tylko” 15 lat. Zaś w dniu ogłoszenia wyroku, kiedy skazano mnie na siedem lat pozbawienia wolności, niejaki Tomasz Lis z telewizji TVN wprost wykrzyknął ze zgrozą: „Dlaczego tak mało?!”. Z pewnością gdyby to był prawdziwy lisiek, to wiedziałby o tym, że białostocki sąd skazał mnie nie za to, co zrobiłem, tylko dla własnej kariery.

Ale ten Lisiek Chytrusek z TVN, Trzęsilepek i Wścieklizna z Rudą

Kitą, nie znając nawet szczegółów mojej farsy od początku informował społeczeństwo, że teraz to już pozbedziemy się Dziada na długie lata. Czy tak postępuje prawdziwy dziennikarz? Tak postępuje tylko karierowicz. Krótko mówiąc, szkoda mi tu miejsca na taką zarazę jak dziennikarze, którym już w dniu przyjęcia do tego zawodu przymierza się do ich mord kaganiec, a zakłada się go, kiedy ich zwierzchnikom pasuje.

Ostatnio gazeta „Newsweek” opisała jakiegoś tam szefa Prokuratury Apelacyjnej z Katowic, który jeździ bardzo drogim samochodem marki BMW oraz jego żonę nauczycielkę, która także jeździ BMW. Oboje zamieszkują w luksusowej willi.

Jak potem oświadczył w Radiu „Zet” ów szef Prokuratury Apelacyjnej z Katowic, jest to prawda. Zatem, logicznie myśląc, gazeta „Newsweek” nic w tym artykule nadzwyczajnego nie ujawniła. Natomiast, jak zapewne zauważyliście, panna minister sprawiedliwości Barbara Piwnik zareagowała natychmiast. Wezwała tego szefa Prokuratury Apelacyjnej z Katowic do siebie na dywanik. Moim zdaniem nie po to, ażeby się wytłumaczył z tego, skąd wziął pieniądze na to wszystko, lecz zapewne tylko żeby go pouczyć, by nie pokazywał wszystkim całego swojego tyłka. Przez niego ucierpi przecież cała Temida, którą też stać na takie luksusowe życie. Jednak inni nie demonstrowują tego społeczeństwu.

To nie jest tylko moje zdanie, ale zapewne każdego obywatela, który uważnie słuchał Radia „Zet” i który potrafi logicznie myśleć. Więc, jak pamiętacie, w pierwszej kolejności na temat rozmowy przeprowadzonej z szefem Prokuratury Apelacyjnej z Katowic wypowiedziała się w tymże Radiu „Zet” nasza panna minister. Poinformowała społeczeństwo, że ustne wyjaśnienia pana prokuratora jej nie przekonały. Nakazała zatem złożyć wyjaśnienia na piśmie. Natomiast na drugi dzień, również w radiu „Zet”, szef Prokuratury Apelacyjnej stanowczo zaprzeczył, aby panna minister sprawiedliwości nakazała mu złożenie pisemnych wyjaśnień odnośnie posiadania ogromnego majątku.

Oczywiście, ja wierzę stanowczym słowom szefa Prokuratury

Apelacyjnej z Katowic, ponieważ, jak mówił w Radiu „Zet”, nie słyszał wcześniejszej wypowiedzi panny minister. To jest jak najbardziej logiczne, ponieważ gdyby ją słyszał, to by potwierdził i miałby chłopina spokój.

No tak, ale teraz panna minister zdenerwowała się tym, że pan prokurator apelacyjny nie potwierdził jej słów. A jak mógł potwierdzić, skoro ich nigdy chłopina z Katowic nie usłyszał? No i w ten sposób wyszło na jaw to całe nieporozumienie, przez które chłopina stracił w tempie akcji Bruce’a Lee posadę szefa Prokuratury Apelacyjnej. Jednakże nie była to bynajmniej zasługa gazety „Newsweek”, lecz wina samego chłopiny, bo jadąc do Warszawy swoim luksusowym BMW, które na pewno miało radio, nie raczył słuchać Radia „Zet”, które co chwilę podawało coś nowego. Sam sobie winien.

Według mnie to jednak nie chłopina powinien być zwolniony z posady, która była nieźle płatna, a być może i przynosiła jakieś dodatkowe zyski, lecz panna minister sprawiedliwości – za to, że nie uprzedziła tego biednego chłopiny o tym w jaki sposób zamydli społeczeństwu oczy. Zapewne niektóre barany, zapatrzony w uroczą panienkę minister, odebrały to wszystko całkiem inaczej. Mianowicie uznały ją za osobę stanowczą i surową. Bez wahania wyrzuciła na zbity pysk chłopą, który przecież był nie byle kim. Tylko trzeba się zastanowić nad tym, za co go wyrzuciła. A przecież za to, że chłopina powiedział prawdę w Radiu „Zet”. Skąd on mógł wiedzieć, że panna minister powie ludziom zupełnie co innego, niż jemu?

Zatem panowie prokuratorzy, radziłbym teraz uważnie słuchać radiowych i telewizyjnych wypowiedzi ministra sprawiedliwości i pod żadnym pozorem ich nie podważać, choćby były nieprawdziwe. Macie teraz dobrego szefa, który co prawda mocno się odgraża, ale zawsze was wybroni przed opinią publiczną i wymiarem sprawiedliwości. Nie jestem tylko pewien, czy wystarczy mu siły przekonywania i wyświechtanych formułek na tak olbrzymią rzeszę obrzydliwie bogatych sędziów i prokuratorów, którzy trzykrotnie więcej wydają niż zarabiają.

Natomiast do gazety „Newsweek” mam gorącą prośbę: nie piszcie już więcej o takich bogatych prokuratorach, gdyż ten temat to

studnia bez dna, który zajmie wam długie lata życia. Natomiast prosiłbym, o ile to jest w ogóle możliwe, żeby wasza gazeta poszukała i opisała takiego sędziego lub prokuratora, który przepracował długie lata w tej kopalni pieniędzy i jest biedny. To uznalibyśmy za wasz prawdziwy sukces. Natomiast to co opisaliście, to tylko normalka.

A może... po prostu taki był wasz cel? Zniszczenie szefa Prokuratury Apelacyjnej w Katowicach? Z jakiegoś powodu? To wam akurat wyszło.

## Świnia w koronie

W swoich ostatnich podrygach pani minister sprawiedliwości Barbara Piwnik żaliła się w radiu na swoich sędziów, że tak małe wyroki dają osobom pomawianym przez świadków koronnych. Moim zdaniem, powinna się cieszyć z tego, że w ogóle dają za darmo. Bo dać to jedno, ale później trzeba uzasadnić za co się dało i dopiero wtedy sędziowie muszą na potęgę oszukiwać. Pani minister mówiła też, że pomimo tego, iż w Ameryce istnieją świadkowie koronni już tyle lat, a w Polsce tak krótko, to w Polsce mamy świadków koronnych więcej niż w Ameryce. Pani minister nie zastanowiła się tylko nad tym, że w Ameryce żaden prokurator nie przyprowadziłby do sądu takiego świadka koronnego, jakiego sobie znalazł w Białymstoku prokurator Grzegorz Gedrys. Na co zatem pani minister sprawiedliwości tak narzekala? Uważam, że nie miała powodów do narzekania. Przecież skazanie mnie na siedem lat całkowicie za nic, to i tak wielkie poświęcenie sędziego Mariusza Pankowca dla takiej instytucji jak Ministerstwo Sprawiedliwości. Pruszkowiaków sądzić będą z pewnością tacy sami sędziowie jak Mariusz Pankowiec. Oddani bez reszty ministrowi sprawiedliwości, tylko nie Sprawiedliwości. Jeśli myślicie, że prokurator ma dowody na Pruszkowiaków, to jesteście w błędzie.

Przecież na samym początku tej farsy politycznej resort, łamiąc prawo dla dogodzenia społeczeństwu, wziął na świadka koronnego

szefa mafii pruszkowskiej. Wyraźnie zaś jest napisane w ustawie, że świadkiem koronnym nie może być szef grupy zorganizowanej. No, ale zatrzymajmy się przy świadku koronnym Masie, bo to przecież właśnie ten gwałciiciel i frajer zeznaje, co zasłyszał. Rzeczywiście, on dużo wie, ale na odstrzelonego Pershinga, na swojego najlepszego przyjaciela Wojtka-Kielbasę, którego też w końcu się pozbył, zlecając jego zabicie. Mówiono o tym na mieście. To po prostu zwykły gałgan. Z wolności przyznał się do tego, że kierował innymi gałganami. No, ale nigdy, z tego co wiem, żaden porządny Pruszkowiak nie poda ręki gwałciicielowi, a przecież ta świnka kilka razy miała sprawę o gwałty. Ta świnka chciała kiedyś i ze mną rozmawiać, przysyłając do mnie swojego żołnierza o imieniu Bolek. Oczywiście, że odmówiłem spotkania z knurem i gwałciicielem. Dlatego też dzisiaj ta świnka niczego na mnie nie zeznała. Ale według prokuratora właśnie taki wieprz to wiarygodny świadek koronny. Jak w ogóle można wziąć na świadka koronnego nałogowego narkomana? Przecież taki narkoman ma wizje. On nie odróżnia tego, co było, od tego, o czym słyszał od swoich gałganów, którzy też są w komplecie narkomanami.

Niektórzy, na przykład była minister sprawiedliwości Barbara Piwnik, mówią że wyrok musi być sprawiedliwy, bo przecież wydał go niezawisły sąd. Należy więc wyjaśnić co w ogóle oznacza słowo „niezawisły”. Oznacza ono tylko tyle, że do poczynań składu sędziowskiego nikt nie może się wtrącać podczas trwania procesu. Niezawisłość sądu nie ma jednak wiele wspólnego z jego sprawiedliwością. To tak jak przyrównać palec do członka, albo też świadka koronnego do Masy.

## **Moje stosunki z pewną panną**

Moim skromnym zdaniem dość biegłego prawnika-amatora, sprawę Pruszkowiaków powinien sądzić sam pan minister sprawiedliwości Lech Kaczyński. On by dopiero sprawił pannie Piwnik przy-

jemność, chociaż sam osobiście na takiego nie wygląda, a nie jak ci sędziowie, na których minister żaliła się, iż ich wyroki z udziałem świadka koronnego zaczynają się nawet od pół roku.

Nie ukrywam, że bardzo chciałbym przy jakiejś okazji zapytać panią minister, jak to w końcu było z tym prokuratorem Kauczem. Bez kręcenia, każdego dnia inaczej. Chciałbym też spytać: dlaczego to właśnie pani otrzymała awans na ministra sprawiedliwości i to akurat w momencie rozpoznawania afery FOZZ, w której po uszy umoczeni są wszyscy najważniejsi bossowie z SLD? Czy to przypadkiem nie pani miała pewnego roku siedem uchylonych wyroków na jedenaście orzeczonych? A może to jest właśnie wskaźnik sędziowskiej wybitności, który stanowi szczególną rekomendację do objęcia zaszczytnego stanowiska ministra?

W tym miejscu trzeba powiedzieć, z jakiego powodu sprawie FOZZ trzeba koniecznie ukrócić łeb, grając na nieuniknione przedawnienie. Otóż tajemniczy FOZZ, którego losy przez wiele lat okrywało śmiertelne milczenie, był formalnie instytucją powołaną do nielegalnego wykupu zagranicznych długów naszego państwa za część ich wartości. W istocie służył do zbudowania potęgi finansowej części nomenklatury partyjnej, która miała szczęście przyspawać się do tego złotego koryta. Było to jedno z nielegalnych źródeł finansowania elity dzisiejszego polskiego biznesu. Przy pomocy FOZZ-u partyjni bossowie stawali się przedsiębiorcami i prezesami. Nie musieli handlować narkotykami czy też bronią – oni tylko kąpali się w złotym deszczu, jaki na nich spadł za sprawą służb specjalnych.

Funduszem kierowało bardzo ciekawe towarzystwo, a jego szefem był niejaki Żemek, tajny współpracownik II Zarządu Sztabu Generalnego Ludowego Wojska Polskiego. W radzie nadzorczej zasiadał protegowany Leszka Balcerowicza, wiceminister finansów Janusz Sawicki, również najpierw tajny współpracownik, a później kadrowy oficer wywiadu wojskowego. Jeszcze jeden członek rady nadzorczej funduszu, a jednocześnie prezes Narodowego Banku Polskiego, uwikłany przy okazji w aferę Art-B, Grzegorz Wójtowicz, był tajnym współpracownikiem Departamentu I MSW.



Czy to przypadkiem nie z tego powodu, że FOZZ był esbecką spółką rodzinną, jego tajemnice mają pozostać na zawsze ukryte? Ciekawy jestem, czy Barbara Piwnik przyjmując nominację na ministra, co było równoznaczne z utraceniem tej sprawy na zawsze, kierowała się wyrachowaniem, czy może raczej strachem o własną przyszłość? Może zdawała sobie sprawę z tego, że tej sprawy nigdy nie pozwolą jej doprowadzić do końca i z wielką ulgą uciekła od niej w ministry?

Los paru innych osób, które za bardzo się przykładały do wyjaśnienia tajemnicy, był dla niej zapewne przestrogą. Za ciemne sprawki FOZZ-u zabrał się niejaki Michał Falzmann, kontroler warszawskiej Izby Skarbowej. Natychmiast wyleciał za to z pracy. Nadepnął na odcisk samemu szefowi Uniwersалу, byłemu sekretarzowi PZPR. Falzmann znalazł sobie jednak nową robotę w Najwyższej Izbie Kontroli – i znów dobrał się do FOZZ-u. Prezes NIK co prawda zdążył cofnąć mu pełnomocnictwa, ale i tak po kilku dniach napalony kontroler leżał na cmentarzu. Jego dochodzenie zostało zablokowane, a raport, jaki zdążył opracować i przekazać prokuraturze, zniknął w którymś z biurek. Zaraz po Falzmannie trafił pod trawnik sam prezes NIK. Zginął, przypadkiem oczywiście, w wypadku samochodowym.

Czy można się dziwić, że szanowna panna Barbara Piwnik wolała sprawdzić się raczej jako minister sprawiedliwości, niż jako delikatny pokarm dla powązkowskich robaków?

Jest dla mnie niezrozumiałe, że dziennikarze nic już na jej temat nie piszą. A mnie jej los napełnia każdego dnia prawdziwą troską, podobnie jak losy poprzedniej pani minister sprawiedliwości, tej z Unii Wolności. Chłopa zamkniętego od trzech lat za kratami, wyłącznie w męskim towarzystwie, nie może na przykład nie obchodzić, że obie panie nie raczyły wyjść za mąż. Nie uważały za stosowne, co więcej – mam poważne wątpliwości, czy kiedykolwiek zmienią zdanie. Tymczasem ma to doniosłe znaczenie dla takich właśnie ludzi, jak ja. Czy ktokolwiek słyszał, aby w cywilizowanym kraju osoba na takim stanowisku nie miała męża ani dzieci? Ja słyszałem, że ministrowie

mają nie tylko żony i dzieci, ale i kochanki. No, ale żeby w ogóle nie mieć rodziny?

Jak taka osoba w ogóle może prawidłowo funkcjonować? Nie oszukujmy się, przecież brak bliskiej osoby, konkretnie płci przeciwnej, a choćby nawet ostatecznie i tej samej – nie jest całkiem normalnym stanem. To wpływa na psychikę. Mogę to stwierdzić z całkowitą pewnością. Siedzę już trzy lata odizolowany od żony i trzępię się ręką przez ten cały czas. Jak po roku w więzieniu zobaczyłem, że trzęsie mi się ręka, myślałem początkowo, że to albo na tle nerwowym, albo choroba Parkinsona. Walnąłem konia, od razu mi się przestała trząść. Zrozumiałem, że to zaburzenie organizmu, a nie jakiś tam Parkinson.

Co zatem myśleć o takiej dojrzałej kobiecie, która nie ma męża? Moim zdaniem takie osoby nie powinny piastować funkcji, od których zależy los innych ludzi. Dotyczy to również zawodu sędziego. No bo sami widzicie jak to jest, kiedy minister sprawiedliwości jest panią, a nie mężatką, która zna się na życiu. To tylko w Polsce takie cuda mogą się zdarzyć.

Czy ktoś się zgadza z tą opinią, czy nie, to jest jego sprawa. Ja tylko wyrażam swoje zdanie, co jest zagwarantowane przez Konstytucję. Według mnie – Konstytucję na pozór tylko doskonałą.

To, że Konstytucja nie jest doskonała, to mały problem. Gorzej, że jest ona notorycznie łamana. To jednak osobny temat. Ja tylko sygnalizuję. Dopiero, gdy dojdzie do takiej tragedii jak w Ameryce 11 września ubiegłego roku, ludzie zauważą, że Konstytucja nie jest przestrzegana. Konstytucja, która wiele gwarantuje, ale w istocie nic nie daje, a nawet zabiera. Na przykład porządnym obywatelom którzy mają małe dzieci i nie stać ich na płacenie czynszu – tych nasza Konstytucja pozwala wyrzucać na bruk. Nie jakiś tam pijaków, tylko porządnym obywateli, których państwo wcześniej wykorzystowało. Jeżeli Konstytucja mówi, że wszyscy obywatele są równi wobec prawa, to dlaczego ja dostałem pięć lat za to samo, za co inny oskarżony został skazany tylko na rok? Jeżeli wszyscy jesteśmy równi wobec prawa, to dlaczego ja zostałem skazany na cztery lata za rzekome

zlecenie zabicia Wańki, zaś inną osobę, którą ten sam świadek koronny pomówił o zlecenie podwójnego zabójstwa, tenże sam sędzia uniewinnił? A może Konstytucja jest coś warta, tylko sędziowie w Białymstoku ją łamią? Z pewnością, gdyby w tej Konstytucji było zapisane, że sędziemu czy też prokuratorowi grozi cokolwiek za łamanie prawa, to może coś by się zmieniło. Kto jednak ruszy taką świętą krowę, która, jak podał ostatnio „Teleekspress”, sfałszowała akta sprawy? Dalej sędzi. Kto świętą krowę weźmie za łeb? Z pewnością nie Konstytucja, bo przecież to właśnie nie kto inny jak święte krowki Konstytucję uchwalają w naszym imieniu. A później łamią jak chcą, z chęci zysku lub dla kariery.

Oczywiście – nie wszyscy. Nie chcą łamać Konstytucji na przykład ci sędziowie, którzy ostatnio sprzeciwili się projektowi ustawy, aby ich majątki sprawdzał Urząd Skarbowy. Oni preferują takie rozwiązanie, aby kontrolerami byli koledzy – sędziowie. Bardzo zatem chcą zachować swoje dobra, ale też jeszcze bardziej – przestrzegać prawa. Jak mówią moi znajomi Rosjanie od spirytusu: i rybku zjeść i na pipku siest’.

Wracając do panny minister to napisałem do niej, że moim zdaniem zadurzyła się w niewłaściwym człowieku, który już ma żonę. Życzyłem jednak wytrwałości, jeżeli rzeczywiście pała uczuciem. To w trosce o jej przyszłość. Nigdy bym nie uwierzył, że człowiek który nie jest mocno zakochany dałby się złapać na taki prosty haczyk, jak to chwilowe stanowisko. Tak się dać wykorzystać cynicznemu graczowi, mocnemu w gębie tam, gdzie męczyzna powinien milczeć! Otóż w ten sposób może postąpić tylko człowiek ogarnięty niezdrową miłością, który w danej chwili nie myśli głową, lecz dokładnie tym, czym myśli osoba zakochana.

Moim skromnym zdaniem, po tej politycznej klęsce jaką poniosła, panna były minister sprawiedliwości Barbara Piwnik zamiast wracać do sądu powinna raczej udać się tam, gdzie dzisiaj przebywa inna panna minister sprawiedliwości Hanna Suchocka – czyli do Watykanu. I tam do końca swoich dni obie powinny modlić się nie tylko o rozum dla siebie, ale i za swoje grzechy. Najwłaściwszym zaś

miejszem dla nich obu byłby jakiś klasztor na odludziu, w którym dziewice nie są narażone na różne szkodliwe pokusy, jak na przykład polityka, rządzenie krajem czy ambasadorowanie. W „Piśmie Świętym” stoi wyraźnie, jaka jest powinność kobiety. Nawet bardzo ambitnej osobie pozostanie niewiele czasu po tym, jak obrobi męża, kuchnię, dzieci i pomodli się w kościele.

## Słowik w klatce

To, jak resort działa, ujawniła panna minister przy okazji zatrzymania w Hiszpanii Słowika. Aż do znudzenia trąbiono o tym sukcesie w radiu, telewizji i w prasie. Niestety, raban robiły tylko chwali-pięty, którym trudno się było przyznać publicznie do klęski jakiej doznały właśnie w Hiszpanii. Hiszpania nie wydaje Słowika. Przecież te ptaszki są pod ochroną i Hiszpanie to dostrzegli, a polski resort sprawiedliwości – nie. Być może dopomógł tu ktoś z byłego otoczenia prezydenta Wałęsy. Ktoś, kto wcześniej załatwił Słowikowi ułaskawienie i teraz boi się tego, że ten może więcej wyćwierkać na temat swojego ułaskawienia. Są to jednak tylko moje domysły, chociaż uprawnione.

Niedawno siedzę sobie pod celą, a tu dzwoni telefon. Odbieram, a to Słowik. Mówi „cześć” i się śmieje ze wszystkich.

Mówi, że jest obecnie w Izraelu i codziennie odwiedza ścianę płaczu, przy której wylewa łzy nad naszym wymiarem sprawiedliwości.

Dziś mogę ujawnić to, co wiem na temat głośnego ułaskawienia Słowika. Ja zobaczyłem ten jego dokument już tego samego dnia. Słowik mówił też, ile go to kosztowało, jak i kto tę sprawę załatwił. Był to adwokat o nazwisku Niebieszczkański. Ujawniam to z tego powodu, że po pierwsze to sam Słowik przyznał się w swojej książce, iż dał pieniądze. Zaś nazwisko adwokata podaję dlatego, że mecenas Niebieszczkański już nie żyje. Zginął w wypadku samochodowym. Oczywiście, był to jak najbardziej przypadek.

O ile dobrze pamiętam, mój brat, którego to wówczas nazywano Dziadem, przyjechał z Niemiec do Polski tylko dlatego, że i on załatwił sobie w tej firmie ułaskawienie. Tyle tylko, że nie był jeszcze wtedy skazany prawomocnym wyrokiem, jak Słowik. Czy to jest prawda – nie wiem. Myślę jednak, że gdyby tak nie było, to wolałby siedzieć za granicą i popijać dobre niemieckie piwo.

Nie mogę też zagwarantować, czy prawdą jest że Słowik siedzi jeszcze w Hiszpanii, czy też, jak słyszałem, od dawna fruwa sobie w Izraelu. Być może ktoś zrobił sobie ze mnie żarty. Głosu Słowika nie słyszałem od jakichś ośmiu lat. Gdyby to był jednak tylko żart, to z pewnością gazeta „Newsweek” nie załiłaby się tak mocno na hiszpańską prokuraturę: „Próbowaliśmy do niego dotrzeć, Zieliński chciał z nami rozmawiać, ale pojawiły się dziwne okoliczności losu. Hiszpańska prokuratura co chwila wynajdowała jakieś absurdalne kruczki prawne, żeby nie dopuścić do niego naszej reporterki. Nie ustępowaliśmy, odwoływaliśmy się od każdego kolejnego zakazu. Wtedy ktoś włamał się do mieszkania dziennikarki w Barcelonie. Niczego nie skradziono, ale przewertowano wszystkie notatki i dokumenty w jej biurku”.

Gdybym był na wolności, w przeciągu dziesięciu minut z pewnością ustaliłbym jak to jest z tym Słowikiem. W obecnej chwili nie posiadam jednak pod celą telefonu komórkowego. Resort sprawiedliwości musi sobie zatem jakoś poradzić samodzielnie.

Na pewno jednak po przeczytaniu tej książki „Newsweek” już się domyśli, dlaczego hiszpańska prokuratura wymyślała absurdalne kruczki, by uniemożliwić polskiej reporterce spotkanie ze Słowikiem. Ukarano ją za natarczywość. Moim zdaniem zadziałał tu, tym razem skutecznie, nasz wiadomy resort, który wstydzi się kompromitacji. Trudno przecież będzie zaprzeczyć, że to wskutek nieudolności tych chwalipięt z ministerstwa sprawiedliwości Słowik wyfrunął na wolność.

W lipcu 2002 r. niespodziewanie otrzymałem wezwanie w sprawie dawnej wpadki ze spirytusem, kiedy to aresztowano mnie razem ze Słowikiem i Ocziem. Było to na niecałe dwa miesiące

przed przedawnieniem się tej zamierchłej historii sprzed dziesięciu lat.

Sprawę prowadził sąd w Warszawie, brali w niej udział również chłopcy ze Szczecina, którym Słowik i Oczko ukradli tira ze spirytusem. Ciągnęło się to latami, bo ciągle ktoś się nie stawiał. Najpierw zmarł jeden z tych szczeciniaków, drugiego prawdopodobnie zastrzelono. Potem zmarł mój współnik, który był również oskarżony w tej sprawie. W ten oto sposób sprawa nigdy nie ujrzała światła dziennego. Moim zdaniem zachachmęcił ją adwokat Słowika, za co ziemia nim lekka będzie.

Na rozprawie głównej sąd przedstawił mi jakiś bzdurny zarzut i zaczął tak operować przepisami i paragrafami, że nie byłem w stanie tego zrozumieć. Niestety, stawiłem się bez obrońcy, na którego szkoda mi było w tej sprawie pieniędzy. Uznałem, że lepiej przeznaczyć je na kupno ładnych gołębi. Tak więc niczego nie rozumiałem i siedziałem ciemny jak tabaka w rogu, rozmyślając, jaką to sobie kupię parkę gołębi za pieniądze zaoszczędzone na papudze.

Po wysokim sądzie głos zabrała pani prokurator, która na zakończenie złożyła wnioski, aby sprawę umorzyć zarówno w stosunku do mnie, jak i do Słowika, który teraz ćwierka sobie albo po hiszpańsku, albo w jidysz, oraz Oczki, który na 13 lat stracił ochotę do ćwierkania, bo siedzi. Ponieważ sąd mnie o to zapytał, przychyliłem się do takiego wniosku.

Sąd umorzył zarzuty w stosunku do mnie. W przypływie wdzięczności wstałem i powiedziałem:

*– Proszę Wysokiego Sądu, z tego co wiem, Słowik przebywa obecnie w Izraelu i gdyby Sąd chciał, to mogę dostarczyć jego adres.*

Sąd spojrzał na mnie z widoczną irytacją i nie był zainteresowany. Wobec tego zapytałem, czy jestem już całkowicie usunięty z tej sprawy. Usłyszałem, że tak, ponieważ wyrok jest prawomocny. Wtedy zadałem jeszcze jedno pytanie – czy mogę już wobec tego odebrać kaucję w wysokości dwudziestu tysięcy złotych, którą wpłaciłem dziewięć lat temu. Sąd odparł, że tak.

W taki oto sposób zakończyła się moja jedyna wpadka w handlu



spirytusem, który w tym przypadku nawet nie był mój. Kosztowała mnie ona piętnaście tysięcy dolarów, gdyż kiedy wpłacałem kaucję, dolar był warty 9700 zł, a więc kaucja wyniosła dwadzieścia tysięcy dolarów. Natomiast dzisiaj owe dwadzieścia tysięcy złotych, wpłaconych do sądowej kasy, to zaledwie pięć tysięcy dolarów.

Co zaś do ekstradycji Słowika, to moim zdaniem wszyscy zainteresowani wiedzą, że ptaszek wyfrunął z hiszpańskiej klatki, tylko wstydzą się reakcji społeczeństwa.

## Śmierć Papaya

Wszyscy pamiętają śmierć mojego znajomego generała Marka Papaya, który budował po sąsiedzku dom na osiedlu w Chotomowie. Dokładnie tam, gdzie ja też kupiłem plac pod budowę domu dla wnuczka. Tylko stąd, można powiedzieć że przelotnie, znałem generała Papaya. Oczywiście, na osiedlu w Chotomowie plac mogli kupić tylko tacy ludzie jak generał i jemu podobni, krótko mówiąc promienci. Ponieważ miałem układy, to również kupiłem tam plac dla siebie, i to najładniejszy, bo liczy aż dwa tysiące metrów kwadratowych, a prominentom sprzedawano tylko po osiemset metrów.

Kiedy generał Marek Papaya zginął, na drugi dzień w telewizji wystąpił były komunista Leszek Miller. Publicznie pomówił mnie o zabicie Papaya, motywując to tym, że chciałem się zemścić. Zrobiłem to rzekomo dlatego, że aresztowano mnie w czasie kiedy generał Papaya był komendantem głównym policji. Oczywiście, że to była tylko nagonka polityczna na moją osobę. Gdybym naprawdę chciał kogokolwiek zabić za to, że wtedy siedziałem, to zacząłbym właśnie od towarzysza Leszka Millera, a nie generała Marka Papaya. Na razie jednak pozwałem towarzysza do sądu za to pomówienie.

Nie tylko tacy politycy jak towarzysz Leszek Miller zaczęli straszyć społeczeństwo Dziadem. Robiła to również policja. Kiedyś w telewizji pokazano matkę zabitej okrutnie dziewczyny. Człowiek, który

utopił ją w wannie, okazał się policjantem. Matka tej dziewczyny, należąca do Stowarzyszenia Ofiar Zbrodni i Przemocy imienia Jolanty Brzozowskiej, której szefem jest pan Orszagh, publicznie ujawniła prawdę. Oświadczyła, że wiedziała już od początku o tym, iż jej córkę zamordowała policja. Wskazała nawet osoby, które to zrobiły. Jak powiedziała – policja, zamiast przesłuchać te wskazane osoby, nie uczyniła tego. Natomiast, najwidoczniej żeby wprowadzić ją w pole, zaczęto jej wmawiać, że to sprawka Dziada. Lepiej, żeby siedziała cicho, bo Dziad i ją może zamordować. To są fakty! Ta kobieta żyje. Jest też nagranie w telewizji.

Takich przykładów straszenia ludzi Dziadem mógłbym podać setki. Wystarczą jednak te dwa przykłady, które w każdej chwili mogę udowodnić. Kiedyś dzieci straszono Babą Jagą, a dziś straszy się je Dziadem. Wystarczy wejść do pierwszej lepszej szkoły czy do przedszkola w Warszawie i zapytać któreś dziecko o Dziada. Od razu wszystkie odpowiedzą chórem, że Dziad mieszka w Wołominie lub w Ząbkach.

Z tego co słyszałem, ów policjant został skazany za morderstwo na dziewczynie. Jak doszło do wykrycia zbrodni, za bardzo nie wiem. Ale to, co się działo wokół, pokazuje jak mnie prześladowano. A za co? Jak powiedziałem, moje kłopoty zaczęły się od pięciu ton papieru na ruble.

Co jest mi wiadome w sprawie śmierci generała Papaly? Otóż pewien znajomy policjant ze Stołecznej opowiedział mi kiedyś, że w lipcu 1998 r., zaraz po zabójstwie generała, do XI komisariatu na Bródnie zgłosiła się pewna kobieta, która twierdziła, że posiada na ten temat ważne informacje. Na pierwszy rzut oka cała historia wyglądała niesamowicie i nieprawdopodobnie, ale najbardziej zastanawiające jest w niej to, że ani jedna instytucja, powołana do wyjaśnienia takich zagadek, nie chciała podjąć w tej sprawie żadnych czynności. Zupełnie jakby wszystkich, którzy dotknęli tej sprawy, obowiązywał rozkaz czy raczej zmowa milczenia.

W największym skrócie relacja przekazana mi przez policjanta wyglądała następująco. Owa kobieta, starsza i schorowana rencistka,

na przełomie czerwca i lipca 1998 r. przebywała z mężem na prywatnych wczasach w Wojskowym Domu Wczasowym Rynia-Białobrzegi nad Zalewem Zegrzyńskim. Tam oboje poznali emerytowanego pułkownika lotnictwa, który rzekomo od lat mieszkał w Republice Południowej Afryki. Człowiek ten cumował do nabrzeża ośrodka wczasowego własnym jachtem, mieszkał w jednej z generalskich willi i stołował się w wydzielonej stołówce dla generałów. Obracał się w zamkniętym kręgu towarzyskim wyższych oficerów wojska i MSW. Ludzie ci zajmowali się na co dzień pływaniem po zalewie jachtami, surfingiem albo grą z tenisa. Wiezorami popijali, korzystając bez żadnych ograniczeń ze spirytusu dostępnego w sporych plastikowych kanistrach, a nazajutrz leczyli kaca w saunie.

Ktoregoś wieczoru, a było to w dniach, kiedy został zastrzelony generał Papała, kobieta stała się mimowolnym świadkiem niezwyklej rozmowy. Otóż kilku wyższych oficerów, przebywających w ośrodku, ustalało alibi dla kogoś, kto – jak zrozumiała ta kobieta – był bezpośrednim wykonawcą czy też uczestnikiem zamachu na generała.

Był to młody mężczyzna w czarnym mundurze i o wyglądzie osiłka, chociaż w rozmowie nazywano go psychologiem. Przyjechał do ośrodka w towarzystwie kilku innych osób. Towarzystwo liczyło dni od śmierci generała i wspólnie ustalało, co ów młody osilek miał robić w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Pokazywali mu zdjęcia z jakiegoś rejsu jachtem do Szwecji, analizowali spis członków załogi, ustalali ewentualnych świadków.

Uczestnicy rozmowy zorientowali się poniewczasie, że powiedzieli zbyt wiele w obecności obcej, niewtajemniczonej osoby. Od tej pory zaczęły się wielkie problemy zarówno dla niej, jak i dla jej męża.

Tutaj trzeba wyjaśnić, że owa kobieta pochodziła z rodziny należącej do wierchuszki komunistycznej nomenklatury. Miała też brata, który zrobił karierę w organach MSW i dosłużył się stopnia pułkownika. To właśnie on zajął się neutralizacją niewygodnego świadka. Uczynił to w taki sposób, że umieścił swoją siostrę w szpitalu psychiatrycznym.

Ów braciszek, według mojego znajomego policjanta, to bardzo interesująca postać i niezłe ziółko. Był naczelnikiem służb paszportowych w praskiej komendzie MO, skąd w stanie wojennym został oddelegowany do bezpośredniej dyspozycji generała Czesława Kiszczaka. Osobiście doprowadził do likwidacji radiostacji „Solidarności” i aresztowania działacza podziemia niepodległościowego, a dzisiaj senatora RP, pana Zbigniewa Romaszewskiego. Przesłuchiwał dziesiątki działaczy podziemia w więzieniu na Białoleńcu. Siostra była świadkiem jak braciszek-esbek skomentował śmierć księdza Zycha, proboszcza parafii w Białoleńcu: „dostał w łeb za naszego Turbakiewicza i Karosa”. Z podobną nonszalancją odniósł się też do śmierci innych „czarnych wron”, jak w tym środowisku nazywano księży: o księdzu Popiełuszcze mawiał „ten bandyta z Solidarności”, o zamordowanym księdzu Suchowolcu – że zaszkodziło mu kadzidło, zaś o księdzu Niedzielaku – że sam sobie wydarł włosy z głowy.

Towarzystwo, w jakim się obracał, można chyba zaliczyć do najtwardszego betonu PRL-u. Pierwsi sekretarze, członkowie KC PZPR, wykładowcy Wyższej Szkoły Partyjnej przy KC, byli dyplomaci, emerytowani oficerowie MSW i MO. Dzisiaj wielu z nich trafiło do potężnych firm ochroniarskich, których nie da się określić inaczej, niż mafią emerytowanych esbeków.

Braciszek, kiedy usłyszał o rewelacjach znad Zalewu Zegrzyńskiego, od razu obiecał siostrze, że lekarze, którzy załatwiali u niego wizy na wyjazdy zagraniczne, zamkną ją w psychiatryku jeśli nie przestanie trzaskać dziobem. Ponieważ nie przestała i poleciała z tym do prokuratury, zrobił jak zapowiedział: wylądowała na oddziale psychiatrycznym szpitala bródnowskiego z ciekawym rozpoznaniem zespołu urojeniowego na tle śmierci generała Papyły. Wykryto u niej również raka wątroby, co pozwoli kobiecie w miarę sprawnie zejść z tego świata. Na wszelki wypadek stwierdzono u niej także skłonność do samobójczego rzucania się z okien – co zejście miało zapewne znacznie ułatwić, gdyby rak rozwijał się nie dość szybko.

Nic dziwnego, że zagrożona jednocześnie rakiem i skłonnościami samobójczymi kobieta wołała zbiec ze szpitala, niż leczyć się do samej

przedwczesnej, jej zdaniem, śmierci. Ukrywa się podobno do dzisiaj, razem z mężem.

Gdyby jednak kogoś zainteresowało, co miała do powiedzenia, to jej zeznania są doskonale znane wielu osobom, na przykład prokuratorowi Kassykowi z warszawskiej prokuratury okręgowej. Pan prokurator zna nawet nazwiska uczestników owej narady w sprawie wiadomego alibi. Dokumenty na ten temat otrzymał senator Romaszewski, a także szef Samoobrony, pan poseł Andrzej Lepper. Nikt jednak nie odważył się nawet ruszyć palcem w tej tajemniczej sprawie. Czyżby dlatego, że nici mogą prowadzić do zakonspirowanej esbeckiej nomenklatury, która z jakichś powodów wydała wyrok na generała? Ja nie widzę jednak powodu, dla którego miałbym się nie interesować smutnym losem mojego sąsiada, generała Papyły, choćby nawet rzecz dotyczyła komendanta głównego polskiej policji. Dobrzy sąsiedzi powinni wspierać się nawzajem. Gdyby generał mnie poprosił o pomoc, zamiast na próżno dobijać się przed samą śmiercią do Millera, na pewno jeszcze by żył.

## Gawroniki i inne ptaszki

Czy ktokolwiek z was zastanawiał się, dlaczego inni są aż za bardzo bogaci i wszystko mają, włącznie z bardzo ładną żoną? Zapewniam was, że w większości te sukcesy nie są przypadkowe. Tacy ludzie nie muszą się zastanawiać co robić, żeby zarobić kokosy. Oni z góry wiedzą, co będzie, jak będzie i co potrzeba. To jest tajemnica ich sukcesu. Tak było z pewnym byłym strażnikiem więziennym panem Gawronikiem, który zawczasu postawił własne kantory na wszystkich granicach Polski. Ciekawe tylko, czy sam wpadł na taki pomysł, czy też ktoś z rządu podpowiedział mu, żeby tak uczynił. Informacja to gwarancja sukcesu, a nie ciężka praca, panie i panowie Polacy, moi rodacy! Tak było w Ameryce, na całym świecie, tak jest w Polsce i zawsze tak będzie. Dopóki nie wejdziecie i wy w odpowiednie

układy, zawsze będziecie biedakami. Wybrani muszą się przecież bogacić czymś kosztem. Tysiące pracują na jednego w białym kołnierzyku i rządowej lancii. Dla wszystkich lancii nie starczy. Większość musi chodzić na piechotę.

System, w którym żyjemy, jest z góry ułożony w ten sposób, że żaden uczciwy rzemieślnik czy przedsiębiorca, podkreślam uczciwy, nie ma prawa dorobić się niczego oprócz garbu, ewentualnie więzienia. Chociaż dzisiaj i tak się poprawiło w porównaniu z systemem panującym w latach 50-tych. Wówczas to mojego dobrego znajomego skazano na karę śmierci tylko za to, że podrabiał pasztetową. Trzeba przyznać, że obecny system nie jest aż tak niehumanitarny, jak jego poprzednik z czasów PRL. Dawne rządy głabów i chamów, służących jak pieski Sowiетom, zastąpiły gabinety białych kołnierzyków. W istocie tych samych ludzi, tylko przefarbowanych z bolszewików na Europejczyków. Ci już nie biją się z myślami towarzysza Lenina, im chodzi tylko o pełne koryto. Dzisiaj zamykają takich jak ja, na parę lat, tylko dla pokory i na pokaz.

## **Prawo dla swoich i obcych**

Czy zastanawialiście się nad tym, dlaczego i po co oraz dla kogo ustawodawcy zapisali w kodeksie karnym, że przestępstwo z danego artykułu jest zagrożone karą na przykład od trzech miesięcy do pięciu lat? Zrobili tak dlatego, że trzy miesiące dostają owieczki z ich otoczenia, a tacy jak my dostajemy za to samo pięć lat. W ostatnim czasie sąd skazał jednego z komuchów za jazdę po pijanemu na karę grzywny 1200 zł oraz zakaz prowadzenia pojazdu na rok. Czy domyślacie się, ile dostałaby osoba nie związana z partią SLD i gdyby nie grała głównej roli w filmie „07 zgłoś się”, czyli na przykład ktoś taki jak ja? Myślę, że przynajmniej dwa lata odsiadki.

Ktoś pomyśli, że przesadzam. Niestety nie. Jeżeli mi nie wierzycie, to zadzwońcie do mojego adwokata z Warszawy Jacka Kon-



drackiego, który w 1997 roku był moim obrońcą w sprawie o zwykły wypadek. Byłem wtedy trzeźwy, nie przekroczyłem szybkości, miałem sprawny samochód, a nawet byłem ogolony. Podkreślałem, był to zwykły wypadek, kiedy nic nie zostało nawet uszkodzone. Prokurator jednak bezpodstawnie zarzucił mi, że jechałem z nadmierną szybkością. Sąd nie chciał przyjąć tej farsy w ogóle do rozpatrzenia i zwrócił akta do prokuratury. Niestety, prokurator uparł się i odesłał je z powrotem do sądu. W końcu musieli się tym zająć.

Prokurator domagał się dla mnie roku bezwzględnego więzienia. Nie wyjaśnił tylko sądowi, za cóż to powinien mnie skazać na rok odsiadki. Trafiłem jednak na sąd normalny, który mnie uniewinnił.

Dosłownie po kilkunastu dniach sprawa znalazła się już w sądzie odwoławczym. Wtedy prokurator musiał już podać przyczynę, dla której to chciał mnie wsadzić za kraty. No i podał. Jego zdaniem sąd pierwszej instancji, uniewinniając mnie, nie wziął pod uwagę tego, że należę do grupy wołomińskiej. Takie niedopatrzenie! Oczywiście sąd odwoławczy również mnie uniewinnił, tyle tylko, że najpierw uśmieł się z uzasadnienia pana prokuratora. Ja też się wtedy uśmieiałem.

Niedługo jednak trwała moja radość. Po kilkunastu dniach znów zostałem powiadomiony przez obrońcę, że prokurator jeszcze raz polecał na skargę. Jakoś nie mógł się pogodzić z tym, że sąd nie uwzględnił jego argumentu – to znaczy tego, że powodując wypadek należałem do „grupy wołomińskiej”. Ręczę swoim słowem, że tak właśnie było.

Być może również w sprawie pijanego polskiego agenta „07” pan prokurator nie daruje sądowi tak niskiego wyroku i złoży odwołanie do wyższej instancji. Może je umotywować w ten sposób, że sąd nie wziął przecież pod uwagę, iż „07” to były członek PZPR, która jak najbardziej była mafią zdrajców i pacholków Rosji, jak o tym powiedział w sejmie pan Leszek Moczulski, a dzisiaj zmieniła nazwę na SLD. Być może ten argument przekona sąd wyższej instancji do skazania przestępcy, który jeździł po drogach publicznych nie dość że pod prąd, to jeszcze po pijanemu. Być może, jeśli sprawa trafi na sędziego z „Solidarności”, to wyrok będzie odpowiadał ilości promili,

które wówczas miał we krwi „07 zgłoś się”, a on sam zacznie się nazywać bardziej stosownie: „08”.

Dowiedziałem się o tej całej historii z prasy. Gdyby koledzy „07-08” też o tym przeczytali, to zapewne usunęliby go z SLD. Nie patrzyli by na to, że polski Bond to były i obecny członek. Nie patrzyli by też, że był odtwórcą roli. Wyrzucili by go na zbity pysk, jak należy. Bo przecież oni po prostu nie tolerują alkoholików jeżdżących po pijanemu, co najwyżej swoich własnych pijaków w sejmie, o czym ostatnio było bardzo głośno. Nikt jednak z klubu SLD tej sprawy nie nagłośnił. Zajęli się tym wyłącznie ich przeciwnicy polityczni, którzy widocznie uważniej czytają prasę.

## Ludzie z potrójnym honorem

Ja osobiście nie dziwię się temu posłowi z SLD, że się wtedy uchlał. Moim zdaniem, to była wina Samoobrony i Andrzeja Lepera. To przez nich, bo krzyczeli w Sejmie, że Polską rządzą złodzieje i rozkradają Polskę. Chłopina nie wytrzymał psychicznie prawdy i się upił. Nie winię go za to, że się upił, tylko za to, że jeżeli to była prawda, o czym wówczas Samoobrona mówiła, to najpierw powinien wystąpić z SLD i dopiero wtedy się upić. Lub też utopić, jak to zrobił jego kolega, który nie chciał rządzić czy też współrządzić rozgrabioną gospodarką z osiemdziesięcioma miliardami na minusie. Załatwił to jednak honorowo. Wyjechał za granicę z rodziną i tam dopiero popełnił samobójstwo. Jak widać także w SLD są ludzie, którzy mają honor.

Weźmy na przykład takiego Sekułę. Był także w PZPR, później w SLD i też chłopina miał honor. Można powiedzieć, że Sekuła miał trzy honory, bo przecież najpierw strzelił sobie w klatkę piersiową, poczym poprawił drugi raz i trzeci. Moim zdaniem takiego człowieka jak Sekuła można nazwać człowiekiem z potrójnym honorem. Szkoda go było, pomimo tego, że należał do stajni komuchów. Był dobrym

handlowcem. Potrafił za dobrą cenę sprzedać wszystko, nawet biurowce z rtęcią w ścianach czy skażony spirytus.

Jak z tego widać, najważniejsze jest, aby posiadać honor, albo przynajmniej jakieś jego resztki. Nawet odpadki, śmieci po honorze też są jeszcze w cenie. Jeszcze można z takim towarem zostać posłem, jeśli nie ministrem. Chociaż nawet jeśli się taki wybrakowany honor jakoś nieszczęśliwie całkowicie straci, na przykład służąc jakiemuś okupantowi albo okradając szpitale czy emerytów, to także nie wolno tracić nadziei. Po prostu należy niezwłocznie postarać się o nowy honor. Jeśli i ten przepadnie, na przykład w jakiejś aferze z pożyczkami od KGB, to trzeba dać sobie jeszcze jedną szansę. I tak aż do samej śmierci i rządowego pogrzebu w Alei Zasłużonych. Dla tych ludzi honor jest jak prezerwatywa, którą myją po każdym stosunku i zakładają na nowo.

Lepszy od Sekuły był tylko pewien minister z Unii Wolności, którego mieli wsadzić za przekręty. No, ale najwidoczniej musiał się wykupić, bo sprawę umorzono. Ile dał i komu, i czy w ogóle dał, tego nie wiem. Tego tylko można się domyślać. Kiedy już dał, w największym pośpiechu przesiadł się na Platformę Obywatelską, w której przy dyszlu jak na ironię losu ciągnie były członek PZPR i dawny współpracownik Służby Bezpieczeństwa. Jest też na tej platformie były prezydent Warszawy, który w swoich młodych latach dorobił się olbrzymiego majątku. Za ten majątek dał głowę urząd skarbowy, wystawiając zaświadczenie, że pan prezydent dorobił się go legalnie. Chociaż nie mieli takiego prawa, to zaświadczenie dali. Widać czego nie można to nie można, ale dla prezydenta Warszawy – można wszystko. Na wszelki wypadek pan prezydent zawczasu przepisał cały majątek na swoją żonę. Miał rację, że tak zrobił. Teraz już nie będą się go czepiać, czy zarobił legalnie, czy też nie. Teraz powie krótko: nic nie mam. To jest mądre, moim zdaniem. Chłopina nie dość, że się dorobił, to teraz jeszcze musi się tłumaczyć. A przecież co to byłby za prezydent, gdyby nie miał majątku.

Co innego taki Dziad. On nie jest prezydentem, tylko rezydentem Wołomina. Taki bandzior bez białego kołnierzyka nie powinien mieć

nic. A ponieważ ma, i to więcej od pana byłego prezydenta Warszawy, trzeba go ścigać.

Owszem, mam, i nie zarobiłem na giełdzie, korzystając z poufnych informacji, tylko tak jak to wcześniej opisałem. Trwało to 35 lat, a nie jedną kadencję prezydenta stolicy. Dlatego też nigdy i nigdzie nie ukrywałem swojego majątku, a nawet szczyć się nim. I nie musiałem przepisywać go na żonę. Moja żona ma własny.

Gazety co chwila robią zdjęcia mojego domu w Ząbkach. Pokazują w jakiej to willi mieszka Dziad. Sam nie wiem, czy oni się ze mnie naśmiewają czy też poważnie traktują tę ruinę jako willę? A ja cały czas myślę jak ją rozwalić i pobudować na tym miejscu prawdziwą willę, taką, której nie będę się wstydził, gdy zobaczę w gazecie. Chcę na nią przeznaczyć około dwóch milionów dolarów. Prawdziwych, zrobionych w Ameryce, z prezydentem Franklinem na awersie i nie kradzionych w białych rękawiczkach, lecz zarobionych na uczciwej spekulacji towarem i ciężkiej pracy.

Na początku roku 1999 kupiłem w Częstochowie hotel i działkę o powierzchni prawie trzech i pół hektara. W bardzo ładnym miejscu, na malowniczej górze z drogą dojazdową. Sam budynek nie był jednak w dobrym stanie. Powoli z bieżących zarobków zacząłem go remontować. Ponieważ w maju 1999 roku zostałem aresztowany, cieszyłem się tym hotelem zaledwie dwa miesiące.

Za hotel z działką i drogą dojazdową zapłaciłem w sumie 150 tysięcy dolarów. Oczywiście już wtedy zdawałem sobie dobrze sprawę z tego, że sam grunt będzie wkrótce warty co najmniej milion dolarów. Działka była uzbrojona, z miejską kanalizacją ściekową, posiadała swój własny transformator i drogę dojazdową o długości prawie kilometra. Przed kupnem tego wszystkiego wziąłem prywatnie rzeczoznawcę, który mi tę nieruchomość wycenił. Gdy mu powiedziałem, że kupiłem to wszystko za 150 tysięcy dolarów, to nie chciał wierzyć. Mówił, że sama droga, która prowadzi do hotelu, warta jest co najmniej 300 tysięcy dolarów.

Byłem więc zadowolony z nabytku. Hotel nawet nieźle egzystował. Zatrudnionych w nim było aż 27 osób. Kiedy jednak dzien-

nikarze się dowiedzieli, do kogo teraz hotel należy, i zaczęli wypisywać w gazetach przeróżne głupoty, goście przestali tam przyjeżdżać. Gdybym był na wolności, to bym otworzył w tym hotelu kasyno. Już miałem prawie wszystko zatwierdzone. Zgodziła się Rada Miasta i miejscowy ksiądz. Nawet gazety częstochowskie pisały już o zgodzie władz miejskich na uruchomienie kasyna. Oczywiście, nie wiedzieli jeszcze kto za tym wszystkim stoi. Kiedy się okazało, że stał medialny bandzior, wszystko trafił szlag. Urząd Miejski w Częstochowie wykorzystując sytuację, że siedzę, bezprawnie przejął moją drogę. Nadał jej nawet nazwę, o czym nikogo, a zwłaszcza właściciela, nie powiadomił. O przejściu drogi przez miasto dowiedziałem się przypadkiem. Niezwłocznie wynająłem adwokata, który teraz zajmuje się tą barbarzyńską i bezprawną decyzją Urzędu Miejskiego w Częstochowie. Co do tego, że Urząd Miejski przegra w sądzie sprawę, jestem spokojny. Jakby nie patrzeć, będzie musiał zapłacić nie tylko za drogę, ale też za asfalt, krawężniki, a nawet płytki chodnikowe. Tyle, na ile to wyceni powołany przez sąd rzeczoznawca. Myślę, że będzie to suma nie mniejsza niż 300 tysięcy dolarów. Natomiast hotel wraz z gruntem odkupiła ode mnie firma Aktapark, za niezłą kwotę 6 milionów 400 tysięcy złotych.

Opisuję tę historię nie po to, aby się chwalić pieniędzmi, lecz by pokazać, że jak ktoś ma głowę to potrafi zarobić trochę grosza na byle interesie. Rachunek jest prosty. Jeśli przyjąć, że włożyłem w ten interes z grubsza 200 tysięcy dolarów i nawet przez trzy lata nic nie zarobiłem, to i tak po trzech latach zarobiłem jakby nie liczyć co najmniej 1 milion 400 tysięcy dolarów. Do tego dojdzie jeszcze jezdnią, za którą będzie musiała zapłacić Częstochowa, liczę tu na 200 tysięcy dolarów.

To wszystko jest do sprawdzenia. Takich interesów jak ten jest więcej. Trzeba tylko mieć głowę na karku. Teraz szykuję już kolejny interes tego typu, o którym piszę w następnej książce.

Oczywiście, zapomniałem o najważniejszym. Na pierwszy milion trzeba albo tak jak ja trzydzieści pięć lat ciężko pracować i z głową spekulować, albo włożyć biały kołnierzyk i ukraść.

## Króliczek z jajami

A co się dzieje, jak człowiek nie nosi białego kołnierzyka? Opowiem wam na przykładzie Zbynka, pewnego mojego starego znajomego z Targówka.

Zbyniek wyszedł pewnego razu z więzienia na przepustkę losową. Odsiadywał właśnie karę trzech lat więzienia za włamanie do restauracji. Miał wtedy zamiar dobrze sobie podjąć i popić, ale skończyło się na tym drugim. Napił się tak, że właściciel restauracji znalazł go rankiem śpiącego pod barem.

Do Zakładu Karnego w Zarębie Górnej Zbyniek już nie wrócił, tylko poszedł w Polskę. Nie bardzo wiedział, co ze sobą zrobić. Chciał nie miał się gdzie podziać, wiosenna aura nie nastrajała do powrotu za kraty. Pierwszą noc spędził na ogródkach działkowych. Chciał przenocować w jakiejś altance. Wewnątrz znalazł słoiki z ogórkami, więc jeden z nich otworzył i zjadł wszystkie ogórki. Popił denaturatem, który kupił za pieniądze wyżebrane na dworcu. Potem położył się spać i przespał dobrze całą noc aż do rana.

O świcie ruszył przed siebie. Dotarł do jakiejś wioski, której nawet nie rozpoznał i nie zapamiętał, gdzie kupił za ostatnie pieniądze i wypił ćwiartkę denaturatu. Ani się spostrzegł, jak zrobił się wieczór, więc znów trzeba było pomyśleć o noclegu. Pomyślał, oczywiście, o akichś ogródkach działkowych czy stodole, ale najpierw postanowił włamać się do sklepiku spożywczego na uboczu. Chciał zabrać coś do jedzenia, bo był głodny, a pieniądze się skończyły.

Potrzeby miał Zbyniek skromne. Upatrzył sobie w zamrażarce pięć kawałków cienkiej kiełbasy, przygotował też do wyniesienia trzy paczki papierosów, bo nie miał nic do palenia, oraz jedno piwo. Ponieważ zbliżała się Wielkanoc, zabrał też z zaplecza dwie kartki świąteczne. Nie wiedział tylko, komu je wyśle, gdyż był na świecie sam jak palec.

Było tego towaru na kilkanaście tysięcy, a miał w sklepie do dyspozycji towar o wartości ponad stu milionów. Samego denaturatu,



ulubionego trunku Zbynka – bo najtańszy – było jedenaście butelek, nie wspominając już o trunkach całkowicie dla niego niestrawnych, jak cały rząd flaszek koniaku „Napoleon”.

Co prawda, trochę chłopina narozrabiał, wyjadając kiszoną kapustę ze stojącego na zapleczu wiadra. Trochę jej zjadł, ale więcej porozrzucił, bowiem w pierwszej kolejności zajął się, oczywiście, degustacją dykty, odkrytej w jakimś kącie na podłodze. Zdążył wypić tylko pół butelki, kiedy pod wiejskim sklepem zatrzymał się policyjny patrol.

Policja nie zjawiała się na zadupiu przypadkowo. Aż takiego pecha Zbynek w życiu nie ma. Czasem tylko bywa nieostrożny, albo jakiś rozkojarzony, co na ogół zależy od dawki denaturatu, jaką aktualnie ma w sobie. Tym razem Zbynek wpadł przez telefon.

Sam nie wie, co go podkusiło, żeby podnieść słuchawkę telefonu, stojącego na zapleczu. Przecież nie znał nawet na pamięć żadnego numeru. Nigdy do nikogo nie dzwonił. Okazało się, że aparat był podłączony do ręcznej centrali telefonicznej. Telefonistka, która w nocy pełniła dyżur, była bardzo zdziwiona, kiedy o północy na centralce zapaliła się lampka kontrolna. Sygnał mówił o tym, że pod numerem abonenta należącego do pobliskiego sklepu GS, ktoś podniósł słuchawkę. Kobieta połączyła się i powiedziała „hallo”, na co zgłupiały Zbynek od razu rzucił słuchawkę. O tej porze nigdy nikt ze sklepu nie telefonował, więc urzędniczka zaczęła się zastanawiać. Od razu pomyślała, że ktoś mógł się tam włamać i przypadkowo zahaczyć o telefon, a potem położył słuchawkę na widełki. Zadzwoiła na policję i opowiedziała o dziwnym zdarzeniu.

Właściwie policjanci nie bardzo wiedzieli, co mogą Zbynkowi zarzucić. Poza tym, że przebywał sobie wewnątrz sklepu, niczego jeszcze nie zdążył ukraść. Wypił co prawda pół butelki denaturatu i wyżarł niechlujnie trochę kapusty, ale jak to udowodnić? Niestety, znaleźli przy nim owe dwie kartki świąteczne, które sklepowa rozpoznała jako swoją własność. I za to został skazany. Prokurator zarzucił mu, że po pierwsze ukraść widokówkę świąteczną z wizerunkiem dwóch kurczaków na zielonym tle, a po drugie – widokówkę świą-

teczną z wizerunkiem królika na fioletowym tle i z jajami, obie o wartości po tysiąc złotych za sztukę.

W tej trudnej dla niego sytuacji, po półtoramiesięcznym wnikliwym śledztwie, postawiono Zbynkowi zarzut dokonania kradzieży dwóch kartek pocztowych o wartości tysiąca złotych za sztukę na szkodę GS. Wyrokiem sądu rejonowego został skazany za popełnione przestępstwo na trzy lata bezwzględnego pozbawienia wolności, trzy miliony złotych grzywny i półtora miliona opłat sądowych. Sąd rewizyjny obniżył mu karę do jednego roku i jednego miesiąca więzienia, zaś grzywnę do dwóch milionów. Natomiast Zbysiek próbował przekonać sąd, że w ogóle nie powinien przed nim odpowiadać karnie, bo prawdopodobnie nie jest zupełnie zdrowy psychicznie. „Przecież normalny człowiek nie będzie pić denaturatu, wysoki sędzie” – udowodniał. Niestety, sprawiedliwego sądu nie przekonał.

## Newsweek ma problem

Chcę jeszcze wrócić do pisma „Newsweek”. Jak się okazuje, nie tylko komuchy kłamią w swoich gazetach. Amerykanie robią to również dobrze.

„Newsweek” z dnia 10 marca 2002 r. napisał, że mój adwokat Jacek Kondracki, który bronił mnie w 1997 roku za zarzut nieumyślnego spowodowania śmierci dwóch pracowników na budowie, próbował mnie wyciągnąć pokazując zaświadczenie, że jego klient cierpi na klaustrofobię. Otóż oświadczam w tym miejscu, że nigdy nic takiego nie było!

Dalej piszą w tym artykule: „Adwokat przedstawił kolejne zaświadczenie, że Niewiadomski ma tętniaka mózgu. Widniała pod nim pieczętka neurochirurga szpitala Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji”. Oświadczam po raz kolejny oraz ręczę swoim słowem, że nigdy mój obrońca, mecenas Jacek Kondracki, nie przedstawił żadnego zaświadczenia ze szpitala MSWiA.

Nigdy nie było też nic takiego, żeby mój lekarz tłumaczył się, iż zginęła mu pieczętka, którą ktoś wykorzystał w nieczym celu, jak napisał „Newsweek”. Napisali też: „Wyszło na jaw, że Dziad jest zdrów jak ryba”. Zmuszony jestem nazwać autorów tekstu z dnia 10 marca 2002 r. oszustami, ponieważ lekarze – biegli sądowi powołani przez sąd kiedy znajdowałem się w areszcie, stwierdzili jednoznacznie, że jestem chory na tętniaka mózgu i nie mogę przebywać w warunkach więziennych. Takie samo badanie przeprowadzono na zlecenie sądu również w roku 2000 w Klinice Neurochirurgii w Lublinie. Diagnoza była identyczna: cierpię na tętniaka mózgu. Wobec czego pozwałem „Newsweeka” do sądu, wnosząc o skromne pięćset tysięcy złotych odszkodowania za zniesławienie.

Drugi pozew złożyłem przeciwko „Newsweekowi”, tym razem jednak o pięćset tysięcy dolarów, za artykuł z dnia 2 grudnia 2001 r., kiedy to napisano o mnie, wymieniając z nazwiska: „Henryk Niewiadomski ps. „Dziad”, szef gangu wołomińskiego”. Tutaj już mógłbym oskubać oszczerców na kwotę trzy razy większą, ale jestem miłośnikiem. Nie chcę też bynajmniej dziennikarzy z „Newsweeka” puścić z torbami, jak dziadów. Mam tylko prośbę: piszcie panowie więcej takich głupstw na mój temat, co zapewni mi dostatnią emeryturę.

„Newsweek” pokazał też niby mój hotel, którym miał się zajmować syn Dziada w Częstochowie. Oczywiście jest nieprawdą, że mój syn kiedykolwiek zajmował się moim hotelem. Nieprawdziwe jest też zdjęcie tego hotelu, opublikowane przez „Newsweek”. To czysty blamaż. Widocznie redaktorowi, który wysmażył ten artykuł, nie chciało się jechać do Częstochowy, aby zrobić zdjęcie mojego hotelu. Być może myślał, że to się nie wyda i pobrał pieniądze od redakcji na paliwo i na inne potrzeby w związku z wyjazdem do Częstochowy. A pojechał, dajmy na to, z jakąś panienką do hotelu, ale do Świdra. Teraz będzie musiał zwrócić. Być może już zwrócił, ponieważ słyszałem, że parę dni po tym artykule tygodnik „Nie” naśmiewał się z „Newsweeka”, właśnie dlatego, że pokazali nie ten hotel co trzeba. Nie wiem, czy to prawda, bo szmaty do rąk nie biorę, nawet w wychodku.

Chciałbym zaapelować do innych osób, aby też skarżyli „Newsweeka” za ujawnianie ich nazwisk i zdjęć. Jest to postępowanie bezprawne. Co do mnie, to jestem gotów wpłacić kwotę stu tysięcy dolarów na obojętnie jaką fundację, pod warunkiem że nie pójdzie to na dziwki dla komuchów, jeżeli „Newsweek” opublikuje takie zaświadczenie lekarskie o jakim napisał i drugie sto tysięcy dolarów tylko za to, że nazwałem ich oszustami. Natomiast już dzisiaj mogę napluć w mordę pomawiającym mnie redaktorom. Ale to przy okazji.

## Nominacje, nagrody i odznaczenia

W swoim czasie dowiedziałem się od mojego obrońcy, że pani Żywolewska-Ławniczek, czyli sędzia Sądu Apelacyjnego, która rozpatrywała moją sprawę w apelacji, otrzymała nominację do Sądu Najwyższego. Wcale mnie ta wiadomość nie zaskoczyła. Zastanawiała tylko ta okoliczność, że otrzymała ową nominację tuż przed ogłoszeniem wyroku w mojej sprawie.

Mój adwokat był tym faktem bardzo uradowany. „Niech pan spojrzy na to z innej strony, panie Henryku! – mówił mecenas, który był całkowicie nastawiony na moje uniewinnienie. – Przecież ona dostała nominację do Sądu Najwyższego, to wielkie wyróżnienie. Jest naprawdę sprawiedliwa i została doceniona”. Cieszył się do chwili ogłoszenia wyroku. Wtedy puściły mu nerwy, czemu dał wyraz w obecności dziennikarzy. Wytykał rażące błędy sądu apelacyjnego aż w końcu puściły nerwy przewodniczącej składu, która zaczęła nawet pokrzykiwać na mecenasa w niekontrolowany sposób.

Natomiast ostatnio dotarła do mnie wiadomość, że Owieczka Dolly już w Warszawie nie jest. Szczegółów nie znam, być może tylko oddelegowano ją na jakiś czas. Być może Sąd Najwyższy od razu się na niej poznał i z piskiem opon odesłał ją tam, gdzie można sądzić z takimi kwalifikacjami, a więc do Białegostoku.

Trzeba wspomnieć o jeszcze dwóch innych znamienych nominacjach. Oto pani sędzia Beata Olifieruk z Sądu Rejonowego w Białymstoku – ta sama, która wydała postanowienie o moim aresztowaniu – natychmiast dostała awans na sędziego Sądu Okręgowego. Zaś sędzia Mariusz Pankowiec, który okazał się jedynym desperatem wśród białostockich sędziów i wziął się za sprawę Dziada, otrzymał nominację na przewodniczącego wydziału penitencjarnego Sądu Okręgowego.

Jeżeli ktoś myśli, że to były tylko przypadki, to powinien udać się jak najszybciej do psychiatry. Coś dużo tych przypadków! A jeśli to nie były przypadki, oznaczałoby to, że można tu podejrzewać jakiś geszeft. Ktoś uległ pokusie, za cenę sumienia. Zaś sędzia, który ulega pokusom, nie jest niezawisły i nie ma prawa ani do sędziowskiej togi, ani do łańcucha z godłem Rzeczypospolitej.

Tylko jedyny prokurator rejonowy Grzegorz Gedrys nie awansował. Moim zdaniem słusznie, gdyż całą farsę niemożliwie spaprał. Przecież gdyby poprowadził sprawę jak prawdziwy fachowiec, a nie laik, to sędziowie nie musieli by się tak żałośnie podkładać, żeby mnie skazać.

Co więcej, moim skromnym zdaniem entuzjasty nauk prawnych pan prokurator Gedrys powinien jeszcze mocno popracować nad sobą i kodeksami, zanim zostanie prokuratorem okręgowym. Między innymi w tym celu piszę tę książkę. Gdyby nie troska o prawidłowe działanie wymiaru sprawiedliwości, jak i te rozmaite szemrane nominacje, wcale bym się nie trudził.

Muszę też w końcu z uznaniem wyrazić się o naszym głównym bohaterze, świadku koronnym Jakubczaku. To przecież właśnie on w bardzo znacznym stopniu przyczynił się do ujawnienia całemu światu autorów tej farsy. Oczywiście, w rozpoznaniu wszystkich jej niuansów również i ja mam swój niemały udział. Nie jestem jednak na tyle naiwny, aby oczekiwać na słowa uznania ze strony wiadomego resortu.

Przyznam się również, że mam pomysł, jak wykorzeń wszelkie zło w polskim wymiarze sprawiedliwości, a jednocześnie jednak we-

sprzeć dalszą karierę tak zdolnych ludzi, jak opisani wyżej sędziowie i prokurator.

Otóż zamiast uganiać się za medialnymi bohaterami z gazet, nazywanymi w prostocie dziennikarskich umysłów bandziorami – co oglupione biedą społeczeństwo rzeczywiście chwilowo zabawia, lecz nie przynosi żadnych konkretnych efektów – należy wziąć się za bohaterów polskiej transformacji ustrojowej. Tych panów w białych kołnierzykach i rządowych lanciach, dzięki którym brakuje mam dzisiaj osiemdziesiąt miliardów w budżecie. Tych wszystkich, którzy nie posiadając jeszcze dziesięć lat temu niczego, teraz są właścicielami banków, stoczni, hut i fabryk. Którzy rozgrabili Polskę w procesie kryminalnej prywatyzacji dla koleśków. Ja dochodziłem do swojego majątku przez trzydzieści pięć lat codziennej pracy. A skąd wziął swoje miliony jakiś młody gnojek, do niedawna działacz ZSMP, a dzisiaj akcjonariusz czy prezes – jeśli ich nie ukradł?

Jeżeli zapodziało się, nie wiadomo gdzie, osiemdziesiąt miliardów złotych, to już dawno powinien ich poszukiwać jakiś zdolny prokurator. Jestem przekonany, że gdyby powierzono tę sprawę nie komu innemu, jak ambitnemu panu prokuratorowi rejonowemu Gedrynowi z Białegostoku, przestępcy od tej dziury budżetowej nie cieszyłoby się długo ani ukradzionymi pieniędzmi, ani wolnością. Ten człowiek to stuprocentowy pewniak. Zdolny do wszystkiego. Przecież nawet Dziada nie bał się zamknąć, chociaż dowodów nie miał żadnych. Więc z pewnością zamknie również tych wszystkich złodziei, którzy w białych rękawiczkach okradli społeczeństwo. Poza tym, ma w zapleczu panią sędzię Beatę Olifieruk, która bez zbędnych wahań i ceregieli wyda odpowiednie nakazy aresztowania. Ma w zanadrzu sędziego Mariusza Pankowca, który wyda potrzebne wyroki. Nie można też zapomnieć o sędziu apelacyjnej Żywolewskiej-Ławniczek. Z pewnością teraz już wzięłaby pod uwagę błędy, popełnione w mojej sprawie.

Myślę, że w swojej mowie prokuratorskiej pan Gedrys nie nazwałby braku osiemdziesięciu miliardów złotych dziurą budżetową, jak to zrobili nasi fachowcy od finansów. Moim skromnym zdaniem



praktyka nauk ekonomicznych, brak w kasie takiej sumy to nie jest jakaś tam dziura budżetowa, lecz – jak to nazywają w języku potocznym fachowi złodzieje – zjawisko zwane „wyrwą”. To zwykła kradzież na tak zwaną „wyrwę”, a nie żadna śliczna dziura budżetowa. Jednakowoż moim skromnym zdaniem amatora polonistyki z siedmioklasowym wykształceniem – nie powinno się to nazywać ani dziurą budżetową, ani też „wyrwą”, lecz kraterem w białym kołnierzyku.

Na koniec wspomnę o jeszcze jednym awansie. Był kiedyś człowiek, który mi przyrzekł, że z powodu paru ton papieru na ruble zniszczy moją rodzinę. Trzeba mu przyznać, że to się prawie udało. Udało mu się też awansować – nawet dostał awans generalski. Za co? Może na osłodę za kopniaka, jaki dostał ode mnie UOP? O, nie! On ma inne zasługi. Moim zdaniem to właśnie on pilotował moją farsę. Kto pociągał za sznurki, na których wisieli „niezawiśli”, jeśli nie on?

Dobrze zdaję sobie sprawę z tego, że po wydaniu tej książki podniesie się szum, aby Dziadem zajął się prokurator. Przecież pomawia niewinnych sędziów i organa. Przecież to wszystko nie może być prawdą! Nikomu z tych sępów nie przyjdzie nawet do głowy, aby prokurator zajął się właśnie udziałowcami polskich spółdzielni sądowo-prokuratorskich.

Zapewniam więc wszystkich, że chodzi mi tylko o to, aby wszystkie poruszone w tej książce sprawy i zarzuty wyjaśnić przed normalnym sądem. Przed takim składem sędziowskim, który zada sobie choćby to jedno zasadnicze pytanie: jak to w ogóle mogło się stać, że sąd w Białymstoku wszystkich oskarżonych uznał za członków grupy zorganizowanej, natomiast mnie nie?

Przed sądem, który zada sobie drugie ważne pytanie i znajdzie na nie odpowiedź: dlaczego prokuratura w Warszawie nigdy nie postawiła ani mnie, ani też żadnemu mojemu „żołnierowi” jakiegokolwiek zarzutu? Podkreślam – jakiegokolwiek, kiedykolwiek.

A przecież według dziennikarzy to ja miałem być jednym z największych w Polsce mafiozów, posiadających jedną z największych grup przestępczych. Gdzie teraz jestem, to wiedzą wszyscy, ale gdzież

podziela się ta moja grupa? Siedząc już trzy lata, nigdy nie słyszałem, ani też nie widziałem, żeby policja aresztowała jakąkolwiek osobę z tej rzekomo mojej organizacji. Nigdy też nie słyszałem, aby dziennikarze napisali, że policja rozbiła jakąś grupę, która była powiązana z Dziadem. A więc gdzie się oni wszyscy podzieli? Znaleźli sobie dobrą pracę? Wyemigrowali na Grenlandię?

Stworzyliście panowie, na użytek nieudolnej policji i cynicznych polityków, parawan, za którym ci pierwsi pozorują działania, w sytuacji kiedy nie mogą ścigać prawdziwych przestępców, a drudzy – przestępcy właśnie – rozkradają państwo. Powołaliście do życia dziennikarski mit dla ubogich. Krótko mówiąc, kit.

## Uskrzydłona miłość

Któregoś ranka pewien mój znajomy hodowca stwierdził, że w nocy ktoś włamał się do jego gołębnika i zabrał stamtąd siedem gołębi pocztowych. Chłop najpierw zadzwonił do mnie, potem poszedł na policję w celu zgłoszenia kradzieży. Okazało się, że tego samego dnia podobne doniesienie złożył inny z moich znajomych, któremu z gołębnika zginęło 29 ptaków: 3 wajszkopy, 6 bocianów, 2 srebrniaki, 4 driery, 2 blauwindry, 2 wyszwance, 3 murzyny, 2 perłowe, 3 winery i 2 pocztowe, wszystkie dość dużej wartości. Obaj poszkodowani nie wiedzieli, kto mógł dokonać kradzieży, ale podejrzewali, że zrobił to któryś z hodowców, którzy wcześniej u nich bywali.

Upłynęły dwa dni i na komisariacie policji zjawił się kolejny poszkodowany, któremu skradziono hodowane gołębie. Trzymał je w garażu obok swojego bloku mieszkalnego. W garażu oprócz gołębi zamieszkiwały też kury, koza i świnia. Złodziej skradł 20 gołębi pocztowych, w tym cenną parę rasowych, pięć kur oraz 30 kg pszenicy.

Policja ruszyła na poszukiwanie skradzionego ptactwa. Już po dziesięciu dniach dyskretna inwigilacja okolicznych hodowców przyniosła obiecujące rezultaty. U jednego z nich ujawniono dwa gołębie

rasy bocian i dwa murzyny, które funkcjonariuszom wydały się podejrzane. Zażądano ich wydania. Hodowca wyjaśnił, że otrzymał je bezpłatnie od jednego ze swoich znajomych.

Hodowca, którego policja posądziła o kradzież, opowiedział mi o tym na targu w Falenicy. Zajmował się od dawna hodowlą gołębi, jednak na wiosnę tego roku kuna wszystkie mu je zjadła, razem ponad dwadzieścia sztuk. Któregoś dnia przyszedł do niego sąsiad o imieniu Franek, który powiedział, że podaruje mu cztery gołębie na rozmnożenie. W zamian za ptaki niczego nie żądał, znajomy jednak nie chciał ich za darmo. Zawiózł mu dwa kilogramy ziemniaków i dwie główki kapusty. Tak poradziła mu żona, mówiąc, że u sąsiada Franka jest bieda i trzeba mu dać. Znajomy oczywiście nie wiedział, że gołębie pochodzą z kradzieży.

Po nitce do kłębka – policjanci trafili wprost do gołębnika owego Franciszka. Gruchały w nim gołębie pochodzące z trzech wcześniejszych włamań. Ich obecnego posiadacza zapytano, w jaki sposób się tu znalazły. Odpowiedział im po prostu, że lubi gołębie.

Ta miłość wydała się prokuratorowi tak egzotyczna, że od razu skierował podejrzanego na badania psychiatryczne. Zanim jednak do nich doszło, Franciszek trafił do więzienia. Już wcześniej wyrokiem sądu rejonowego został skazany na rok i dwa miesiące pozbawienia wolności za kradzież dziewięciu królików. Wykonanie kary zawieszono mu warunkowo na okres trzech lat próby. Ponieważ w tym czasie popełnił kolejne przestępstwo tego samego rodzaju, karę więzienia mu odwieszono.

Biegli psychiatrzy zbadali Franciszka. Jak się dowiedziałem od znajomego prokuratora, lekarze uznali, że mimo nieznacznego niedorozwoju umysłowego zachował zdolność pokierowania swoim postępowaniem i może odpowiadać przed sądem.

W końcu i ja poznałem owego Franka, bo przejąłem się losem człowieka, który z miłości kradnie gołębie, a następnie je z dobrego serca rozdaje.

Opowiedział mi, że jest szósty z siedmiorga rodzeństwa. Matka zmarła ze starości, ojciec – nie pamięta w jakich okolicznościach. Do

szkoły poszedł normalnie, ale uczył się słabo, bo nie miał głowy, a nikt nie mógł mu pomóc. Kilka lat siedział w pierwszej klasie, w końcu przepuścili go do drugiej. Potem był już za stary do nauki i przestał chodzić do szkoły. Był w domu, pomagał ojcu w polu, lubił konie. Alkohol pił od małego, często, ale głowę miał słabą i szybko się upijał. Ożenił się mając trzydzieści lat i żył z żoną lat osiemnaście. Nie zgadzali się, bo żona często go zdradzała, za co on ją bił. Rodziła czternaście razy, ale jego jest tylko dwoje dzieci. Rozeszli się trzy lata temu, a potem on opiekował się dziewięciorgiem dzieci, które bardzo lubi. W końcu mu je odebrano i umieszczono w domu dziecka, gdzie je często odwiedzał.

Gołębie ukradł z wielkiej sympatii do tych ptaków i z nieodpartej chęci ich posiadania, mimo braku pieniędzy.

– Wiem, że kraść nie wolno... Ale nie wiem dlaczego – powiedział mi na pożegnanie.

Tego to nieszczęsnego człowieka sąd rejonowy skazał za kradzież gołębi na rok więzienia. Od wyroku odwołał się obrońca, ale wojewódzki sąd rewizyjny utrzymał zaskarżony wyrok w mocy. W ten sposób Franek za dziewięć królików i gołębie trafił na dwa lata za kraty. Myślę o nim zawsze, kiedy tacy jak Bagsik kpią sobie z sądów i z nas wszystkich, wydając na lewo i prawo skradzione społeczeństwu miliony.

## Jak wkurwiony kaczor

Jak zapewne wszystkim dobrze wiadomo, czas nie stoi w miejscu, nawet w więzieniu, i nikt nie jest w stanie zatrzymać czasu. Tak mi się przynajmniej do niedawna wydawało. Jednak sąd w Białymstoku potrafił zatrzymać mój czas.

W dniu 17 kwietnia 2002 r., dokładnie jeden dzień po złożeniu przez mojego obrońcę kasacji do Sądu Najwyższego, Sąd Apelacyjny w Białymstoku, zamiast niezwłocznie przesłać akta mojej sprawy do

Sądu Najwyższego, skierował je do Wydziału III Cywilnego Sądu Okręgowego w Warszawie. Nie powiadomił o tym nikogo.

Co mówi artykuł 530 kodeksu postępowania karnego, który ja, skromny amator w zakresie nauk prawnych, znam na pamięć? Cytuję z pamięci: „Prezes sądu apelacyjnego przyjmuje kasację, doręcza jej odpis stronom i niezwłocznie przesyła akta sprawy sądowi kasacyjnemu”.

To jeszcze nie koniec. Z sądu cywilnego akta powędrowały do XI Wydziału Penitencjarnego Sądu Okręgowego w Warszawie. Stamtąd – do Sądu Apelacyjnego w Warszawie. Pozostało w Polsce jeszcze kilka sądów, gdzie akt na razie nie było.

Moim zdaniem taktyka przyjęta przez białostocki sąd nie była wcale przypadkowa. Natomiast ja przez przypadek ją odkryłem. Zapewne gdyby nie ten przypadek, akta mojej sprawy trafiłyby do właściwego sądu nazajutrz po odsiedzeniu przeze mnie czterech lat więzienia, jakie mi jeszcze pozostały. Tak zakończyłoby się moje cierpliwe oczekiwanie na to, że Sąd Najwyższy po przeczytaniu protokołu białostockiej sprawy natychmiast uwolni mnie od zarzutów, za które zostałem bezpodstawnie skazany.

Moim zdaniem, tak właśnie działają sędziowie, którzy bardzo dobrze zdają sobie sprawę z tego, że dopuścili się naruszeń prawa. Boją się szybkiej i sprawiedliwej reakcji Sądu Najwyższego.

Kiedy już zapadł wyrok w mojej sprawie, rozegrały się też inne bardzo ciekawe wydarzenia. Otóż ówczesny minister sprawiedliwości i prokurator generalny pan Lech Kaczyński natychmiast popędził do Białegostoku, aby na zbity pysk wylać ze stanowisk szefa prokuratury okręgowej i jego zastępcę. To właśnie oni znaleźli reżysera do mojej farsy, której żaden prokurator nie chciał się podjąć. Posłużyli się prokuratorem Grzegorzem Gedrysem, którego specjalnie w tym celu wypożyczyli z Prokuratury Rejonowej z Białegostoku.

Gazeta „Życie” z dnia 30 stycznia 2001 r. napisała o tym w następujący sposób: „Minister podkreślił, że sygnały o nieprawidłowościach nie są rzeczą nową i były zgłaszane od wielu miesięcy. Nie chciał zdradzić o jakie chodzi, nieoficjalnie mówi się, że prokurator Śliwski



SĄD APELACYJNY  
II WYDZIAŁ KARNY  
15-950 BIAŁYSTOK, ul. Mickiewicza 5  
tel. 732-10-69

Sygn.akt II AKa 278/01  
WKK 38/02

Białystok, dn. 3.07.2002r.

SĄD NAJWYŻSZY OTRZYMANO	
dn.	2002-07-08
Nr.	4181
Załączników	101/2

Sąd Najwyższy  
Biuro Orzecznictwa  
Dział Skarg i Wniosek  
pl.Kraśińskich 2/4/6  
00-951 Warszawa 41

Sąd Apelacyjny w Białymstoku II Wydział Karny w odpowiedzi na pismo z dnia 25.06.2002r. - BO 0413/733/2002 uprzejmie informuje, że kasacji obrońcy skazanego Henryka Niewiadomskiego (przebywającego w Areszcie Śledczym - Warszawa Mokotów) - adw. Leszka Kudryckiego nie nadano biegu z uwagi na to, że od dnia 17.04.2002r. tut. Sąd oczekuje na przesłanie akt przez Sąd Okręgowy w Białymstoku. Z poczynionych ustaleń wynika, że akta III K 185/99 dot. Henryka Niewiadomskiego obecnie znajdują się w Sądzie Okręgowym III Wydział Cywilny w Warszawie jako załączone do sprawy III C 1031/01 dot. Jana Andrejuka.

*Baszarał PO. 0413/433/2002*  
*z przewodniczącym proce przewidzianej s. referencje*  
*do udziału*  
*nie odp*  
*stanowem*  
*Wnioś*  
*5/02*

Wz. Przewodniczącego Wydziału

*Tamara Grygoruk*  
(Tamara Grygoruk)



**PREZES  
SĄDU APELACYJNEGO  
w Białymstoku**

Białystok 2 sierpnia 2002r.

**IV Sk 108/02**

*Sęd. Okr.*

**Pan Henryk Niewiadomski  
s. Bolesława  
Areszt Śledczy  
ul. Rakowiecka 37  
Warszawa-Mokotów**

2

W związku z Pańską skargą z dnia 29 lipca 2002r. w przedmiocie zwłoki w przekazaniu do rozpoznania Sądowi Najwyższemu kasacji złożonej przez Pańskiego obrońcę, po zapoznaniu się z aktami WKK 38/02 uprzejmie informuję, co następuje.

Istotnie, kasacja Pańskiego obrońcy od wyroku Sądu Apelacyjnego w Białymstoku z dnia 15 lutego 2002r. sygn. akt II Aka 278/01, wpłynęła w dniu 17 kwietnia 2002r. ( WKK 38/02 ). Następnie wpływały kasacje obrońców innych oskarżonych.

W międzyczasie jednak ( po sporządzeniu uzasadnienia w sprawie II Aka 278/01 ) akta przekazano Sądowi Okręgowemu w Białymstoku do wykonania prawomocnego wyroku III K 185/99. Akt tych z Sądu Okręgowego w Białymstoku zażądał Sąd Okręgowy III Wydział Cywilny w Warszawie do sprawy dot. Jana Andrejuka ( skazanego razem z Panem ).

W tym czasie o warunkowe przedterminowe zwolnienie ubiegał się kolejny skazany w tej sprawie, tj. Dariusz Osiński.

Akta sprawy III K 185/99 bezpośrednio z Sądu Okręgowego III Wydziału Cywilnego w Warszawie zostały przekazane do XI Wydziału Penitencjarnego Sądu Okręgowego w Warszawie.

Jak ustalono Dariusz Osiński zaskarżył decyzję Sądu Okręgowego w Warszawie i jego zażalenie wraz z aktami tej sprawy zostało w dniu 24.07.2002r. przekazane Sądowi Apelacyjnemu w Warszawie.

Jak wynika z prowadzonej korespondencji II Wydział Karny Sądu Apelacyjnego w Białymstoku co kilka dni wysyła ponaglenia o zwrot tych akt.

Zasugerowano Sądowi Apelacyjnemu w Warszawie, aby z akt sprawy III K 185/99 zostały sporządzone odbitki kserograficzne dokumentów, niezbędnych do rozpoznania zażalenia Dariusza Osińskiego i zażądano niezwłocznego zwrotu tych akt, celem ich przesłania z kasacjami.

Wszystko to powoduje, że nie podzielam Pańskiego poglądu o umyślnej zwłoce w przekazaniu akt sprawy z kasacją do Sądu Najwyższego, bo tak nie jest.

Sytuacje, jak w tym przypadku, przy wielości osób skazanych niestety mogą się zdarzyć.

Pozostaję w przekonaniu, że Sąd Apelacyjny w Warszawie zareaguje na sugerowany sposób przyspieszenia zwrotu tych akt i wkrótce kasacje, w tym i Pańskiego obrońcy, zostaną z aktami sprawy przekazane Sądowi Najwyższemu.

Z podanych wyżej względów nie znajduję podstaw do innej, niż podjęta przez II Wydział Karny Sądu Apelacyjnego w Białymstoku interwencji w tej sprawie.

JDSa/aj

Prezes Sądu Apelacyjnego

/ Janusz Leszek Dubij /

związany był z SLD. W 1996 roku powołał go na to stanowisko Włodzimierz Cimoszewicz. Ostatnio prokurator Śliwski i Spiczka prowadzili sprawę „Dziada”, domniemanego szefa włocimskiej mafii. Po blisko roku rozprawy okazało się, że nie ma dowodów, iż oskarżony, rzekomy „Dziad” Henryk Niewiadomski kierował grupą przestępczą o charakterze zbrojnym, a świadek koronny nie jest w tej kwestii dla sądu przekonujący”.

Jasno z tego wynika, że były minister sprawiedliwości Lech Kaczyński dopuścił się przestępstwa, zwlekając wiele miesięcy z usunięciem nieprawidłowości w pracy prokuratury, o jakich wiedział. Niestety nasi dziennikarze nie zadali ministrowi pytania, dlaczego tak długo ciągnął drut, skoro od dawna miał sygnały.

Ja mam na to proste wytłumaczenie. Ministra Lecha Kaczyńskiego nic innego nie zbulwersowało w Białymstoku, jak mój niski wyrok siedmiu lat więzienia. Przecież szefowie tamtejszej prokuratury okręgowej obiecali dla mnie za pośrednictwem mediów dożywocie lub w najgorszym wypadku 25 lat odsiadki. Kiedy o tym usłyszałem, pomyślałem sobie, że mamy do czynienia z jakimiś debilami. A jednak gdy przeczytałem w gazecie, że panów prokuratorów wyrzucono przeze mnie z pracy, zrobiło mi się ich żal. Nie tyle może ich, ile ich rodzin, o których pomyślałem, że nie będą miały co wsadzić do garnka. Na szczęście moje zmartwienie okazało się przedwczesne. Były szef prokuratury okręgowej dostał jeszcze lepszą posadę. Został głównym szefem na terenie podlaskim. Jego zastępca nadal pracuje w prokuraturze okręgowej. Właściwie ta wiadomość nawet mnie zaskoczyła, poczym spadł mi kamień z serca i upadł na odcisk.

Zatem były minister sprawiedliwości nie wyrzucił prokuratorów z roboty za to, że pomogli niewinnie skazać Dziada, lecz za to, że obiecali mu gruszki na wierzbie. Niestety, nie udało mi się ustalić osoby, która mianowała byłego szefa prokuratury okręgowej na jeszcze wyższe stanowisko. Być może ta osoba nie czytała gazety „Życie”, którą wyżej zacytowałem. Być może zrobiła tak na złość byłemu ministrowi. Komuszek przywalił subtelnie antykomuchowi.

Opisuję okrutny los tych prokuratorów tylko dlatego, żeby młodzi adepci tego zawodu nigdy nie dopuszczali się czynów nieetycznych. Ale jeśli już się dopuszczają, to żeby pamiętali o świętym i sprawdzonym przysłowiu, które brzmi: „Kruk krukowi nigdy oka nie wykole”. Nawet tym, którzy depczą prawo – pod warunkiem, że robią to w majestacie prawa.

## **Radzę – grzeczniej!**

Dobrze zdaję sobie sprawę z tego, w jaki sposób sfera dziennikarzy sterowanych przez bardzo życzliwych mi nie ludzi, będzie komentować kwestie, które poruszam w tej książce. Będą chcieli ośmieszyć mnie przed społeczeństwem. Niektóre barany im uwierzą, ale nie uwierzy człowiek, który potrafi logicznie i niezależnie myśleć, ani też taki, który doznał krzywdy od policji albo organów wymiaru sprawiedliwości. Myślę, że w Polsce jest dużo takich ludzi.

Już teraz nie brakuje przykładów takich nierzetelnych działań. Oto „Polityka” z 28 kwietnia 2001 r. publikuje pod tytułem „Dziadem mnie zrobili” materiał na mój temat. W wywiadzie, jakiego udzieliłem siedząc w więzieniu w Sztumie, powiedziałem m.in.: „Nieszczęsny generał Papała też był moim kolegą. Budowaliśmy razem dom w Chotomowie”. Redakcja zaopatruje te słowa następującym komentarzem: „Zastrzegający anonimowość policjant od lat zajmujący się m.in. rozpracowaniem działalności Dziada ujawnia: do jego rewelacji należy podchodzić ostrożnie, to mitoman. Wydaje mu się, że to sprytnie wymienić znane nazwisko i podać się za kolegę. Stosuje tę metodę od lat. Jak rządzi lewica, Dziad donosi na ludzi z prawicy i odwrotnie. Papały nie znał. Ten dom w Chotomowie, na tzw. VIP-owskim osiedlu budował nie Dziad, ale jego brat Wariat, i wcale nie po sąsiedzku z generałem”.

Dziś, choć minęło już od opublikowania tego artykułu tyle czasu, czuję się zobowiązany wyjaśnić: to właśnie ów pseudo-policjant jest

stuprocentowym mitomanem, a przy tym tchórzem, który boi się ujawnić nazwisko. Oświadczam, że to właśnie ja, a nikt inny, w VIP-owskim Chotomowie posiadam działkę budowlaną. Na tym samym osiedlu kupił plac także generał Marek Pupała oraz paru innych generałów. Nigdy nie miał na tym osiedlu żadnego placu mój brat, którego ten pseudo-policjant określił jako „Wariata”. Za prawdziwość tego co mówię ręczę nie tylko własnym słowem, ale także aktem notarialnym na moje nazwisko. W Chotomowie posiadam najładniejszy plac, rzeczywiście pośród VIP-owskiej śmietanki.

■ Domyślam się również, kim jest ów anonimowy policjant-mitoman. Moim zdaniem to nikt inny, jak Wyliniały Lew, który negocjował ze mną w sprawie papieru na ruskie ruble. Który zamiast się odwdziaczyć, że mu tyle tego papieru oddałem, zamiast go przeznaczyć na potrzeby własne i kilku znajomych podziemnych drukarni, jeszcze mnie oczernia. Wstydił by się pan, panie generale!

■ Rozpoznałem Lwa bez Grzywy po tym, że podobno „od lat zajmuje się rozpracowaniem Dziada”. Jakoś niesporo mu to idzie. Nie potrafił nawet ustalić, z którym gangsterem buduje po sąsiedzku dom szef polskiej policji: z Dziadem, czy Wariatem. Po tylu latach ciężkiej orki nie udało mu się postawić – mnie, jako Dziadowi – najmniejszego zarzutu. I nigdy się to nie uda, chyba że w taki sam sposób, jak w Białymstoku. Łamiąc prawo.

Budzi się też we mnie refleksja, jak taki człowiek, który mając setkę ludzi do pilnowania dał sobie wykraść pięć ton bumagi, w ogóle może kogokolwiek rozpracować? I kto stoi za jego błyskotliwymi awansami? Ponieważ mam już trochę więcej niż trzydzieści lat i co nieco z czasów towarzysza Wiesława pamiętam, jego nazwisko wiele mi mówi. Był kiedyś taki pan, jak najbardziej członek, któremu Ruscy kazali wyskoczyć w ONZ-cie z pomysłem, aby w Europie bomby atomowe posiadali tylko Rosjanie, a wszyscy inni mają się grzecznie i własnoręcznie rozbroić. O ile mnie pamięć nie zawodzi, był to również minister spraw zagranicznych PRL, którego dzisiaj zastąpił nam dzielnie Włodzimierz Cimoszewicz. Jeśli trafnie odgadnąłem te rodzinne powiązania, staje się jasna przyczyna kariery naszego ge-

nerała, jak i jego zażartość w temacie rubli. No, ale to są tylko moje domysły.

Chociaż pan generał niewątpliwie przez wiele lat ciężko pracował rozpracowując niejakiego Dziada, z jakiegoś powodu właśnie mnie, Henryka Niewiadomskiego, uważa za szefa mafii wołomińskiej. A ja po prostu Wołomina nawet bliżej nie znam. Mieszkam w Ząbkach, zaś bywam często w Pruszkowie.

Co ciekawe, Lutka policja również uważała za szefa Wołomina. Mańka Klepaka także. Szefem Wołomina miał być mój brat Wiesław. Jacek Klepak też. I jeszcze parę innych osób. Ludzie tego słuchali i śmiali się z policji. Pytali mnie, dlaczego w Wołominie są sami szefowie. A co z żołnierzami?

Panu generałowi mogę tylko poradzić, aby ostrożniej ważył słowa. Szczególnie wtedy, gdy będzie udzielać wywiadów na temat kwestii poruszonych w tej książce. Okres ochronny dla lwów, nawet wyliniiałych, już się skończył. Mam dużo czasu, więc pilnie studiuję prawo prasowe. A poza tym wkrótce wyjdzie druga część mojej książki i być może przedstawię w niej coś, co dobitniej potwierdzi moje zabawy z Lwami UOP-u i tym bezcennym papierem. Być może nawet część nakładu wydrukuję na tym papierze, nabywcy pewnie zaraz się znajdą z urzędu.

## **Wścibskie paparuchy**

Ostatnio szmatławce rozpisują się również na temat mojego majątku i kont bankowych, wciskając ludziom ciemnotę.

Oto „Polityka” z 14 września 2002 r.: „Henryk N. ps. Dziad mieszkał co prawda w niewyszukanej willi w Ząbkach, ale przed aresztowaniem zaczął budować prawdziwy pałac w Chotomowie”. Oświadczam tu wszem i wobec, że jest to nieprawda i jeśli jakiś świnioryj z „Polityki” udowodni mi to, to zobowiązuję się do wpłacenia na konto wskazanej fundacji stu tysięcy dolarów. Nigdy nie ukry-



wałem, że od dziesięciu lat między Piasecznem a Tarczynem, w miejscowości Prace Duże rzeczywiście posiadam pałac. Ma on 1200 metrów kwadratowych powierzchni i stoi na prawie półhektarowej działce. Wiedzą o tym wszyscy dookoła łącznie z policją. Nie obawiam się o swój majątek, do którego doszedłem ciężką pracą w czasach komuny. Pałac zaś przejąłem legalnie za długi.

Przypomnę tylko, że jeszcze niedawno „Polityka” pisała, jakoby nie miał żadnego placu w Chotomowie.

Dalej pisze ten dziennikarzyna pod publikę: „Dziad szacuje swój majątek na 12 mln zł. Kiedy go zapytano, skąd pochodzą te pieniądze, odparł że dorobił się na hodowli gołębi”. Ekscytuje się także rzekomym majątkiem Klepaka: „Klepak, którego ostatnio zastrzelono w Mikołajkach, odziedziczył po swoim, również zastrzelonym w kawiarni „Gama” na Woli ojcu, 20 mln dolarów”.

Gdyby rzeczywiście tak było, to Klepak już dawno oddał by mi trzy tysiące dolarów, które był mi winien od kilku lat. Klepak to był typowy golas, który nawet alimentów nie płacił na czas. Czy człowiek, który rzeczywiście posiada 20 milionów dolarów, zlecałby napad na bank przy ulicy Jasnej w Warszawie i czy mordowałby ludzi dla kilku marnych groszy? A więc skąd wzięło się tych 20 milionów dolarów? To proste – ten redakcyjny mitoman wyssał je sobie z własnego fiuta.

Natomiast jeśli jest prawdą, że ja gdziekolwiek posiadam jakieś konto, to wpłacę kolejne sto tysięcy dolarów na obojętnie jaki cel. Znajdźcie choć jedno z moich kont, o których paparuchy piszą w gazetach, a ja niniejszym oświadczam, że wyrażam zgodę na ujawnienie jego zawartości.

Moim zdaniem pieniądze trzymają na koncie tylko tacy ludzie, którzy nie mają głowy do interesów. Krótko mówiąc ludzie bez jajec. A ja mam jajca i to dwa w jednym worku, a nie na języku jak pewien nasz premier. I w banku nie trzymam. To znaczy – ani jajec, ani nawet jednej złotówki. Pieniądze mam zainwestowane tu i tam, ale o tym napiszę szczegółowo w drugiej części książki, która niebawem się ukaze.



A z drugiej strony – co tych paparuchów obchodzi, czy ja posiadam jakieś konto? Niech się w końcu odpierdolą ode mnie i mojej rodziny.

## Gołębie geny

Jedyne, do czego paparuchy jeszcze się nie dopieprzyli, to moje gołębie.

Najgorsze jest dla mnie to, że moi obaj już dorośli synowie nigdy nie interesowali się gołębiami. W 1991 r. urodził mi się wnuczek, z którym wiązałem nadzieje, że może on odziedziczy po mnie geny gołębiarza czy też hodowcy, i w pewnym momencie już byłem o tym przekonany – niestety, dziś już jestem pewny, że się myliłem. Jednakże 15 lipca 2002 r. urodził mi się drugi wnuczek, i mam nawet dużą nadzieję, że to w końcu u niego ujawni się ta pasja i będę mieć następcę, który przejmie hodowlę moich gołębi. Jak będzie – zobaczymy, czas pokaże, ale gdyby się okazało, że i ten nie dziedziczy tych gołębih genów, to będę czekać na następnych wnuków. Mam nadzieję, że będę ich mieć co najmniej ze trzech, a to już zwiększy moje szanse.

Dzisiaj posiadam trzysta sztuk dobrych gołębi, ale znam też takich, co mają tysiąc. Hoduję czterdzieści sztuk srebrniaków, bocianów natomiast już nie trzymam. Blajwindry mam takie, że niejednemu śnią się po nocach, mam nawet koroniate. Wyszwanice mam czarne, czerwone i żółte, wszystkie kosmate i koroniate. Kiedyś miałem murzyny i perłowe, dryjery nawet kosmate. Winery mam naprawdę dobre, pięć par. Kiedyś miałem też turkoty, gołębie podobne do blauwinda, tyle że dużo większe, które mają koronkę, tylko że w odwrotnym kierunku, które nie gruchają lecz po prostu turkoczą i mają olbrzymie kosmy.

Co istotne – niestety, gołębie żyją dzisiaj krócej, niektórzy mówią, że średnio od pięciu do dziesięciu lat. Kiedyś żyły do dwudziestu lat, ale ziarno było bez nawozów, a obecnie rozwała im wątrobę.

Jeżdżę na wszystkie wystawy, jakie tylko są organizowane w całej Polsce, nie ma dla mnie znaczenia, gdzie to się odbywa. Po prostu muszę tam być. To jest silniejsze ode mnie. I tego mi dzisiaj bardzo brakuje.

## Radio „Bzdet”

Ostatnio sraczki na temat gangsterów dostało Radio „Zet”. Chorobliwie przemądrzały jak na mój gust pan redaktor Wojciech Jagielski perorował, że Waniek i Malizna, szefowie mafii pruszkowskiej, mogą bez problemu kierować swoim gangiem z więzienia, gdyż co siedem-osiem dni mają widzenia. Ubolewał też, że władze więzienne nie mogą podsłuchiwać ich rozmów z rodzinami.

Najwidoczniej zapomniał pan Jagielski, że grupa pruszkowska i wszyscy jej szefowie, wskazani przez frajera Masę, zostali aresztowani, a teraz się ich sądzi. Zatem czym i kim mieliby kierować z za krat Waniek i Malizna? A jeżeli pozostał na wolności jakiś odłam grupy pruszkowskiej, to dlaczego nasza niekochana policja go nie aresztuje?

Ja rozumiem, że dziennikarze peplają aby peplać, a rzetelność i ambicję zamieniają na wypchany portfel. A na marginesie – co za różnica, czy człowiek widuje się z rodziną co siedem dni, czy co czternaście?

Słucham któregoś dnia Radia „Zet” w samo południe, a tu koleżanka pana Jagielskiego, ta która mówi głęboko przez nos, krótko mówiąc ta wiecznie nie wysmarkana, znowu nadaje zakatarzonym sopranem, że Wańka i Malizna kierowali z więzienia gangiem pruszkowskim. W tym momencie po prostu mnie zatkało. Od razu przyszła mi do głowy myśl, że skoro wie o czymś takim nawet jakaś smarkata z radia „Zet”, to obaj musieli jednak być podsłuchiwani w czasie tych widzeń z rodziną. A jeśli oni, to na pewno i ja. Bardzo mocno się tym przejąłem, ponieważ ja także daję na widzeniach wskazówki rodzinie jak działać, gdzie lokować, kogo skasować, a któremu ukręcić łeb.

Na szczęście panna rozwinęła temat i zrozumiałem, że po prostu jej płacą więc sobie tak pepla przez nos.

Wspomógł ją w tym momencie sam pan Marek Biernacki, który jeszcze tuż przed swoim odejściem ze stanowiska ministra spraw wewnętrznych tumanił społeczeństwo, że aresztuje mordercę generała Papyły. Pan Bierancki był zbulwersowany, że jednak bandziorki z więzienia kierują, i on jest za tym, że niech sobie kierują, ale żeby po odsiedzeniu wyroku nie mieli do czego wracać. Słuchając tych bzdur omal nie dostałem palpacji serca ze śmiechu. Aż klawisze przylecieli na ratunek z kroplami.

Szanowny panie Mareczku! Całkowicie się z panem zgadzam w tej kwestii! Z pewnością miał pan na myśli tych wszystkich bandziorków w białych kołnierzykach, o których pisze w swojej genialnej i tragicznej książce „Piąty rozbiór Polski 1990-2000” pan Henryk Pająk. Tych wszystkich, po których pozostały tylko zgłiszcza naszego narodowego majątku. Których z takimi sukcesami pan ścigał i wsadzał do więzień. Pańskich partyjnych koleśków!

Gdyby pan Biernacki przeczytał sobie jeszcze biografię Andrzeja Leppera pod tytułem „Niepokorny”, to już dawno by się dowiedział jak działa mafia, kto w niej jest i o jakie pieniądze prawdziwa mafia się bije. Nie musiałby tak zawzięcie gonić w piętke, kręcąc się wokół swego ogona, bo wszystkie tropy zostałyby mu podane na tacy.

A właśnie kilka dni przed tą antymafijną audycją w Radiu „Zet” zapadł wyrok w sprawie takich białych kołnierzyków, którzy ukradli czterdzieści milionów złotych i fałszowali dokumenty, za co dostali wyroki w zawieszeniu. I, co najdziwniejsze, ani pan Mareczek Kobra Bezzębna, ani Wojtek Medialny Wampir, ani ta jego koleżanka Trąbka nie skomentowali w radiu tego wyroku.

Nie było też słyhać, aby odgrażał się w tej sprawie prokurator. Pomyślałem sobie, że skoro zapadła na ten temat taka cisza, to chyba za tym śmiesznie niskim wyrokiem stoi ktoś, kto napycha portfele sprzedajnym dziennikarzom. Za to na temat Wańki i Malizny wprost nie zamykają się im dzioby. Co to mogłoby oznaczać? A to, że te papugi są po prostu zniewolone przez prawdziwą mafię, tę w białych

kołnierzykach, gang polityków z pierwszych stron gazet i złodziei w rządowych lancjach, który im płaci, aby odwrócić od siebie uwagę.

Na marginesie – ciekaw jestem, ile czasu pan Jagielski poświęca na przygotowanie się do tych swoich błazenad, ponieważ w czasie audycji tak stęka, jakby go co najmniej Trąbka trzymała za mikrofon. Gdyby szanował ludzi, do których mówi, i którzy przecież myślą, to z pewnością by tak nie małpował w tym swoim programie. Osobiście uważam go za człowieka dowcipnego, ale dobry humor też powinien mieć swoje granice. Nikt tak jak media nie przyczynia się do straszenia i nękania ludzi, którzy i tak nie mają dzisiaj co do garnka włożyć.

Mam nadzieję, że pan redaktor Jagielski przeczyta moją książkę i być może skomentuje również mój wyrok. Jeśli znowu zrobi to pod dyktando z góry, to obiecuję, że po swoim wyjściu z więzienia opluję go, gdziekolwiek bym go spotkał. Chociaż zdaję sobie sprawę, że dostałem siedem lat tylko dla pokory i nie ma co porównywać tego wyroku do tych, jakie zapadały w latach 60-tych. PZPR skazała wtedy za wędlinę pasztetową na karę śmierci mojego znajomego Karola Mościckiego. Na śmierć skazano jednego z najlepszych współczesnych aktorów, rodzzonego ojca Pawła Wawrzyckiego, czyli naszego Buły albo jak kto woli Wieśka z Centralnego.

Ostatnio redaktor Jagielski naśmiewa się z Osamy ben Ladena, który moim zdaniem zasługuje na szacunek, a co najmniej na zrozumienie dla swoich racji. Ben Laden dał przymyk nadziei miliardom ludzi na Ziemi, którzy nie mają co do garnka włożyć, a wyzyskiwaczom przyłożył bat do dupy. Nie będę ukrywać tego, że sam mógłbym zasiąść za sterami jumbo-jeta i skierować go na białostockie sądy, ponieważ krzywda jakiej tam doznałem śni mi się po nocach i woła o pomstę.

W słuszności mojego gniewu utwierdza mnie nie kto inny, jak Ojciec Święty, który 7 września 2002 r. w Radiu „Zet” bardzo delikatnie i powściągliwie, ale wyraźnie dał do zrozumienia, że z niesprawiedliwością trzeba walczyć. Bardzo umocniło mnie to

w mojej wierze. Jestem chrześcijaninem, ale nie potrafię im wybaczyć.

Trzeba walczyć o sprawiedliwość choćby łamiąc prawo i zabijając ciemiężców nawet za cenę własnego życia, jak to robią Palestyńczycy czy też Czeczeni. Zabiera się im ziemię i jeszcze nazywa terrorystami – jak zatem nazwać tych, którzy napadają i mordują takie narody dla swoich korzyści?

Sądzi się teraz byłego prezydenta Jugosławii Miloszevicia. Ja oczywiście nie popieram jego zbrodni, tych okrutnych rzezi cywilów, ale zadaję sobie pytanie: dlaczego nie sądziło się amerykańskiego prezydenta za masowe mordy i gwałty w Wietnamie? Dlaczego nie sądzi się rosyjskiego prezydenta za holocaust w Czeczenii?

W ostatnim czasie przeczytałem bardzo interesującą książkę autorstwa Mirosława Kuleby pod tytułem „Czeczeński specnaz”, której autor opisuje nierówną walkę ludzi broniących własnego kraju i honoru z ruskimi żołnierzami, którzy nawet nie wiedzą za co giną. Zapewne pamiętacie, jak Amerykanie byli przeciwni tej barbarzyńskiej wojnie, oczywiście do tego dnia, kiedy stracili dwa żydowskie wieżowce na Manhattanie. Wtedy moim zdaniem otwarcie zezwolili Rosjanom na barbarzyństwo w Czeczenii oraz Żydom na barbarzyństwo w Palestynie, w zamian za poparcie inwazji na Afganistan.

Nie ukrywam, że gdybym miał w obecnej chwili wybór, to wyjechałbym tak jak stoję do Czeczenii albo Palestyny, aby walczyć z najeźdźcami. I gotów jestem poświęcić swoje życie dla ludzi honoru, którzy bronią swojej godności w nierównej walce. Na pewno znalazłoby się wielu takich, którzy stanęliby ze mną ramię przy ramieniu. Tak, chłopaki z Pruszkowa i Wołomina – nie macie lepszego pomysłu, niż gnść z więzieniach?

Nikt z nas nie jest bez winy. Swoje grzechy trzeba odkupić, a najwyższa cena, jaką można zapłacić, to własna krew. Wspominam tych wszystkich chłopców, którzy bez sensu ginęli od kul na ulicach. Gdyby dzisiaj mogli powstać, sformowałibyśmy najlepszy oddział, jaki kiedykolwiek miała Palestyna. Przeszlibyśmy przez Czeczenię wzdłuż

i wszere. Tam poszukalibyśmy dla siebie miejsca spoczynku i chwały, a dla wybranych – zwycięstwa. Polska flaga nad Groznym – oto byłaby nasza pokuta za całe zło, jakie wielu z nas wyrządziło, często wbrew sobie, innym ludziom.

Nie myślcie tylko, że trując się nad moją książką zwariowałem. Mówię wam najprawdziwszą i najsmutniejszą dla mnie prawdę. Już w sądzie w Białymstoku publicznie, w obecności dziennikarzy wyraziłem się o ben Ladenie jak o zbawicielu głodujących tego świata. Pisały o tym białostockie gazety. To nie jest moje nagłe nawrócenie. W obecności policji wznosiłem okrzyki: „Niech żyje ben Laden!”. Ja po prostu mam odwagę powiedzieć co myślę i tego nikt nie zmieni. Chyba, że mi zamkną mordę jak temu ukraińskiemu dziennikarzowi Gongadze i wielu innym, którzy ginęli za prawdę.

A wy, co mordy w kubel powkładaliście, wy, niby warszawiacy ze wsi, życie sobie jak posłuszne kundelki. Prawdziwy warszawiak nigdy mordy w kubel nie wsadzi, tylko wyraża swoją opinię. Tyle tylko, że prawdziwych warszawiaków można w Warszawie policzyć na palcach, a reszta za miskę zupy donosi policji i wierzy w Radio „Zet”. I przytakuje panu Kaczyńskiemu, który nic innego nie potrafi wymyślić niż karę śmierci, którą to jednak wymyślono już jakieś 33 miliony lat przed nim, w czasach dinozaurów i pierwszej komuny.

Komuny się wam znowu zachciało, no to macie! Tylko że wkrótce będziecie płacić nie tylko za jazdę po drogach, ale nawet za oddychanie. Będziecie płacić za wszystko co komuniści wymyślą, a jak nie – to przypadek mienia; dekret to oni potrafią uchwalić w dwie godziny. I nikt inny jak wy im to ułatwiście, stado baranów. Krótko mówiąc, wolałbym rękę stracić, niż ją podać komuniście, zwłaszcza takiemu, który sobie dzisiaj wypucował łysinę i ciągnie nas do Jewropy, jak kiedyś razem z Gałganowem do kołchozu. Zatem życzę wam wszystkim przyjemności w całowaniu tych coraz tłustszych, komuszych dup. Mnie przed tą hołotą bronią kraty więzienia.

*Sztum, Białoleka, 2002 r.*





Henryk Niewiadomski pseudonim "Dziad"

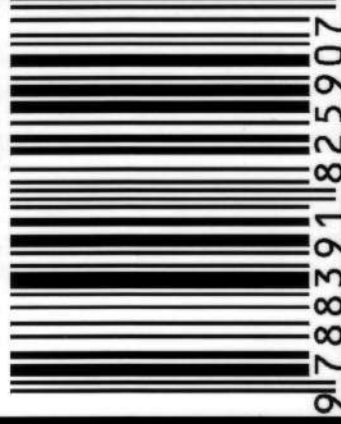
Książka „Dziada” to prawdziwa sensacja. Po raz pierwszy człowiek podejrzewany o kierowanie głośnym polskim gangiem ujawnia kulisy największych afer i zbrodni ostatnich lat. Mówi to, czego nigdy nie usłyszano na sali sądowej.

Jest to prawda wstrząsająca. Skorumpowani politycy z pierwszych stron gazet, zdemoralizowana policja, mafia „białych kolnierzyków” bezkarnie rabująca państwo. Organa ścigania i wymiar sprawiedliwości, uwikłane w politykę.

„Dziad” ujawnia polityczne tło zabójstwa gen. Marka Papaly i przykłady wysługiwania się Urzędowi Ochrony Państwa rosyjskim służbom specjalnym. Piszę o krwawej wojnie Wołomina z Pruszkowem, która kosztowała życie trzystu ludzi. „Ojciec chrzestny” przy tej lekturze to bajka dla grzecznych dzieci.

Bez wątpienia ta książka wstrząśnie polskim społeczeństwem. „Dziad” zapowiada, że drugi tom jego gangsterskiej sagi będzie prawdziwym trzęsieniem ziemi.

ISBN 83-918259-0-6



Cena 29,50